



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr

44

M. J. Wielopolska



WIĘZIENNE
DROGI
KOMENDANTA

WIĘZIENNE
DROGI
KOMENDANTA





Portret Marszałka z czasów legionowych

M. J. WIELOPOLSKA

WIĘZIENNE DROGI KOMENDANTA

GDAŃSK-SZPANDAWA-WESEL-MAGDEBURG

...Ucz się, rzesza, jak się wolność święci,
jak się kreśli dziejów elementarz.

JERZY BRAUN: DNI KONRADOWE

NAKŁADEM GŁÓWNEJ KSIĘGARNI WOJSKOWEJ
W A R S Z A W A, N O W Y Ś W I A T 69

OKŁADKA I OPRACOWANIE GRAFICZNE
ATELIER GIRS-BARCZ, WARSZAWA

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

1 9 3 5



SĄ KSIĄŻKI, KTÓRE ŻŁOBIA ŚLAD GŁĘBOKI, KTÓRE NASUWAJĄ MYŚLI, KTÓRE PCHAJĄ DO CZYNU, KTÓRE KOJĄ LUB BURZĄ, ALE W KAŻDYM RAZIE NIE PRZECHODZĄ BEZ ECHA. JEDNĄ Z TAKICH KSIĄŻEK BYŁ BENJAMINÓW GEN. SKŁADKOWSKIEGO.

PRZECZYTAWSZY JĄ, DŁUGO NAD NIĄ DUMAŁAM I ZRAZU SĄDZIŁAM, ŻE SKOŃCZY SIĘ NA EWAZYWNYCH MEDYTACJACH, NA BEDUIŃSKICH „MUZAMERYTACH“ Z PRZYJACIOŁMI, EWENTUALNIE NA SKREŚLENIU PARU WNIOSKÓW NA PAPIERZE. TYMCZASEM NIEDOCENIŁAM JEJ SIŁY ODŚRODKOWEJ, WYRZUCAJĄCEJ CZŁOWIEKA, NIETYLKO MYŚŁOWO, Z WYGODNEGO KRĘGU BYTOWANIA. PO PARU DNIACH CZUŁAM CORAZ SILNIEJ POTRZEBĘ ZREALIZOWANIA PIELGRZYMEK ROZMAITYCH, DO KTÓRYCH KSIĄŻKA PCHAŁA ŻYWIOŁOWO. JEJ REALIZM ROMANTYCZNY DOMAGAŁ SIĘ REALNEGO ODDŹWIĘKU. POMYŚLAŁAM O MAŁEJ PODRÓŻY DO MIEJSC PAMIĘTNYCH, DO TEGOŻ WŁAŚNIE BENJAMINOWA, DO SZCZUPIÓRNA, ALE KRÓTKO TRWAŁY TE PLANY. ŻYWIOŁOWO BOWIEM NASUNEŁO SIĘ PRAGNIENIE ODWIEDZENIA TEJ „TWIERDZ Y“, KTÓREJ FORTAMI TYLKO, WEDLE

GEN. SKŁADKOWSKIEGO, BYŁ BENJAMINÓW I SZCZYPIÓRNO, I RUNĄŁ NA MNIE PROJEKT JAZDY MAGDEBURSKĄ TRASĄ KOMENDANTA.

MAGDEBURG I POPRZEDZAJĄCE GO WIEZIENIA W GDAŃSKU, SZPANDAWIE I WESEL, MAJĄ LITERATURĘ BARDZO SKĄPĄ; CORAZ DOSZCZĘTNIEJ ZNIKAJĄ ŚLADY DAWNYCH GMACHÓW WIEZIENNYCH I FORTEC, Z KTÓRYCH DWIE ZRESZTĄ JUŻ NIE ISTNIEJĄ (MAGDEBURG-WESEL); WYMIERAJĄ ŚWIADKOWIE, GINĄ BIERNI UCZESTNICY CIERNISTEJ EPOPEI, UCZESTNICY CZYNNI ZAPOMINAJĄ — MGŁA ZACZYNA SIĘ ROZSNUWAĆ CORAZ GĘSTSZA NAD CAŁYM TERENEM KOMENDANTOWEJ KALWARJI. A ŻE OBECNIE STOSUNKI NASZE Z ZACHODNIM SĄSIADEM UŁOŻYŁY SIĘ PRYZYWOICIE, ŻE WSZELKIE POSZUKIWANIA SĄ UŁATWIONE, CHWILA ZATEM JEDYNA I MOŻE OSTATNIA, ABY JĄ UCHWYCIĆ I ROZPOCZĄĆ POSZUKIWANIA, ZANIM CZAS, OBOJĘTNY NA PAMIĄTKI I HISTORJĘ, DOKONA RESZTY WYROKÓW NA MURACH TWIERDZ, NA PAPIERACH, DOKUMENTACH I LUDZIACH.

W LITERATURZE MA MAGDEBURG CZTERY WŁAŚCIWIE POZYCJE: 1) KRÓT-

KA WZMIANKA MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO W PROLOGU DO „MOICH PIERWSZYCH BOJÓW“, 2) WSPOMNIENIE GEN. KAZIMIERZA SOSNKOWSKIEGO „Z LEGIONÓW DO MAGDEBURGA“, W ZBIOROWYM WYDANIU P. T. „ZA KRATAMI WIĘZIEŃ I DRUTAMI OBOZÓW“, 3) W TEMŻE DZIELE NOTATKI MICHAŁA SOKOLNICKIEGO „PRZED ARESZTOWANIEM KOMENDANTA“ I 4) LIST HR. KESSLERA, OMAWIAJĄCY ZWOLNIENIE MARSZAŁKA PIŁSUDSKIEGO Z TWIERDZY MAGDEBURSKIEJ, LIST BEZPOŚREDNIO PO FAKCIE PISANY, BO DATOWANY 12. XI. 1918 ROKU (ZAPEWNE Z WARSZAWY WYŚLANY DO OSOBY NIEWYMIENIONEJ), A ZAMIESZCZONY W NUMERZE *FRANKFURTER ZEITUNG* Z DNIA 7. X. 1928 R. LIST HR. KESSLERA PRZETŁUMACZYŁ I, OPATRZYWSZY KOMENTARZAMI, PODAŁ W SVOJEJ PRACY: „Z DZIEJÓW DAWNYCH I OSTATNICH“ MJR. WACŁAW LIPIŃSKI.

PRZED KILKU MIESIĄCAMI PRZESŁAŁ ADJUTANTURZE W BELWEDERZE SVOJE WSPOMNIENIA W MASZYNOPISIE P. T. „*MEINE BEGEGNUNG MIT PILSUDSKI*“ MAJOR VAN GÜLPEN, OFICER NIEMIECKI, KTÓRY WRAZ Z ROTMISTRZEM HR. KESSLEREM ODWOZIŁ MARSZAŁKA

Z MAGDEBURGA DO WARSZAWY. DUPLIKAT TEGO MASZYNOPISU WRĘCZYŁ MJR. VAN GÜLPEN MNIE, PODCZAS MOJEJ BYTNOŚCI W BERLINIE, JEDNAK, O ILE WSZYSTKIE CZTERY POPRZEDNIO WYMIENIONE RELACJE Z WYPADKÓW MAGDEBURSKICH SĄ ZE SOBĄ ZGODNE, PRAWIE CO DO JOTY, O TYLE W PAMIĘCI MJR. VAN GÜLPENA ZATARŁO SIĘ WIELE SZCZEGÓŁÓW. NIE PAMIĘTA NAWET NP., ŻE TOWARZYSZYŁ MU HR. KESSLER I Z MAGDEBURGA DO BERLINA, I Z BERLINA DO WARSZAWY. MOŻLIWE, ŻE ROZMYŚLNIE NIE PAMIĘTA, GDYŻ, ZDAJE SIĘ, ŻE NAZWISKO HR. KESSLERA, A MOŻE I SAM KESSLER JEST OBECNIE SKREŚLONY Z LISTY OBYWATELI NIEMIEC HITLEROWSKICH.

— *ER WAR ZU STARK NACH LINKS...* ODPOWIEDZIANO KRÓTKO NA MOJE NAIWNE PYTANIE, GDZIE JEST I CZY MOGLĄBYM SIĘ Z NIM WIDZIEĆ. MOŻE WOGÓLE NIKT GO JUŻ NIE UJRZY I STĄD WYMOWNE MILCZENIE VAN GÜLPENA. ALE I INNE ZDARZENIA, KTÓRE ZASZŁY W PODRÓŻY I W SAMEJ WARSZAWIE, PŁĄCZE MJR. VAN GÜLPEN. Z SZCZERYM PODZIWIEM O MARSZAŁKU PIŁSUDSKIM SIĘ WYRAŻAJĄC, NIE ODDAŁ TYCH

CHWIL SPĘDZONYCH Z NIM Z ABSOLUT-
NĄ DOKŁADNOŚCIĄ.

SIEDEMNAŚCIE LAT ZROBIŁO SWO-
JE!!! JEDNAK I W RELACJI VAN GÜLPE-
NA ZNAJDZIEMY CIEKAWĘ PRZYCZYN-
KI, O KTÓRYCH PÓŹNIEJ.

Z CIERNISTYCH, WIĘZIENNYCH DRÓG
MARSZAŁKA, SYBIR ZOSTAŁ JUŻ ZWIE-
DZONY I OPRACOWANY PRZEZ KPT. M. B.
LEPECKIEGO. REPORTAŻ JEGO POJA-
WIŁ SIĘ NA ŁAMACH KURJERA PORAN-
NEGO W 1934 R. NIESTETY, NIEWIELE
ZNALAZŁ KPT. LEPECKI ŚLADÓW KO-
MENDANTA NA DALEKIEJ, MROŹNEJ
ZIEMI NIEWOLI, CHOĆ TAKŻE I JEGO IN-
FORMACJE SĄ CENNE. PRZEBIEG ARE-
SZTOWANIA I UWOLNIENIA MARSZAŁ-
KA Z WIĘZIENNEGO SZPITALA ŚW. MI-
KOŁAJA CUDOTWÓRCY W PETERSBUR-
GU PODAŁO SZCZUPŁE ZBIOROWE WY-
DANIE „IGNISU“ W R. 1924 (PASZKOW-
SKA-DEMIDOWICZ — PROF. MAZURKIE-
WICZ — PRAUSS I MIKLASZEWSKI), ALE
SZLAKIEM WIĘZIEŃ NIEMIECKICH NIE
JEŹDZIŁ JESZCZE NIKT. MNIE PIERWSZEJ
PRZYPADŁ TEN ZASZCZYT W UDZIALE.

DZIĘKI MATERJALNEJ I MORALNEJ
POMOCY REDAKCJI „KURJERA PORAN-
NEGO“, KTÓREGO OBECNY NACZELNY
REDAKTOR WOJCIECH STPICZYŃSKI,

SAM WIĘZIEŃ ONGIŚ HAVELBERSKIEGO OBOZU, A SZEFE MÓJ OD CO NAJMNIEJ SIĘDMIU LAT, BO OD CZASU „GŁOSU PRAWDY“, ODNIÓSŁ SIĘ DO PLANOWANEJ MOJEJ IMPREZY Z NIEZWYKŁĄ I ZROZUMIAŁĄ ŻYCZLIWOŚCIĄ. DZIĘKI POMOCY MINISTERSTWA SPRAW ZAGRANICZNYCH I POLSKICH PLACÓWEK DYPLOMATYCZNYCH W BERLINIE I GDAŃSKU, PRZEBYŁAM TĘ TRASĘ, MAJĄC MAXIMUM UŁATWIEŃ I DOSTĘP DO DZIEDZIN NAOGÓŁ DOŚĆ JESZCZE NIEDOSTĘPNYCH. PAN AMBASADOR LIPSKI, P. MINISTER PAPÉE, DR. KIRKEN I KPT. STEBLIK W BERLINIE ORAZ P. NOWICKI W GDAŃSKU, NIE SZCZĘDZILI MI SZCZEREJ POMOCY I RADY. A ŻE TEMAT SAM BYŁ PONADTO Z DZIEDZINY NAJBARDZIEJ PORYWAJĄCYCH I EMOCJONALNYCH, WIĘC — WIELKIEJ SZTUKI NIE DOKAZAŁAM, SPISAWSZY TE WRAŻENIA I ZOBRAZOWAWSZY ZEBRANY MATERJAŁ, TAK HISTORYCZNO-DYDAKTYCZNY, JAK ILUSTRACYJNY.

CZŁOWIEK CHODZIŁ, ODURZONY I WZRUSZONY, PO SZARYCH, ZIMNYCH KAZAMATACH, PO GROŻNYCH RU-

MOWISKACH ZBURZONYCH JUŻ CYTADEL I UCZYŁ SIĘ I PODZIWIAŁ, JAK W STOSUNKU DO WIELKICH LUDZI HISTORIA JEST UKŁADNA, JAK ŁĄCZY ICH ISTNIENIE PRZESŁEM NAJTWARD-SZEJ LOGIKI Z FAKTAMI, JAK ŁASKAWIE NORMUJE BIEG ZDARZEŃ, NAWET TRAGICZNYCH, ABY NIE WYPADAŁY POZA RAMY WYKUWANEJ POTENCJALNĄ SIŁĄ POSTACI.

MARSZAŁEK JEST TAK SILNIE ZWIĄZANY LOGIKĄ Z DZIEJAMI NASZEGO KRAJU, ŻE CHWILAMI CZYNI AŻ WRAŻENIE ZJAWISKA HISTORYCZNIE POCODNEGO, ACZKOLWIEK W SAMEJ RZECZY JEST NAJBARDZIEJ SAMOISTNEM ZJAWISKIEM, JAKIE ZNAJĄ DZIEJE. ZWŁASZCZA UDERZYŁO MNIE TO W SZPANDAWIE I W MAGDEBURGU.

ALE — NIE UPRZEDZAJMY WYPADKÓW...

DROGĘ ODBYŁAM W DNIACH OD 19 LUTEGO DO 1 MARCA 1935, W ODWROTNYM, NIŻ MARSZAŁEK PIŁSUDSKI, KIERUNKU, JEDNAK, ABY NIE ODBIEGAĆ OD HISTORYCZNEJ TRASY, PÓJDĘ ZA JEGO ŚLADEM W ISTOTNEJ KOLEJNOŚCI ETAPÓW. DATY OPIERAŁAM O PAMIĘTNIK GEN. SOSNKOWSKIEGO, JEŚLI ICH INNY DOKUMENT WIARYGODNY NIE SKORYGO-

WAŁ, WZGLĘDNIE O DOKUMENTY NIEMIECKIE.

DZIŚ, W CHWILI ODDAWANIA KSIĄŻKI NINIEJSZEJ DO DRUKU, NIE ŻYJE WIELKI WIĘZIEŃ MAGDEBURSKI. ZMIENIŁO SIĘ OBLICZE OSIEROCONEGO NARODU, ZMIENIŁ SIĘ NURT ŻYCIA BIEŻĄCY. FAKTY JEDNAK Z PRZESZŁOŚCI POZOSTAŁY TE SAME, NIE ZMIENIAM WIĘC NICZEGO NA KARTACH MOJEJ KSIĄŻKI, CHOĆ PISZĄC JĄ, NIE PRZECZUWAŁAM GROMU...

M. J. WIELOPOLSKA

GDAŃSK

23. 7. 1917 r. — 29. 7. 1917 r.

DNIA 22 LIPCA 1917 ROKU, JAK WIA-
domo, zostali aresztowani w Warszawie
Komendant i jego szef sztabu gen. Kazimierz
Sosnkowski, każdy oddzielnie. Złożyła się na
to nie sama nikczemność i głupota niektórych
„rodaków“, ale w każdym razie jest faktem, że
na tej nikczemności i głupocie oparły się plany
zaborców.

„...Jedno nasuwa się z nieubłaganą logiką
(pisze Michał Sokolnicki do p. Heleny Radliń-
skiej, dnia 22. 7. 1917 r.): aresztowanie Ko-
mendanta wywołane zostało przez denuncja-
cyjną kampanję, poprowadzoną w prasie i po-
za prasą. Artykuł GŁOSU (nr. 176 z 17 bm.)
p. t. „Winowajca“ — odezwa Koła Wolskiego
Ligi Kobiet w GOŃCU z 18 bm., denuncjacje
TEKI, nr. 5 i 6 — list otwarty Izy Moszczeń-
skiej, doskonałym trafem wydrukowany w dzi-
siejszym 181 nr. GŁOSU — były dla Niemców
tą „f a l ą o p i n j i“, która usprawiedliwiała
ich zamach...”

A zamach dla Niemców był podówczas ko-
nieczny, choć cierpliwie czekali na pomoc mo-
ralną zzewnątrz, na tę „f a l ę o p i n j i“. Me-
cenas Paschalski przypomniał 15. 11. 1920 ro-
ku, przy uroczystości wręczania Komendan-
towi marszałkowskiej buławy, słowa Besse-
lera:



Medal wybity na pamiątkę aresztowania Komendanta 22. 7. 1917 r. (Ze zbiorów Kazimierza Dąbrowskiego. Warszawa).

— Myślicie, że nie zdajemy sobie sprawy z uroku, jaki wywiera imię Piłsudskiego w wszystkich podziemnych organizacjach?!

Doskonale sobie zdawali sprawę; dlatego z moralną pomocą polskich „patryjotów“, narodowców, 22 lipca 1917 roku Komendant i Jego Szef zostali aresztowani.

Wczesnym rankiem spotkali się w salonie recepcyjnym Dworca Głównego, otoczeni eskortą „czterech roślących żandarmów i oficera pruskiego w randze kapitana“, zażenowanego wybitnie swoją rolą. Gen. Sosnkowski opisuje dokładnie we wspomnieniach swoich te chwile. Marszałek, ubrany w swój szaroniebieski mundur le-gjonowy, bez broni, wsiadł do przedziału II klasy — z dwóch Jego stron usadowili się żandarmi, naprzeciwko umieszczono gen. Sosnkowskiego, również w towarzystwie dwóch żandarmów, a kapitan, siedzący przy oknie, patrzył milcząc na mknące szybko, słońcem

lipcowem rozelśnione fragmenty tego kraju, któremu zabierał oto WODZA.

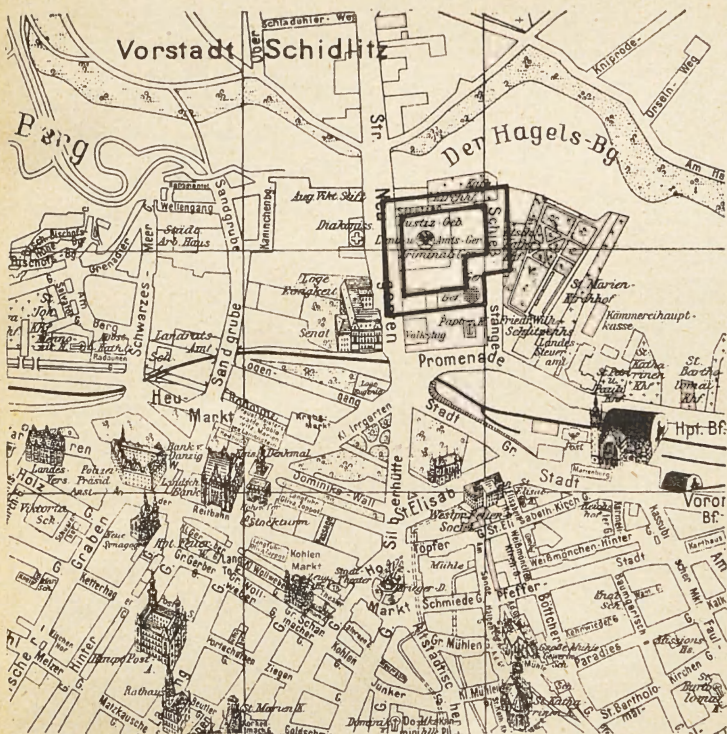
O 5-ej po południu przybyli, drogą przez Łódź i Kalisz, do Poznania. Niewiadomo, czy inne były najpierw plany Niemców co do za-aresztowanych, czy też bezpośrednia linja Warszawa—Gdańsk była zablokowana lub „nieporęczna“, w każdym bądź razie drogą dość okreżną do tego Gdańska ich wieźli i niemało byli zdziwieni: Komendant i gen. Sosnkowski, gdy z Poznania, po krótkim, dyskretnym postoju w gabinecie naczelnika stacji, zawrócili nagle na Piłę i Tczew ku Gdańskowi.

O 1-ej w nocy 23 lipca stanęli w Gdańsku.

W 18 i pół lat po tych wypadkach, przybyłam ja do Gdańska 27. 2 br. poszukiwać śladów więzienia i pamiątek po Komendancie. Samolot mój — wielki Foker, zdążający do Sowietów, przybył o pół godziny przeszło za wcześnie, tak silny był wicher, gnający go od Berlina. Nie spodziewając się jeszcze lądowania i bliskości portu, dziwiłam się cudnemu jezioru, które z za mgieł porannych wyglądało ku nam perłową, prawie nieruchomą płaszczyną.

O naiwności!! Nie było to jezioro, był to już Bałtyk i już Gdańsk. Samolot obniżył się miękko, jakby na chwilę zapomniał, że nie jest hydroplanem, tak, że zdawało się, iż muśnie

Plan Gdańska —
u góry zaznaczony
punkt, gdzie stoi
b. więzienie Mar-
szałka Piłsudskiego.



DANZIG

zawadjacko taflę domnieranego jeziora
i usiadł, lekko warcząc, przed piękną stacją,
w typowym stylu Luft-Hansy, witając gości
z nieba wesołym oszkleniem, blaskami nikłów
i połyskiem posadzek.

Myślę, że dlatego tyle jest na stacjach lot-
niczych światła i blasków, aby niebiescy przy-
bysze nie zanadto byli skonsternowani zbyt
nagłą zmianą dekoracyjj...

II. W GMATWANINIE WERSYJ

WERSJE O POBYCIE MARSZAŁKA Piłsudskiego w więzieniu gdańskim są rozmaite. Zdawałoby się, że wystarczą wyraźne wskazówki gen. Sosnkowskiego, który zupełnie jasno mówi o gmachu, zwanym *GERICHTSGEFÄNGNIS*, czyli zwyczajnym kryminale cywilnym. Ale Michał Sokolnicki pisał 6 grudnia 1918, po długiej rozmowie z Marszałkiem Piłsudskim, że tenże był wywieziony, przed Szpan-dawą i Weselem, do Weichselmünde; gen. Sosnkowski znowuż pomylił daty w swojej magdeburskiej relacji tak, że jest dużo jego mimowolnej winy w tem np., iż obchodzimy prawem kaduka datę 11 listopada 1918 r. jako dzień powrotu Komendanta z niewoli, podczas gdy powrót ten nastąpił w niedzielę 10 listopada.

A więc, w oszołomieniu godzin przeżywanych, największe „spece” sypnęły pomyłkami, a choć informacje gen. Sosnkowskiego co do *GERICHTSGEFÄNGNIS* poparło autorytatywne oświadczenie samego Komendanta, który wspominał panu ministrowi Papée, że „więzienie w Gdańsku znajdowało się o parę kroków od dworca”, opodal zaś dworca znajduje się istotnie gmach, wskazany przez gen. Sosnkowskiego, ale tyle się płątało legend!

Poza Weichselmünde, podsuwano wszakże jeszcze Westerplatte, a inne wersje wskazywały, z listą świadków, iż więzienie mieściło się w dawnej komendzie niemieckiej, obecnie polskiem kasynie, na Neugartenstrasse 7. Tę ostatnią wersję oparto o zeznania niejakiego p. Jana Kwiatkowskiego, b. dyrektora Drukarni Gdańskiej, mieszkającego w Orłowie. Tenże p. Kwiatkowski opowiadał, że jako żołnierz niemieckiej Landwehry pilnował w lipcu 1917 roku, w komendzie wojskowej, tobołów, na których czerniał napis: „*JOSEPH v. PILSUDSKI*“.

Każdy przyczynek do tych dziejów jest ważny, więc oczywiście powzięłam zamiar udania się do Orłowa i porozmawiania z owym p. Kwiatkowskim. Może więcej jeszcze szczegółów utkwilo w jego pamięci? Ale, dowiedziawszy się, że pan eksdrukarz jest gorliwym czytelnikiem Gazety Warszawskiej, która, wiadomo, o tyle tylko interesuje się sprawami, związanymi z historją walk o niepodległość kraju i wogóle całą niepodległością, o ile to jej daje pole do wesołkowato-jadowitych popisów — zrezygnowałam z informacji p. Kwiatkowskiego i zaczęłam poszukiwania w innym kierunku.¹

¹ Przypuszczam że dziś, po śmierci Marszałka Piłsudskiego, p. Kwiatkowski, jak każdy prawy Polak, uważałby sobie za hańbę czytanie Gazety Warszawskiej.

III. OJCIEC DOMU WIĘZIENNEGO

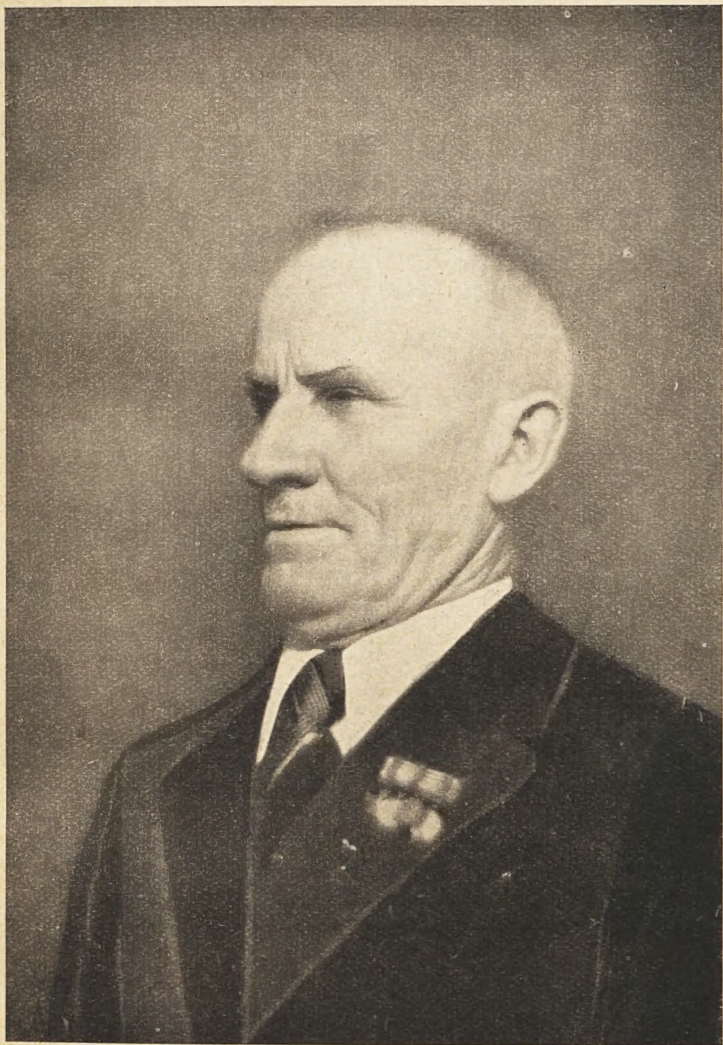
PRZEDWszystkiem poszłam wprost do Gerichtsgefängnis na Schiesstange 12.

Od strony ulicy, zwyczajna czerwono-brunatna kamienica, z małoznaczoną tablicą u drzwi: *UNTERSUCHUNGSGEFÄNGNIS UND STRAFANSTALT DER FREIEN STADT DANZIG*.

Dzięki uprzejmości prezydenta Senatu, p. Greisera, który kazał usunąć z mojej drogi wszelkie przeszkody, nawet takie, jak paragrafy, nie pozwalające fotografowania „o b j e k t ó w s ą d o w y c h“, zdobyć mi się udało wszystko, co się zdobyć dało. Bardzo gościnnie nastrojony dyrektor więzienia oświadczył mi, że wie, iż tu przebywał „*der Marschall von Pilsudski*“, ale nie ma pojęcia, w jakiej celi i na którym piętrze, jest jednak człowiek, który w owych latach pełnił funkcje, zawarte w niesłychanie złożonej tytulaturze: *Gerichtsgefängnishausvater*, i że po niego bezzwłocznie pośle.

Czekając na tego „o j c a“ o tasiemcowo wyrażającej się randze, zwiedzam z dyrektorem więzienia archiwum miejscowe. Przerażające zdjęcia egzekucyj; modele dawnych szpang, trzymających więźnia skutego za szyję, nogi i ręce; rentgenowska fotografia

Jan Bestjan, Polak
z Wąbrzeźna, który
był funkcjonarju-
szem w więzieniu
gdańskim za cza-
sów Marszałka.

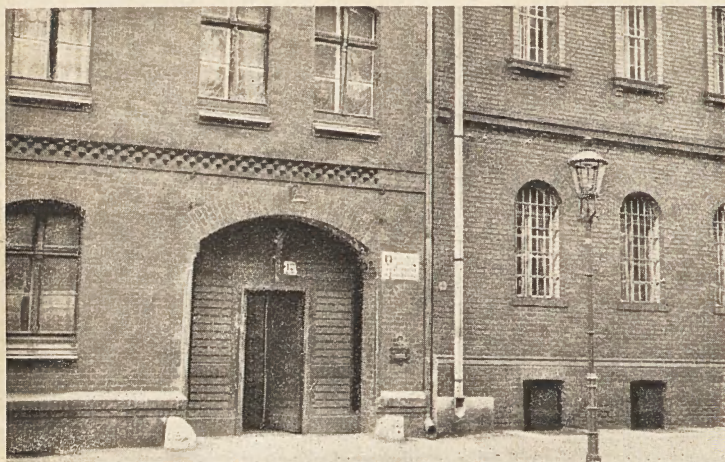


przedmiotów, jak pilniki, nożyce, druty, ka-
wałki szkła etc., które połknął jeden z are-
sztantów w celach samobójczych; rysunki

przestępców, niektóre nawet na wysokim poziomie artystycznym, a przeważnie na tle t. zw. głodu kobiet; różańce, które na życzenie otrzymywali więźniowie, a z których wyrabiali potem kunsztowne ozdoby dla swoich *Schatzów* z oddziału kobiecego i t. d.

Niecierpliwie się. Patrzę bez wielkiej uwagi, a jednocześnie z uczuciem jakiejś rosnącej, podświadomej urazy. Jest coś gnębiącego, drażniącego, nieskończenie bolesnego w poczuciu, iż w tej atmosferze przebiegłości i zbrodni, w najokropniejszych warunkach fizycznych i moralnych, przebywał człowiek, którego cała Polska i wszystkie serca nasze chciałyby otoczyć najwyższą sumą bezpieczeństwa, wygody i radości...

Ale — otwierają się z brzękiem drzwi (tu wszystko robi się z brzękiem ogłuszającym) i wchodzi były *Gerichtsgefängnishaushalter*. Wygląda czupurnie, siwawy, wyprostowany na baczność. Zaczynam z nim rozmowę po niemiecku, ale okazuje się, że jest on Polakiem. Rodem z Wąbrzeźna, nazywa się Jan Bestjan, od roku 1914 był przydzielony do tego gmachu więziennego, a po roku 1917 przeniesiony został przez Niemców do Siedlec, w tym samym charakterze więziennego „domowego ojca”. Zapewne on był aniołem stróżem nad peowiakami, którzy, bici i głodzeni, siedzieli tam od czerwca 1918 roku aż do chwili, kiedy



Gdańsk. Gmach więzienia, w którym przebywał Marszałek Piłsudski od dnia 23. 7. 1917 r. do 29. 7. tegoż roku.

komendant plutonu peowiackiego złożył im raport o zdobyciu więzienia i — o powrocie Komendanta!

Jan Bestjan przebywa obecnie na emeryturze. Pamięta marszałka Piłsudskiego doskonale. Mówi że „pan Marszałek był bardzo grzeczny, ale milczący” i że Niemcy traktowali Go „jako generała”, t. zn. z pewnymi atencjami, że naprzykład nie dali Mu zwykłej celi aresztanckiej, tylko izbę właściwie służbową.

— A może poprostu było przepełnienie w areszcie i nie było wyboru?

— Może. Nie wiem. Ale siedział pan Marszałek w służbowej celi.

— A jaką pan miał funkcję w więzieniu, bo nie bardzo rozumiem, co to znaczy *Gerichtsgefängnishausvater*?

„Ojciec domu więziennego“ wyprostowuje się z pewną dumą i objaśnia, że jemu były powierzane rzeczy więźniów, odbierane tymże przy rewizji i wejściu do więzienia.

— Ach tak? — mówię i doznaję uczucia zawodu. Niewiele będzie mi mógł opowiedzieć p. Jan Bestjan, który miał do czynienia wyłącznie z garderobą więźniów, nie zaś z nimi samymi. Ale jedną ważną rzecz mogę z nim ustalić.

— Tu nikt nie wie, gdzie siedział pan Marszałek Piłsudski. Czy pan może wskazać mi celę?

— Jakżeż! doskonale pamiętam która! — i prowadzi nas przewiewnymi schodami żelaznymi na III piętro. Gmach huczy i jęczy od naszych kroków, jakby piorun walił za piorunem w jego betonowe ściany. Przypomina mi się ustęp ze wspomnień gen. Sosnkowskiego: „...Cechą charakterystyczną tej budowli był niezwykle rezonans, spowodowany zarówno konstrukcją, jak i doborem materiału, na który składała się bodaj wyłącznie cegła, beton i żelazo. To też odgłosy kroków naszego małego orszaku, dźwięczały w ciszy nocnej zgola przeraźliwie...“

Dźwięczą i teraz jak kilofy, ale zatrzymujemy się. Jesteśmy na III piętrze. Balustrada żelazna biegnie wokół wąskiego kurytarza czy

hallu, po którego obu stronach są wejścia do cel. Zdążamy ku celi ostatniej, na prawo. Przy jej otwarciu następują pewne ceremonje, bowiem siedzi w niej obecnie jakiś zasądzony na 7 lat wyższy urzędnik. Znowu wystrzał z armaty, znowu jakby się ziemia waliła, brzęk, rechotanie kluczy, podobnych do narzędzi tortur z czasów Torquemady. Ile tych kluczy, ile tych zamków, tych ludzi, aby niewolić jednego człowieka!!!

Otwierają się ciężkie drzwi i odrazu uderza mnie ten specyficzny chłód, ten specyficzny, dławiący za gardło, beznadziejny smutek celi więziennej, denerwująca szczupłość jej rozmiarów, oschłość jej grubej kraty okiennej, przez którą prowokująco uśmiecha się błękit nieba. Możeby nie wyglądała tak strasznie, gdyby nie to cudne, przejasne, ciepłe, o nieogarniętej przestrzeni niebo wiosenne.

Gen. Sosnkowski pisał:

„...Rozmiary mojej celi wynosiły około pięciu kroków wzdłuż i trzech wszerz, a że nie przypuszczam, aby architekt tej szacownej instytucji, w przewidywaniu jej historycznej roli, wysilał zbytnio swą dekoratorską fantazję, przeto sędzę, że opis mojej celi będzie jednocześnie wierną fotografią celi Komendanta...”

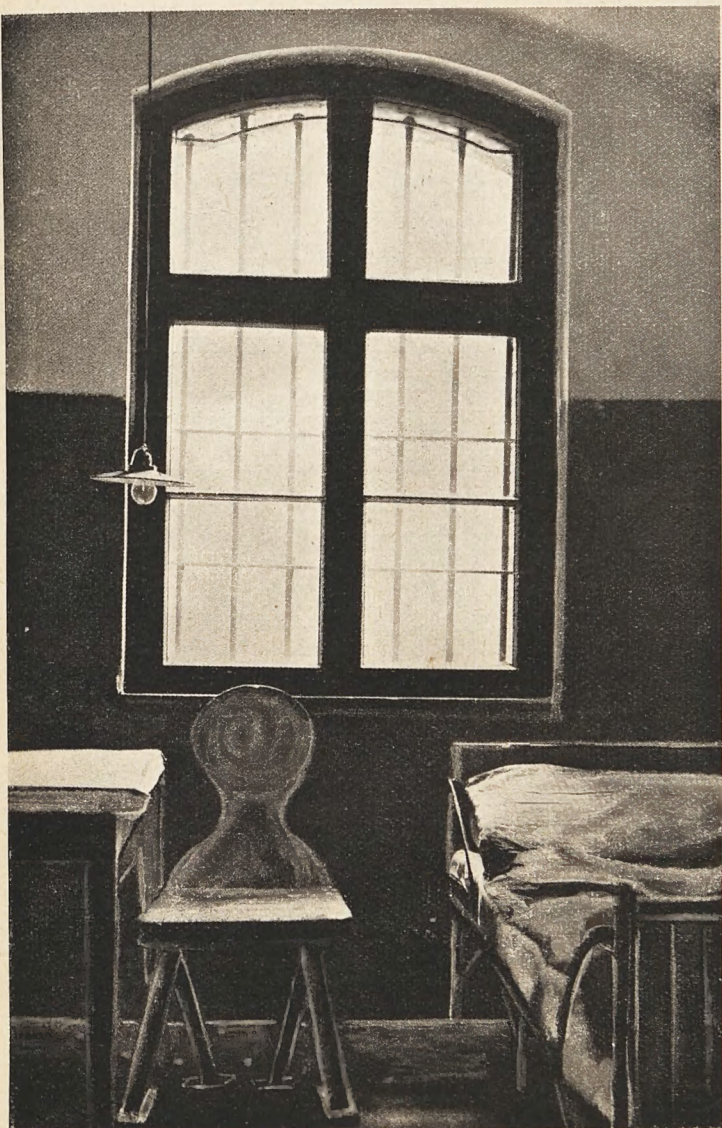
Pomylił się o parę centymetrów gen. Sosnkowski, gdyż Komendant, jako się rzekło, sie-

dział w celi służbowej, nieco większej od zwyczajnych. Urządzenie jednak było to samo. Wąziutkie, jak dla paroletniego dziecka, łóżko żelazne z wojlukiem, wypchanym słomą, na prawo i stolik z krzeselkiem drewnianem — na lewo, ot i wszystko. No i, jak gen. Sosnkowski dodaje, umeblowania dopełniała woniejąca parasza, gdyż podówczas gmach nie był jeszcze skanalizowany. Dziś niema jej — zwisa nawet lampa elektryczna od sufitu... Luksus!

Chciałabym zatrzymać się trochę dłużej, trochę się skupić, zastanowić się nad tem, co mógł myśleć Marszałek, gdy Go rozłączono z towarzyszem i gdy zatrzasnęły się za nim ciężkie, kute drzwi? Któryż to raz w życiu usłyszał za sobą zgrzyt kluczy więziennych? Któryż to raz owiała Go ta nagła pustka, ta czarność godziny bieżącej, o nieokreślonej rozpiętości? Ta niewiedza o jutrze, które może być wszystkim: wolnością, dalszem więzieniem bezterminowem, a może i śmiercią, samotną, śpieszną, pod jakimś murkiem, kulami obłupanym?

Czy uderzało szybciej Jego chrobre, wyniosłe serce, czy też kurczyło się zmęczeniem? Czy usłyszał przewrażliwionemi uszami przez grubość muru więziennego daleki szum Bałtyku, tego, w którego fale miał kazać zanurzyć za lat dwa polskie sztandary? Może ją widział,

Gdańsk. Cella,
w której przebywał
Marszałek Piłsud-
ski.



tę scenę, kierowany zawsze swym proroczym, nieomylnym, mistycznym instynktem...?

Ale nie dają mi rozmyślać. Jan Bestjan opowiada, że za czasów Marszałka dyrektorem więzienia był p. Neunast, mieszkający dotąd w Gdańsku. Postanawiam go także odnaleźć, ale tymczasem wypytuję jeszcze o gen. Sosnkowskiego.

— Nie pamięta pan tego oficera, który towarzyszył Marszałkowi?

— Nie pamiętam. Ale mówiono w więzieniu, że to bogaty właściciel majątków ziemskich z pod Starogardu.

Dziwna rzecz, że gubi się ciągle cień gen. Sosnkowskiego na szlaku Komendantowym. Ani w Szpandawie, ani w Wesel, nie zdołałam jego śladów odszukać, dopiero w Magdeburgu jest jego obecność wyraźnie zanotowana, jako „*Adiutant des Briegadiers v. Pilsudski*“. W każdym razie jedno było realne, tu przynajmniej na gruncie Gdańska: wywrócono generałowi majątki ziemskie w Poznańskim...

Proponuję panu Bestjanowi, aby się dał odfotografować. Mówię mu, że ujrzy swoje oblicze w gazecie, w moim reportażu, w imiennowym numerze Marszałka Piłsudskiego.

— A pan Marszałek mnie zobaczy w tej gazecie?

— Myślę, że tak.

Wtedy zgadza się p. Jan Bestjan, ale prosi,

aby mógł wstąpić jeszcze do domu po... pruskie odznaczenia, któremi chce pierś swoją przyozdobić, zanim stanie przed obiektywem. Ano, kiedy nie można inaczej, niech się stanie wedle woli pocziwego Wąbrzeźniaka...

Tymczasem jedziemy do p. Neunasta. A nuż zasięgnę u niego jakich nowych informacji o 6-dniowym pobycie Marszałka w Gdańsku? Wita mnie para staruszków, zapatrzonych żałościwie li tylko we własne niedole i chorobę. Dyrektor Neunast, opięty w szlafrok jak w mundur generalski, wysoki, sztywny, odpowiada uprzejmie:

— *Pilsudski?! Natürlich!!!* Pamięta, że był w jego więzieniu! Ale w czasie wojny, niestety, rządziła na terenie więzienia prócz władzy cywilnej, władza wojskowa, mająca swoją odrębną, własną komendę i do jej dziedziny dyrektor cywilny nie miał prawa się mieszać. Oddział wojskowy był zupełnie izolowany. A więc nie było dane p. Neunastowi nawet dwóch zdań wymienić z więźniem, którego ważność podkreślali Niemcy — choć (dodaje sobie w myśli) nie docenili jej rozmiarów.

Skończyło się więc na tem, że ustaliłam dwie tylko sprawy w Gdańsku:

a) bezwzględna już pewność, że Marszałek Piłsudski wprost z dworca został przyprowadzony do gmachu na *Schiesstange 12*, zwa-

nego dziś *Untersuchungsgefängnis und Strafanstalt der Freien Stadt Danzig* i

b) celę Marszałka.

Część okien gmachu wychodzi obecnie na Komisarjat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej i wsłuchuje się w gwar polskiej mowy i w niezbyt daleki łoskot polskiego morza.

IV. PODOBŁOCZNA ILUZORYCZ- NOŚĆ SPRAW ZIEMSKICH

KIEDY PRZELATYWAŁAM GRANICĘ niemiecką za Zbąszyniem, myślałam, jak iluzoryczną, choć tyle znaczącą rzeczą jest granica jakiegokolwiek państwa! Z lotu ptaka, który czyni, że krajobraz przestaje być krajobrazem, a staje się geometrją, niezliczoną ilością osi symetrycznych, widzi się bliźniaczą jednakowość linii, tożsamość dróg, identyczność lasów i rzek, śmieszność mrówczych kopczyków i pochodów ludzkich. Tak się wydaje niczem, z pod obłoków, kwestja praw, historii, etnografji, geografji, sentymentu!!!

Na szlaku Warszawa—Berlin, za Zbąszyniem, tak wszystko jest podobne temu, co się widzi po stronie poznańskiej! Dworki naprzekład wiejskie. Uśmiecham się do nich rozkosznie, bo tu, jak tam, zapatrzone są w chlew-

nie, zamiast, jak to jest praktykowane wszędzie, w zielone parki i sady. Kiedy mieszkałam swego czasu pod Trzemesznem, miałam z okien dworu mało urozmaicony aspekt na folwarczną gnojówkę, natomiast chlewnia nasza miała widok na wspaniałą romańsko-barokową katedrę trzemeszneńskiego opactwa i szafirowe wody jeziora. Zazdrościłam nierogaciźnie szczerze, lecz nigdy się nie dowiedziałam, dlaczego taki panuje w Poznańskim zwyczaj w planowaniu folwarków. Co kraj — to obyczaj...

Teraz, z pod obłoków, widzę to samo po stronie niemieckiej: parki rzucone daleko poza dworem, a front pałacików odbity wdzięcznie, choć mętno, w gnojówce. Ale oto wynurza się jedno poletko chłopskie o wyraźnym kształcie swastyki — mój ty Boże, aryjski czy starogermański!! Czyżby w tej formie zaczynała się rozwijać zapowiedziana przez Führera reforma rolna?! Tymczasem coraz więcej widać ogrodów, coraz gęściej, coraz regularniejsze, coraz częściej czernieją olbrzymie nazwiska: SCHULZE i MÜLLER nad szkółkami drzew. Nie można już wątpić, że dojeżdżamy do Berlina.

Istotnie, samolot brawurowo obniża lot — miotelką skrzydeł ścierając poprostu kurz z dachów stolicy — jeśli jest kurz w Berlinie! — i wysiadamy.

SZPANDAWA

30. 7. 1917 r. — 6. 8. 1917 r.

V. WIELOTWARZOWOŚĆ ROCZNIC HISTORYCZNYCH

DO SZPANDAWY JEST Z BERLINA około 30 km. Samochodem jeden skok wspaniałą, gładką jak szkło, szosą. Tu przybyli nasi więźniowie 30 lipca 1917 roku. W przeddzień opuszczali Gdańsk, ale już nie razem, już rozdzieleni. Ostatni raz ujrzał na sekundę gen. Sosnkowski siwy mundur Marszałka Piłsudskiego w głębi kurytarza, w forteczy szpandawskiej.

„...nie przypuszczałem wówczas (powiada Generał), iż w przeciągu roku zgórą nie tylko Go nie zobaczę, lecz nawet nie będę wiedział, gdzie przebywa i jakie są Jego losy...”

Rygor w tem ponurem więzieniu był ciężki, żywność okropna: na rano niesłodzona lura z czarnym chlebem, na obiad menażka kleistej cieczy mączno-wodnistej, z „dwoma pływającymi po niej suszonymi gruszkami“, a na kolację znowu ta sama lura, co rano, i taki sam kawałek czarnego chleba. Żadnych książek, żadnych pism. Izolacja kompletna, grobowa. Mimo lata, o godzinie 19.30 rozkaz: spać! i — gaszono światło, a kiedy po kilku godzinach daremnych wysiłków zaśnięcia przychodził zbawczy, niecierpliwie wyczekiwany sen, przerywały go natych-

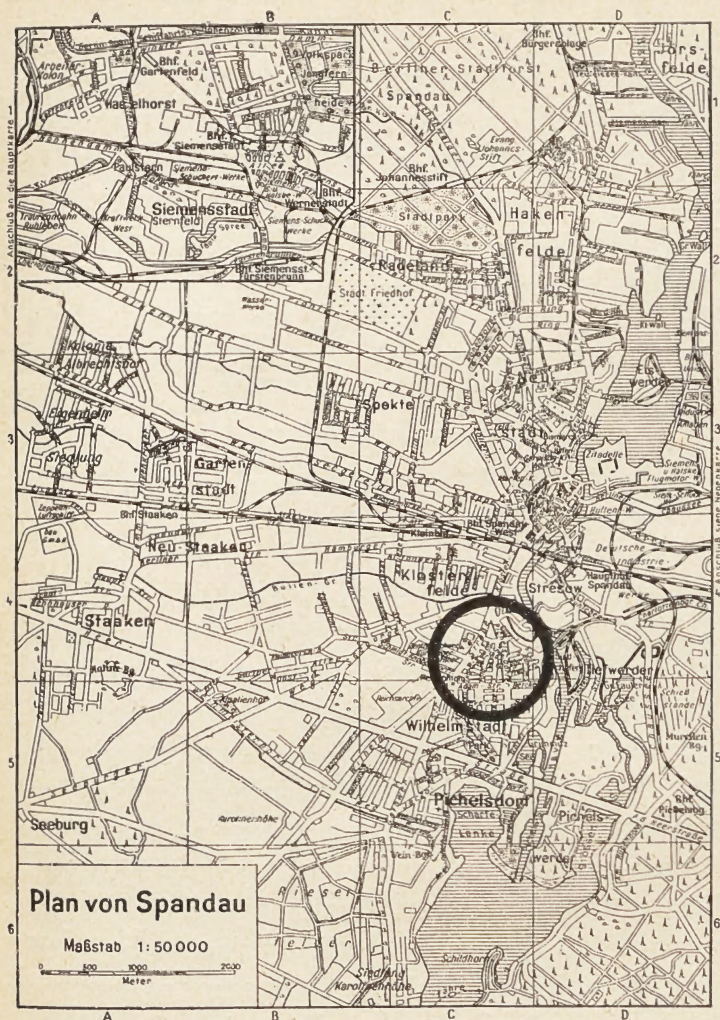
miast zajażdżały bataljony pluskiew, chmary całe nie do wybicia. O 5-ej, świtem, budzili więźniów dozorczy i tak codziennie. Trwało to wszystko jednak tylko dni 8, bo już 6 sierpnia, w trzecią rocznicę wymarszu z Krakowa, wymaszerowali nasi jeńcy ze Szpandawy dalej, na jeszcze gorszą poniewierkę.

Jakże inaczej wyruszali wtedy, w r. 1914, z Oleandrów, o trzy lata młodszy, w biedzie, ale triumfalni, ale pełni wiary — nieliczni, ale silni, jak stutysięczna armja...

VI. SZLAKIEM NASZYCH J A G I E Ł L O N E K

SZPANDAWA JEST ROZRZUCONEM, dość dużym miastem. Liczy przeszło 140.000 mieszkańców. Uroda jej mieści się w pierścieniu ląpisłazurowych jezior i w cudownych lasach, bo sama jest brzydka, wyniszczona jakąś furją nowoczesności, która prawie wszystkie zabytki wartościowe zmiotła z powierzchni ziemi. W każdym razie jest dumna, że liczy sobie więcej lat, niż Berlin, stolica kraju, i że była miejscem pobytu wielu panujących głów.

Szpandawa powstała już w XII wieku, fundowana przez Albrechta, zwanego Niedź-



Szpandawa, plan miasta. Pośrodku oznaczone miejsce wzięcia fortcznego, w którym siedział Marszałek od 30. 7. 1917 r. do 6. 8 tegoż roku.

w i e d z i e m. W jej murach kazał Melanchton, przyjaciel Lutra, i szalały rozmaite epidemie, z których jedna, obsesji djabelskiej, dała źródło powiedzonku: *was macht der Deibel in*

Spandau? (co robi djabeł w Szpandawie). Djabeł wcielał się w kobiety, w mnichów, w mniszki i dzieci i czynił spustoszenia niebywałe, siarką plując na egzorcyzmy, na relikwie, na święconą wodę. No, ale, że wszystko ma swój koniec, więc skończył się i djabeł.

Bywały też i djablice, wcale urodziwe i niebezpieczne, między innymi naprzykład Anna Sydow, „piękna giserka“, która tu na cytadeli zmarła, więziona przez kurfirsta Jana Jerzego. Była kochanką jego ojca, kurfirsta brandenburskiego Joachima II. Ten ostatni interesuje nas o tyle, że był żonaty z naszą Jagiellonką, Jadwigą, córką Zygmunta Staroego i jego pierwszej żony Barbary Zapolyi.

Królewna była chrzczona w poznańskiej katedrze, przy której się urodziła, w sam dzień św. Józefa, a miała lat 21, kiedy hucznie zaślubiała wyż wspomnianego kurfirsta brandenburskiego, za indultem, jako że pierwsza jego małżonka, Saksonka, rodziła się także z Jagiellonki, Barbary, siostry ojcowej. Joachim przybył w mury Krakowa na ślub z bogatą świtą, liczącą przeszło tysiąc luda i 856 koni. Był piękny i młody i serce miał gorące, ale szczęście królowny niedługo trwało. Smętne wieści zaczęły wnet dochodzić z brandenburskiego dworu, bo niedość, że nasza Jagiellonka musiała tolerować liczne miłostki kurfirsta, z których najdokuczliwszą była owa wła-



Szpandawa. Więzienie Forteczne (Festungsgefängnis), w którym przebywał Marszałek Piłsudski od 30. 7. 1917 r. do 6. 8 tegoż roku.

śnie „piękna giserka“, ale ponadto znosić brutalność swego pasierba Jana Jerzego i, wkońcu, przeżyć odszczepieństwo swego (pod niejednym widocznie względem niewiernego) małżonka i pana. Bo oto pewnego dnia przeszedł kurfirst uroczyście na łono Reformacji, co upamiętnione zostało w Szpandawie pomnikiem, stojącym przed kościołem św. Mikołaja.

Archiwa nasze i pruskie są pełne wzruszających listów Zygmunta Starego do córki i do zięcia, dalej — Zygmunta Augusta do siostry i reszty rodzeństwa, królewien: Zofji, Katarzyny, Izabelli i Anny Jagiellonki, które pisały wyjątkowo często, jak na owe czasy, do „Najjaśniejszey Księżny Pani Jadwigi, z łaski bożej Królowny Polskiej, margrabiny Bran-

deburgskiej etc. Siestry miłościwey...” W archiwum rodziny królewsko-pruskiej w Berlinie znajduje się ciekawy opis wypadku, jakiego doznała królowna Jadwiga, margrabina brandenburska, na myśliwskim zameczku w Grimnitz pod Szpandawą dnia 7. 1. 1551 r., o czym donosi swoistym stylem margraf Jan na Kistrynie imćpanu Andrzejowi, hrabi na Górcie, kasztelanowi poznańskiemu.

Onego dnia znajdowali się w komnacie gościnnej: stara dworka, niewiadomego nazwiska, kurfirst Joachim, nasza Jagiellonka „*ein Hundlein und zwei Marienbilder von golde oder silber*“. I raptem załamała się podłoga, poczem całe towarzystwo runęło w przepaść: margraf, jego żona, stara dworka i oba obrazy Matki Boskiej. Tylko piesek pozostał nietknięty w komnacie...

Bardzo bolała rodzina jagiellońska nad herezją Joachima. Zygmunt Stary walczył jak mógł, zapomocą listów i posłów, o katolicyzm swego zięcia, trwożąc się zrazu o jego duszę, a następnie o duszę swej ukochanej córki, aby jej mąż-heretyk nie nakłonił do odstępstwa. I tak nawzajem się nawracali. Zygmunt Stary Joachima, nadmieniając, że „wiarę wziął od przedków przez ręce i za światłością Boską“, a Joachim odpowiadał z gorliwością neofity, że „ufa miłosierdziu Boskiemu, iż ono i samego Króla Jegomości i Nayjaśnieyszą Jego Cór-



Jadwiga Jagiellonka,
córka Zygmunta
Starego i Barbary
Zapolyi, małżonka
Joachima II, Kur-
fista Brandenbur-
skiego, przebywała
często w Szpanda-
wie.

kę do poznania jasnej prawdy boskiej (czyli luteranizmu) doprowadzi..." Nie doprowadziło do niczego, ale syn Jadwigi Jagiellonki, Zygmunt, podobny nadobitkę jak dwie krople wody do swego dziadka, króla Zygmunta Staro-
rego, był pierwszym biskupem magdeburskim, który do tej djecezji wprowadził Reformację. Zmarł w roku 1566 ten wnuk Jagiellonów, wszystkie świątynie magdeburskie przero-
biwszy na luterzańskie zbory.

Ciekawe byłoby przeprowadzić takie studjum nad psychiką religijną Jagiellonów, bo jednak, mimo ich rzekomo gorliwego katolicyzmu, błąkały się gęsto nowinki reformatorskie w ich szeregach. Zupełnie niejasna jest sprawa, czy Jadwiga, margrabina brandenburska, wytrwała w wierze katolickiej, choć kroniki utrzymują, że się odsunęła od dworu po przyjęciu luteranizmu przez męża, haftując pobożnie ornaty dla katolickich kościołów. Jej siostry też nie wszystkie odpowiadały rygoryzancko wymogom religji katolickiej — na przykład konszachty konfesyjne królowny Zofji Jagiellonki, młodszej jej siostry, księżny brunświckiej, z własnym pasierbem, zaciętym protestantem Juljuszem... Zygmunt August też, wiadomo, marzył o narodowych kościołach odszczepieńczych, ale, zajęty walką o swoje najdroższe sprawy sercowe, a potem tęsknotą za zmarłą małżonką i tysią-

cem zagadnień państwowych, odłożył reformę *ad infinitum*...

Może to zemsta była Perkuna za zbyt energicznie obalane jego chramy na świętej Litwie, świętymi rękami pierwszej Jadwigi Jagiellonki? Tamta z Brandenburgji, po nagłej śmierci męża Joachima, która nastąpiła w nocy z 2 na 3 stycznia 1571, zamieszkała w hrabstwie ruppińskim, otrzymanem w odprawie.

Cytadela szpandawska jeszcze do roku 1701 posiadała basztę jej imienia i do dziś jest ulica Jadwigi w tem mieście (*Hedwigstrasse*), tak samo zresztą, jak w wielu innych okolicznych miejscowościach, poczynawszy od Hannoveru. Cała Brandenburgja była spokrewniona z Jagiellonami, polsko-litewskimi panami, i tym to szlakiem właśnie naszych królewien miał iść Józef Piłsudski.

Historja ma swoją zawiłą, ale nieubłaganą logikę.

VII. PERYPETJE Z CYTADELAMI

WSZPANDAWIE, POZA JAGIELLOnami, przebywał swego czasu Gustaw Adolf, też krewny naszych monarchów; Napoleon wzmacniał jej fortecę w r. 1806; 400 jeńców Francuzów, zmarłych w r. 1870 na ospę,

spoczywa na tutejszym cmentarzu — do zwiedzania jednak, powtarzam, niema tu prawie nic, gdyż wszystko zniszczył pęd ku unowocześnianiu się, wyjątkowo na gruncie szpandawskim gwałtowny. Nie tracę więc czasu na oglądanie zabytków, tylko rozpoczynam poszukiwania.

Poszłyby gładko, gdyby nie to, że zmyliło mnie powtarzanie słów: „c y t a d e l a“, „f o r t e c a“. „Komendant siedział na cytadeli w Szpandawie“, „Komendant był więziony w fortecy szpandawskiej“... Udaję się zatem na cytadelę, przez *kanal Hohenzollernów* i *Schleusenbrücke*. Gmach wygląda ślicznie. Ogromne kamienne palisady, odbite w wodzie, która otacza wokół mury, piękne stare wysokopienne drzewa—wszystko to czyni z groźnego zakątka jakiś romantyczny punkt.

Dzwonimy. Z przeraźliwym hukiem otwierają się podwoje i wchodzimy do poczekalni: ja, dr. Kirken, referent prasowy naszej berlińskiej ambasady, i fotograf. Poczekalnia jest jak chłopska izba. Podłoga drewniana, drewniane wokół ławy i stoły, żelazna umywaleńka i na krzywej nodze szafa, do której również krzywo jest przybity gwoździem portrecik Hitlera, wycięty z gazety. Przy mnogorozgałęzionym aparacie telefonicznym siedzi obojętny urzędnik, nie przerywający wcale rozmów na nasze wejście i wogóle nie patrzący

Oskar Kempe
przy swoim domu
w Szpandawie. Za
czasów Marszałka
Piłsudskiego, pełnił
w więzieniu funkcję
Festungsrendanta.



w naszą stronę. Natomiast zaaferowany
klucznik wypytuje, o co nam chodzi. Bardzo
się dziwuje, kręci głową.

— Może być, że tu siedział *der General von*
Pilsudski, ale trzeba mieć pozwolenie od ma-

jora Freiherr von Lützow, jeśli chcemy coś oglądać, czy fotografować.

— *Ach so?! A gdzie jest Freiherr von Lützow?*

— W Berlinie.

— Masz, babo, placek! A czy możnaby, na przykład, zatelefonować stąd?

— Owszem. Można.

Jest jeszcze jeden aparat telefoniczny przy oknie, za którego szybami rozciąga się szereg tajemniczych namiotów, stojących rzędami na podwórzu, i wre bujne życie forteczne. Pan mjr. Freiherr von Lützow odpowiada bardzo uprzejmie, że bardzo prosi, że niema nic przeciw odfotografowaniu cytadeli i ewentualnie budynku, w którym był więziony Marszałek Piłsudski — jeżeli tu był więziony — ani nic przeciw przepytывaniu ludzi, którzyby go ewentualnie pamiętali, poczem woła klucznika do telefonu. Po rozmowie z Freiherrem dozorca staje się mniej przedsiębiorczy. Dość naiwnie oświadcza, że w pomienionym budynku są teraz składy masek gazowych, ale że pójdzie jeszcze przepytac jednego człowieka, który w cytadeli pracuje od lat 25.

Czekamy. Terkoczą bezustannie telefony, milczący telefonista przerzuca ciągle wtyczki z otworu w otwór — mrukliwie, monosylabami, lub służbiście odpowiadając niewidocznym swoim rozmówcom. Cała gama odcieni

mieści się w jego sposobie odpowiadania, choć twarz ma jak z kamienia. Tymczasem wraca dozorca i oświadcza że... nigdy tu Marszałek Piłsudski nie przebywał.

Obruszamy się.

— Żarty, panie kochany! Zupełnie pewne jest i stwierdzone, że Marszałek był więziony w fortecy w Szpandawie wraz ze swoim szefem sztabu...

— No to może w fortiecznym więzieniu na Wilhelmstrasse? — podsuwa nagle milczący dotąd telefonista. Ale my spoglądamy na nich obu nieufnie, pewni, że to wykręt, spowodowany specjalną instrukcją, daną telefonicznie przez Freiherra. Skądże drugie forteczne więzienie w małej Szpandawie?

No, ale niema rady. Wychodzimy zgnębieni i jedziemy wprost na Wilhelmstrasse, tracąc coraz bardziej nadzieję, bo na nasze pytania o *Festungsgefängnis* każdy przechodzień odpowiada, że jest niem właśnie przez nas opuszczona cytadela.

VIII. N A R E S Z C I E Ś L A D !!!

A JEDNAK NA WILHELMSTRASSE stoi kompleks budynków, ozdobiony dwiema basztami i pnącym dzikim winem, o wcale ładnym frontonie, który nosi nazwę *Festungsgefängnis*. Nadzieja zaczyna świ-

tać! Nauczeni doświadczeniem, nie czekając aż nas znowu odeślą po zezwolenie do berlińskich *Freiherrow*, stajemy przed gmachem głównym, robimy zdjęcie i dopiero z gotową kliszą w kieszeni wchodzimy. Szalenie uprzejmy klucznik, mocno zaintrygowany naszymi poszukiwaniami, rozpuszcza dobroduszenie język. On coprawda nic nie pamięta, jest za młody, ale wie, że siedział tu *ein polnischer General* i że są nawet dwaj ludzie w Szpandawie, którzy to doskonale sobie przypominają: jeden, Hennig, dozorca więzienny, dotychczas w służbie, a drugi, Oskar Kempe, mieszkający o krok dalej, pod nr. 22, dawny *Festungsrendant*, obecnie emerytowany. Dodaje, że 2000 więźniów bawi obecnie w gmachu. Myślę sobie: b a w i j a k b a w i, ale ruch jest w Vaterlandzie!

Znowu z tem znanem brzęczeniem kluczy prowadzą nas do *Herr Inspektor*. Wysoki, chudy dygnitarz podnosi nagłym ruchem obie ręce dogóry i krzyczy, jakbyśmy go kwasem pruskim obleli:

— Państwo z prasy? Nie chcę mieć z prasą nic wspólnego!!! Wogóle dziennikarzom nie odpowiadam!!!!

Uspokajamy łagodnie ludożercę, iż niezbyt godnie reprezentujemy prasę, gdyż nie jesteśmy wogóle a k t u a l n i, pragniemy zasięgnąć języka o okresie już historycznym, bo

z przed 18 lat, z czasów wojny. To chyba nie może go wyprowadzać z równowagi.

— *Ach so?! Na, das ist was anders...* Ale on wogóle nie może dawać żadnych informacyj, od tego jest *Herr Direktor*.

— A gdzie pan dyrektor? — pytamy, truchlejąc, że on też w Berlinie, jak tamten *Freiherr*.

— Zaraz przyjdzie.

Odprowadzają nas zpowrotem do poczekalni. Wszystko tu razem tchnie ponurością i brutalnym jakimś posmakiem. Ściany są nagie zupełnie, zimne, przy wszystkich drzwiach zamki, jak wrota do piekieł. Każdy ruch wywołuje tu łoskot. Nieznośnie! Po dobrej półgodzinie, podczas której mój towarzysz z ambasady dr. Kirken jęczy z głodu, zabierają nas do gabinetu p. dyrektora. Wręczają nam przy tem kartoniki, różowe z numerkiem, jak bilety do kina.

— Poco nam te kartoniki? — interpelujemy klucznika.

— Ano, bo gdybym się zmienił przy bramie, toby was już stąd nie wypuścili.

Na takie dictum, rzucamy się skwapliwie na różowe kartoniki i kurczowo je w rękę zaciskamy. Nie można nigdy wiedzieć...

Herr Direktor ma twarz płaską, lekko, zdaje mi się, ospowatą i jakby niedociosaną w jakimś szarym, jak ten cały gmach, kamie-

niu. Nawet włosy, siwiejące na skroniach, przypominają wałeczki cementu, wypryskującego między dwiema cegłami. A może wogóle oderwał się od tynku i spadł z sufitu, wprost przed biurko? Teraz wstaje sztywno, wita się jeszcze sztywniej i na każde nasze pytanie odpowiada niezmiennie:

— ...*ausgeschlossen!* wykluczone! Ani fotografować nie można gmachu z zewnątrz, czy z wewnątrz, ani przepytywać ludzi!

— ...*ausgeschlossen!*

Z uczuciem niewysłowionego triumfu tuliemy do serca gotowe klisze i powtarzamy sobie adres emerytowanego *Festungsrendanta*. Bo o Henningu mowy niema! Tymczasem tłumaczę, najpiękniejszym językiem Goethego, na jaki się zdobyć mogę, że nie chodzi o dzień bieżący, tylko o odległe czasy, wymazane już z pamięci dwóch narodów, obecnie w zgodzie żyjących, o materiały czysto naukowe, historyczne...

Kujon kiwa głową tępo i powiada:

— *Ausgeschlossen.*

Wogóle zdaje mi się, że to jedyne słowo, którem włada, ale to jedyne słowo wprawia za każdym razem w trans radości pana inspektora, który stoi pod oknem, z miną Gotfryda de Bouillon. Jego świdrujące, ucieszone nad wyraz oczy, zdają się ryczeć prosto:

— A mówiłem wam, że jeszcze się nie uro-

dził ten gryzipiórek, któryby tu coś wskórał...

Istotnie — kłapa. Na szczęście, częściowa, bo 1-o — widok więzienia mamy już w kieszeni, a 2-o — przed nami są nadzieje na p. Oskara Kempe. Żegnamy tedy oziębłe nieprzejednanego kujona i idziemy pędem poszukiwać tamtego. Trzeci dom za więzieniem, nr. 22, na wysokim parterze...

IX. TELEFON NIE WPORE

OTWIERA NAM DRZWI WYSTRASZONA siwa pocziwina i drżącym głosem pyta, czego chcemy od jej męża? Na naszą odpowiedź tłumaczy, że poszedł się właśnie przewietrzyć do parku, ale ona go zaraz zawoła, tylko wstąpi do *Frau Doktor* etc... Stajemy przed furką ogrodową i czekamy. Nauczyliśmy się czekać, tylko dr. Kirken zapowiada grobowym głosem, że jeśli nie otrzyma czegoś do zjedzenia, to do kwadransa rozstanie się z życiem lub przynajmniej zemdleje. Katastrofie zapobiega zjawienie się p. Oskara Kempe we własnej osobie. Jest uprzejmy, wylewny, uśmiechający się gościnnie przez siwą bródkę, starannie podstrzyżoną. Nasza Rzepicha tak się gościnnie do aniołów niebieskich nie uśmiechała, jak on do nas. Ale nie idziemy na lep tego uśmiechu. Energja, długo tamowana,

rozpiera nas. Nie dopuszczając więc p. Oskara Kempego do słowa, stawiamy go pod murkiem i śpiesznie fotografujemy.

Festungsrendant jest oszołomiony tym zabiegiem, ale wraca do przytomności i, wprowadziwszy nas do mieszkania, opowiada długo, że przypomina sobie znakomicie, jak przywieziono do Szpandawy *den Herr Marschall von Pilsudski*.

— *Ein vornehmer Herr war er!* Był wyniosły, mało mówiący, niczego nie żądał nigdy, na nic się nie skarżył i tylko co pewien czas przychodził do p. Oskara Kempe do biura po papierosy, które, nie pamięta, kto przesyłał. O gen. Sosnkowskim nic nie wie. Notuję skwapliwie jego rozpoczęte opowiadanie, ale w tej chwili przerywa dzwonek telefonu. Pan Oskar Kempe przechodzi do drugiego pokoju, słyszymy jak rozmawia z kimś półgłosem i wraca — całkowicie odmieniony. Wycofuje się trwożnie i tłumaczy, że on przecież nic ważnego nie mówił, poco ja notuję jego słowa? i t. d.

Niema dwóch zdań, że ponury cerber, dyrektor więzienny — domyślił się, iż pójdziemy wprost z jego niegościnnych objęć do p. Kempego i zamknął mu czem prędzej buzię przez telefon. W każdym razie, zdołał nas jeszcze poinformować p. Kempe, że jest Niemcem, ale pochodzi z pod Ostrowia Wielkopolskiego,

z majątku obecnego ambasadora Rzeczypospolitej Polskiej, w Berlinie p. Lipskiego, że władza językiem polskim. I istotnie, przemawia do nas uprzejmie naszym językiem, prosząc o przesłanie dziennika, w którym się pojawiają moje wspomnienia ze Szpandawy.

Na tem skoczyła się moja misja w tym zakątku — dr. Kirken dorwał się nareszcie do restauracji i wracamy do Berlina, skąd musimy nazajutrz wsiąść do pociągu, zdążającego do Wesel, dalekiej twierdzy historycznej na pograniczu Holandji, nad błękitnym Renem...

W PRZELOCIE PRZEZ NIEMCY

X. ZDRADA PAŃSTWA A PAŃSTWO

MIAŁAM JECHAĆ ZUPEŁNIE SAMA, chciałam więc w Berlinie zasięgnąć trochę języka. Może fałszywe były moje odczucia, ale tak mi się wydawało, jak gdybym się znalazła w różowej, powiedzmy, piżamie na pogrzebie. Jakiś zgrzyt towarzyszył moim indagacjom. Przyjechałam bowiem do Berlina akurat w dniu, kiedy tracono wmieszane w aferę szpiegowską dwie piękne, młode arystokratki niemieckie, baronową Benitę von Berg, urodzoną von Falkenhayn, bratanek zasłużonego generała v. Falkenhayna, i Renatę von Natzmer, której czterej bracia zginęli na polu chwały w czasie wielkiej wojny, a niezliczona ilość krewnych służyła i służy w wojsku pruskim.

Obie, zakochane w urodziwym Polaku Sosnowskim, wydały mu ważne tajemnice państwowe. Wszyscy troje zachowali się wobec trybunału wojennego z dużą godnością: Sosnowski — biorąc rycersko całą winę na siebie, baronowa Berg — oświadczając, że tylko ona jest winna, że niczego nie żałuje, a w godzinę śmierci będzie szczęśliwa, iż tracą ją, nie zaś jego. I istotnie, umierała spokojnie, z niespotykaną brawurą kładąc prześliczną głowę pod

topór kata, kiedy Hitler odmówił łaski lapidarnem orzeczeniem, iż „zdradę płaci się tylko życiem“.

Ale może najszlachetniej znalazł się trybunał wojenny, który wszystkich zaskoczył wyniosłym tenorem wyroku. Brzmiał on mianowicie, iż Sosnowskiego, w przeciwieństwie do tamtych obu Niemek, nie skazuje się na śmierć, tylko na dożywotnie więzienie, bowiem: „nie ubliżył honorowi oficera i nie działał na szkodę własnego państwa...”

I oto właśnie w takim dniu i w takiej atmosferze podrażnienia, zjawia się obca dama z zagranicy i dopytuje się, gdzie może i jak może, bardzo nawet nachalnie, o rozmaite twierdze i cytadele wojskowe, wymawiając tu i ówdzie nazwisko „Sosnkowski“, bardzo dla niemieckiego ucha zbliżone do nazwiska skazanego... Miałam dziwne uczucie, powtarzam, iż znalazłam się w nieodpowiedniej chwili, na nieodpowiednim miejscu i że Niemcy są bardzo uprzejmi, iż chcą wogóle ze mną gadać. Ale — cofać się już nie mogłam. Zresztą pocieszyła mnie wiadomość, uzyskana niebawem od kpt. Steblika, naszego attaché wojskowego, iż zarówno Magdeburg jak Wesel, są już zdemilitaryzowane, że zatem mogę bez żadnych przeszkód i zezwoleń jechać dalej.

W wilję wyjazdu, mając wieczór wolny, po-

szłam obejrzeć film najnowszej, a r y j-
s k i e j, produkcji niemieckiej: *DER ALTE
UND DER JUNGE KÖNIG*. Tyle się nasłucha-
łam utyskiwań u nas, że film niemiecki prze-
stał istnieć, bowiem rasistyczne rugi w tym
światku podważyły jego fundamenty docna,
że chciałam się naocznie przekonać, co w tem
jest prawdy.

Zasiadam w olbrzymim foyer *Ufa-Palace*
i przeglądam wetknięty mi w rękę wraz z pro-
gramem *Filmwelt*. Zaiste, dziwne są tu rzeczy!
Np. dział „O d p o w i e d z i f i l m o w y c h“.
U nas w takim dziale czyta się pytania, czy to
prawda, że Igo Sym rozwiódł się z jedną hra-
bianką i zaślubił Tolę Mankiewiczównę? lub
czy to możliwe, aby Smosarska nosiła w domu
rogowe okulary? A tu, w niemieckiej Film-
welt, jedno pytanie za drugim, w deseń na-
stępujący:

„...*Welcher Konfession ist Adolf Wohl-
brück?...*“ (Jakiego wyznania religijnego jest
Adolf Wohlbrück?) Dalej pytania jak grad
i odpowiedzi uspokajające:

„...*Ja, die Genannten sind alle arisch... Lil
Dagower arisch, selbstverständlich...*“

Zupełnie jak ulotka naszej Katolickiej
Agencji Prasowej.

Oczywiście, taka treść nadaje z miejsca
swoisty charakter całemu nawet niemieckie-
mu przemysłowi filmowemu. Z dalekich mgieł

pamięci wysuwa mi się dziecinna, smutna, lunnarna twarz Elżbiety Bergner i myślę, że jednak twardo i mocno trzeba wierzyć w swoje jakieś odrodzeniowe ideały państwowe i systemy rządzenia, aby się wyrzec takiej artystki!!

Tymczasem zaczyna się seans. Sala zalana rżęsiem światłem. Głowa przy głowie. Zwłaszcza masa młodych ludzi w mundurach wojskowych i organizacyjnych. Pełno swastyk na rękawach i nawet na biustach u dam. Nadprogram krótki, prawie żadnych ogłoszeń i odrazu obraz główny: dzieje znanych starć między królem Fryderykiem Wilhelmem a synem jego, późniejszym Wielkim Fritzem, przyjacielem Woltera i naszego biskupa i poety Krasickiego. Film jest technicznie i aktorsko wspaniały, Jannings niezrównany, Werner Hinz zimny i kanciasty, jak świętek z drzewa, cały zespół doskonały, ale nie to jest ważne, choć przekonywa mnie, że bajki wierutne ów rzekomu upadek kinematografji niemieckiej!

Film ten jest przedewszystkiem tak znakomitym wykładnikiem aktualnych hasel i metod pedagogicznych niemieckich, takie stanowi basis dla tego wszystkiego, czego o Niemczech nie wiemy, chociaż tyle się o tem prawi, że doprawdy zalecam każdemu, któryby rdzeń nowożytnych prądów w państwie Hitlera chciał poznać, aby pośpieszył obejrzeć

ten film i wogóle filmy, bowiem obecni kierownicy polityczni w Niemczech świetnie się orjentują, jaki zasięg ma film w szerokich masach. A o masy im chyba chodzi.

Otóż treść obrazu „*Der alte und der junge König*“ jest tragiczna i wysoce pouczająca. Kronprinc wymyka się zuchwale z wychowawczych rąk starego króla-ojca. Spóźnia się na rewje, gra w karty lub (co jest — wiadomo dlaczego — gorzej widziane) na flecie, zamiast pilnować swoich obowiązków kształcenia się w rzemiośle królewskim. Stary król szaleje i doprowadza do tak ostrego zatargu, że kronprinc postanawia machnąć ręką na Prusy, na koronę i czmychnąć w świat, do Anglii, skąd jego matka pochodzi. Przyjaciel jego, wierny lejtnant Katte, zakochany (zresztą wzajemnie) w siostrze Fritza, odradza mu tego warjactwa, ale gdy ten nalega o pomoc i apeluje do przyjaźni, Katte nie odmawia. W chwili jednak, kiedy mają przekroczyć granicę, przyłapuje ich nieprzytomny z furji i rozpaczy król Fryderyk Wilhelm i osadza obu w więzieniu (właśnie w tej twierdzy Wesel, do której mam jutro podążyć!!).

Lejtnant Katte zostaje skazany na ścięcie, a kiedy jego stary ojciec, faworyt króla, pada temu ostatniemu do nóg, błagając o życie dla syna, król ściska go czule i powiada:

— Nie mogę, przyjacielu. Kocham cię, ale

syn twój musi umrzeć. Jego śmierć musi wstrząsnąć krnąbrną, lekkomyślną naturą mego syna. To przecież przyszedł władca Prus. Tu nie o mego czy twojego syna chodzi, tu, zrozum, chodzi o PRUSY! Nie mówmy o tem, czy winny czy niewinny — śmierć jego musi być punktem zwrotnym w psychice kron-princa...

Stary Katte, opuszcza głowę, godzi się z wyrokiem i mówi, łkając:

— Dobrze. Będę uważał, jak gdyby mój syn poległ na polu chwały...

Śmierć lejtnanta, straconego w Kistrzyniu (wszystko ściśle historyczne), wstrząsnęła istotnie duszą młodego, nieopatrznego Fritza. Stwardniał, skrzepł. Pamiętliwy, nie przebaczył ojcu nigdy, oplakiwał przyjaciela całe życie, ale zrozumiał, że jest coś ważniejszego nawet niż nienawiść, nawet niż przyjaźń, nawet niż jednostkowa sprawiedliwość. Jest P a ń s t w o, któremu trzeba służyć.

Kiedy kona jego ojciec, stary król — Fritz przybywa do Poczdamu, ceremonjalnie i zimno całuje stygnące ręce monarchy, ale pręży się na baczość, wzruszony, gdy umierający król szepcze:

— *Mach Preussen gross!* Uczyń Prusy wielkimi!

Na te słowa, kurtyna spada. Sala trzęsie się od braw. Czujemy, jak dreszcz zachwytu

wstrząsa $\frac{3}{4}$ młodych widzów, zapelniających olbrzymi *Ufa-Palace* — i pojmujemy, jakimi stalowymi chwytami kształtuje swoje młode Niemcy Hitler.

Pod wrażeniem tych rzeczy, odsłaniających rąbek prawdy o współczesnej pedagogji hitlerowskiej, wyjeżdżam świtem do Wesel, tam, gdzie Wielkiego Fritza uczono, czem jest idea państwowa, uczono brutalnie i niehumanie, lecz ze skutkiem.

XI. REWJA KOMENDANTA

DROGA WIEDZIE PRZEZ RATHENOW, Stendal, Portę, Breckwede, Hamm, Hannover, Dortmund i Oberhausen. Oczy Komendanta musiały wyglądać tu przez szyby wagonu, bystro i chmurnie. Musiał wyczuwać, że tu wszędzie, wzdłuż i wszerz, ustawili się lub ustawia, frontem do Jego mknącego pociągu, Jego żołnierze, rozsypani tyraljerką po więzieniach, po budach izolacyjnych — straż wierna nie tylko nad Wisłą, ale nad Renem, nad Havelą, nad Elbą, nad Dunajem.

W takim Havelbergu miał wnet zacieśniać więźniom kajdany p. Joppe, Żyd berliński, szczególnie wrogo do Polaków usposobiony. Sznur drewnianych baraków, prymitywnych i pruską modą „z d r y l o w a n y c h“, mieli

wypełnić po brzegi oficerowie legjonowi i peowiacy. Przebywał tu Tadeusz Caspaeri, Grzmot-Skotnicki, Orlicz-Dreszer z ojcem, Kołłątaj-Śrzednicki, Piotr Górecki i Wojciech Stpiczyński, obecny naczelny redaktor Kurjera Porannego, który nigdy już do zdrowia nie wrócił po półtorarocznych okropnościach więziennego reżimu. Poza nimi — dr. Matuszewski, Stanisław Hempel, Roman Pruszkowski.

Ledwo się zeszli, już oficerów legjonowych wysłano do Werl i zatrzaśnięto w bogobojnym hotelu pańniczym, służącym normalnie pielgrzymom, których tu wiodła chęć pokłonenia się „cudownemu“ obrazowi Matki Boskiej, nad którym pieczę mieli franciszkanie i urszulanki. Do tegoż Werl zostali później spędzeni prawie wszyscy oficerowie — 25-ciu — z Orlicz-Dreszerem, Kołłątaj-Śrzednickim, Dąbkowskim, Wieczorkiewiczem, Trojanowskim na czele. Tylko peowików zostawiono w Havelbergu, karmionych grubjaństwami Joppego, odwarem kory brzozonej rano i wieczór, zupą z obierzyn kartoflanych i chlebem, jak zastygła z czasów pompejańskich lawa. Aż ich 7 stycznia 1918 zagarnięto zpowrotem do kraju, do nowego więzienia w Modlinie.

W Holzmünden pastwił się drapieżny pułkownik Gallus nad garstką Polaków, przerzucanych jak piłki z końca Niemiec w drugi. Tu także siedział jakiś czas Trojanowski, Chmie-

lewski, sierżant Pierwszej Kadrowej, a w takich warunkach płynęło to bytowanie, dowodem holzmündzki proces dwóch Duńczyków-jeńców, sądzonych podówczas za wycięcie wątroby z trupa i zjedzenie jej, z nadmiaru głodu...

W prześlicznym, obrosłem pnąciami różami miasteczku Celle-Schloss pod Hannoverem, w rozkosznym zamku byłych królów, siedzieli — o ironjo! najnieustępliwszi demokraci: Wincenty Rzymowski, dziś członek naszej Akademji Literatury, świetny pisarz, i Tadeusz Hołówko, ofiara zbytniej wiary w braterstwo ludów słowiańskich. A w Rasztacie, wiecznie pędzeni z miejsca w miejsce — Wiczorkiewicz, Janusz Głuchowski, Zosik-Tessaro, Filipkowski, Kołłątaj-Śrzednicki, Olszawowski, który miał zginąć jako adjutant Marszałka, Skotnicki, Ostrowski, Naramowski i — jeszcze bardziej od nich translokowany — Trojanowski. I w Münster, w jednym z najpogodniejszych miast Westfalji, wśród strzelistych kościołów i ratuszów, mieli przebywać żołnierze Komendanta, cywilni i wojskowi.

Cierpieli nie tylko biedę więzienną, nie tylko tęsknotę za swoimi, nie tylko trwogę o Komendanta, o losy Ojczyzny — żarła ich też wściekłość na zachowanie się rodaków, na „ten lekko drwiący uśmiech, z jakim się spotykali tak często, nawet wśród ludzi dobrej woli“. Jak cu-

downie to zilustrował płk. Kostek-Biernacki opowiadaniem Komendanta o jednej zabawie dzieci „w pociąg“. Bawiło się kilku chłopców 10—12-letnich i jeden malutki, najmniejszy z nich, wąty, 5-letni Staś.

Obok w gabinecie pracował ojciec. Dzieci hałasowały, co było naturalne, ale co pewien czas wybuchały żalosnym lamentem. Zastanowiło to ojca. Wszedłszy do dziecinnego pokoju, zapytał:

— Chłopcy, dlaczego wy ciągle płaczecie?!

— A bo my bawimy się w pociąg.

— Jakże to wygląda?

— Ano jeden jest lokomotywą, gwizdże, sapie — za nim, trzymając go za kurteczkę, idzie tender, potem wagony — no i tak dokoła pokoju.

— To śliczna zabawa — odrzekł ojciec — ale po kiego licha potrzebny wam płacz?

— Bo Staś nie daje się nam bawić.

— Co?! ten maleńki Staś?! Cóż on robi takiego?

— Jak przejeżdżamy koło otomany, to on włazi na nią i podnosi rękę.

— No i cóż z tego?

— A my nie możemy jechać!

— Dlaczego?

— A bo on jest semafor!

„...Ileż semaforów takich — dodaje Ko-

stek-Biernacki — uważaliśmy, jak owe dzieci, za prawdziwe przeszkody w pracy naszej! Jeden tylko Komendant potrafił ocenić tak prostą pozornie sprawę: GŁUPSTWO, UBRANE W TOGĘ WYROCZNI I POWAGI...“¹

Bezsprzecznie widział, dostrzegał, przeczuwał i powtarzał to sobie Komendant, gdy dnia 6 sierpnia 1917 r., w rocznicę wymarszu Pierwszej Kadrowej, jechał wzdłuż frontu tej Kalwarji żołnierskiej, jedynej w swoim rodzaju. Była to może jedna z najgórnieszych Jego rewij — emocjonalnie równa owej historycznej, z Oleandrów...

I myślę, że tak samo wtedy, kiedy On jechał, była słońcem oblana landszaftowo modra Elba, oleodruk banalny, że tak samo mi gały się wody, sosenki, domki, przesadnym karminem czerwone, wtulone gromadnie w białosc powtarzanego jak przez kalkę kościoła. Jakżeby mi się znudziły te kościoły, gdybym była Bogiem!... Tylko teraz rozwiewa mi od czasu do czasu złudzenie lata drzewo liściaste, kościotrupie i martwe. Jednak nie sierpień to, miesiąc Komendantowy! Jednak luty i zima — a tak się wżyłam we wspomnienia z lata 1917 r., że chwilami zdawało mi się, iż jest sierpień, ciepły, żniwny, sięgający błękitem aż do dna Elby.

Od Stendala wciąż nas irytują na horyzon-

¹ Motyka, słońce i semafony. Wacław Kostek-Biernacki.

cie przeraźliwe, śpiczaste wieże kościelne, wwiercające się jak wrzeczona w firmament. Vorsfelde wygląda jak embrjon zwinięty kupką czerwonych domów dokoła jednego przysadzystego białego budynku i — znowu szereg wież kościelnych, jak igły, godzących nie w serce, ale w oko Boga. Jakżeby mnie irytowały te kościoły, gdybym była Bogiem!

Jakaś rzeka, ujęta w cementowy gorset, i tajemniczy „Schloss“ w oddali, rozległy, patrzący wszystkimi wytrzeszczonemi ślepiami swych okien na ponsowe mosty, rzucone gęsto nad kanałami. Są tak ponsowe, i lekkie, że wyglądają, jakby powiązane z wstążek. W Gifhorn las przypomina Polskę, bo cały zasiany wrzosem. W Lehrte imponują gmachy, jakiejś „*Preusselektra*“ — wieże, turbiny, maszyny: żelazne bociany, klekoczące miljonem dziobów, na miljonie nóg, narodzinom jakichś potworów.

Zbliżamy się do Hannoveru. Tu najgęściej zszeregowani byli żołnierze Komendanta, tu najcięższe przeszli cięgi niewoli — choć i w dalekim własnym kraju, od którego coraz szybciej umyka pociąg, trwali inni ofiarni żołnierze za kratami Benjaminowa i Szczypiórna, w Siedlcach, Bytowie i Czersku, w Łomży, w Huszt, w Wiedniu i na cytadeli warszawskiej. Wszyscy odcięci od świata,

a zwłaszcza od wieści o Wodzu. Wszędzie nie dawano im pism, albo przesiewane przez cenzurę i nie wymawiające imienia Piłsudskiego. W polskich więzieniach, jak stwierdza Walery Sławek, dozwolony był tylko... Kurjer Poznański. (Czy nie ironja losu, że pismo, mianujące się zawsze i do dziś najbardziej „narodowe”, było jedynem, jakie forytowali Niemcy, uważając je za najlepiej się wysługujące ich interesom? Napewno tu nie padło ani razu tak wraże tym dziwnym patryjotom nazwisko Józefa Piłsudskiego i Niemcy mogli spać spokojnie...). W Hannoverze dudnią i grzmią warsztaty, kolubryny rozmachane i motory. 120.000 robotników pracuje, choć nie wszystkie kominy dymią. Tu jest też, jak już wspomniałam, ulica królowny Jadwigi, ślad naszej Jagiellonki — tu mieszkał filozof Leibnitz, przyjaźnił się szczyłający Zofji, małżonki kurfirsta Ernesta.

Ręka niewidzialna brutalnie odpycha coraz bardziej wtył wieże kościelne, wysuwając naprzód kominy. Gnamy przez Portę, ładną i jasną, niezadymioną, przytłoczoną jednak z góry, jak sosjerka, nakrywą *Kaiser Wilhelm Denkmal*. Ginie pod chmurami ten ciężki pomnik, ciosany pięściami, rudy, tysiãcpudowy. Chyba nie śpi się spokojnie pod takim rudym, tysiãcpudowym aniołem stróżem! Przelatujemy przez Bad Oeynhausen, rozrzucony, jak ko-

lorowe maki po łąkach i górach, potem fabryki ceramiczne i — już Westfalja.

Wsie i miasta ciągną się teraz nieprzerwanie, łączą się ze sobą, bliżej lub dalej toru kolejowego. Cała natura zdaje się krzyczeć chwilami, że ADLER i S-KA wyrabia najlepsze na świecie maszyny do szycia — że nie warto zważać na przepyszne ruiny na horyzoncie, pierwsze, które tu spotykamy — na świeżość krajobrazu, zieloność lasów, bo ADLER i S-KA wyrabia najlepsze maszyny do szycia. Zresztą takich ogłoszeń krzykliwych pełno tu wzdłuż, nawet na poletkach chłopskich sterczy tu i ówdzie parumetrowa tubka z „n i e z a w o d n ą p a s t ą“, piesek z blachy, niosący w pysku rewelację o takiej czy owakiej firmie; tablice czerwone, zielone, żółte z reklamą. I — nagle cichnie człowiek hałaśliwy, kupiec nachalny i wypływa łączka prześliczna, jak anatolijski dywan jedwabny i pod lasem brzóz spacerują romantyczne zające i bażanty, jak z obrazka, jak ze stołu ze święconem, bez trwogi, jakby tu nigdy żadnych ludzi, żadnych kominów, żadnych fabryk od początku świata nie było.

Dojeżdżamy do Hamm. Ani śladu romantycznych zajęcy i bażantów — zjadły je wytwórnice mięsnych konserw — kominy się zgęszczają, fabryka wystrzela obok fabryki. Same fabryki. Niema miejsca dla żywych ani

dla umarłych, bo nawet cmentarze szukają go-
ściny pod samym torem kolejowym, bezdrzew-
ne, bezkwietne. Nad Dortmund-Flughaven
krążą samoloty, jak pszczoły nad ulami, a pod
ich skrzydłami, prawie nad naszymi głowa-
mi, nad mostami i arkadami, wiją się w bole-
ściach rury żelazne średnicy wołu i giną
w czeluściach zbiorników i baszt, jak w roz-
wartych, czyhających, nieutulonych w głó-
dzie paszczach. Krajobraz aż poczerniał od
dymów. Jest jakaś nuta rozwścieczenia w po-
wietrzu. Domy nie są już czerwone, tylko
ciemnoceglaste, piegowate, posępne. Czasem,
jak koło Rauxel, wychyli się jeszcze z uporem
czarujący las liściasty, ale natychmiast uprzą-
tają go kominy. To obsesja te kominy. Fabry-
ki ryczą, jak zarzynane potwory, powiązane na
tę rzeź pasami transmisyjnymi. Niespodzianie
migają mi przed oczami polskie flagi nad
ogromnem boiskiem. Czyżby się rozgrywały
tutaj losy jakiejś naszej drużyny sportowej?
A tymczasem rozgałęziają się tory i atakują
nas kominy coraz natarczywiej. Czy też nie
oszołomią, nie oglupią, nie nastraszą, nie zmy-
lą mojej lokomotywy? Czy nie stanie ona
dęba z przerażenia i nie zawróci wielkim pę-
dem ku Berlinowi?

Daleko, na czarnych tłach ściany, białe ra-
my okienne wyglądają wszędzie jak krzyże —
niby rząd poprostu krematorjów. I tak po do-

mach ludzi żywych są krzyże, a na cmentarzach — ani jednego: słupki i także jakby minjaturowe kominy fabryczne, znaczone nagrobkiem imieniem i sentencją. Jak mogą spać ci zmarli, tuż pod przelatującymi ze straszliwym hukiem pociągami, dymem smoleni, słońcem prażeni, bo ani jeden krzaczek ich nie osłania? Chyba, że leżą tu same komiwojażery, wciągające z lubością zapach i huk, który im przypomina ubiegły zawód? Zimno się robi na myśl, że mogliby nas pochować w tej ziemi, rozkołysanej wstrząsami fabryk i przelatujących pociągów, że przez wieczność całą podawanoby nas tak na tacy: słońcu, dymom i turystom, przez okna wagonów się gapiącym...

Szalone wały sztuczne zabiegają drogę pociągowi, pompy, windy, baszty wypełzają ze wsząd. Wieże kościelne przestały wogóle egzystować. Znikły, zażenowane sąsiedztwem innych wież, potrzebniejszych i bardziej aroganckich. Na dworcu w Oberhausen wysiadam, aby się przesiąść do Wesel. Budują tu nowy gmach stacyjny, ostatni krzyk nowoczesności. Mieszanina horrendów nieprawdopodobnych ze sprzętami i pomysłami bardzo ładnymi. Zasiadam w sali jadalnej „dla niepalących” — powściągliwe tło, meble przyzwoite, za ogromnymi szybami, na tle ciemnych, zasuniętych za niemi kotar, ceramika. W rysunku banalna, ma jednak ładną polewę

i jest znośna, ale zaraz w głębi kryguje się nieprawdopodobna „studzienka“, z ohydnych kafli białych i z kapiącą w niej, Bóg raczy wiedzieć na co, wodą. Na gzymisie tego cudactwa stoi szereg wazoników z kwiatami i goła panienka z bronzu, biust wypinająca.

Od tej studzienki przez całą salę aż w głąb do drugiej sali, między rzędami stołów, spaceruje właściciel restauracji, młodzian w typie księcia Walji, niesłychanie wytworny, a za nim biegną rozmarzone oczy młodych i starych Niemek, zajądących zresztą z apetytem kielbaski z musztardą. Trzeba jednak żegnać księcia Walji i studzienkę z białych kafli. Nadchodzi pociąg. Las katedr fabrycznych już uciekł — wypływa dywan łąk, wdzięcznie rzucony pod nogi.

Zbliżamy się do Renu.

W E S E L

6. 8. 1917 r. — 23. 8. 1917 .

XII. PUNKT ZBORY SŁAW I WIELKOŚCI

ZBLIŻAMY SIĘ DO WESEL, POGOD-
nego miasta, zagubionego w swoich pa-
miątkach, w swoich dniach chwały, heroizmu
i znaczenia. Każdy tragarz, każdy dorożkarz,
każdy *Ober* w restauracji, opowiada ci o wiel-
kościach tego miasta. O tem, że mieszkał tu
na cytadeli Napoleon i Katarzyna II, że wię-
ziony tu był przez własnego ojca Wielki Fritz,
z przyjacielem swoim Katte, ściętym później
w Kistrzyniu, o których doli oglądałam wczor-
raj film w Berlinie.

Przypominam sobie, jak przez sen, o je-
szcze jednym więźniu tutejszym, o Janie
Ruchracie, który się pisał *Johann von Wesel*
lub *von Vesalia* i próbował torować drogi dla
przyszłego reformatora, dla nienarodzonego
jeszcze Marcina Lutra. Z pasją, charaktery-
zującą ówczesnych religjantów, ale i z niezna-
nym wśród nich humorem, zareagował nagle
ów młody doktor teologii przeciw instytucji
roku jubileuszowego i ogłaszanym przy tej
sposobności odpustom (w 1450 r.) Zaczął
grzmieć z ambon i katedr uniwersyteckich, że
nikt nie ma prawa udzielać odpustów, że nie
ma żadnego znaczenia relikwja, bo z chwilą
kiedy święty przestał działać, przestały też

istnieć jego czyny same w sobie, a więc żaden skarb jego zasług nie pozostaje na ziemi i żadnej mocy szczególnej nie mają jego kości.

Wysunął teorię predestynacji, zaczął z ironiczną furją o sakramenty, o krzyżma, o posty. Z dowcipem dowodził, że święcony olej niczem się nie różni od oleju kuchennego, a św. Piotr rybak, ustanawiając posty, nic innego nie miał na celu, jak dobrze sprzedać swoje ryby. Wreszcie capnęli go oburzeni konfratry, stawili przed sąd Inkwizycji i skazali na wymyślną śmierć. Wtedy odwołał swoje błędy nieszczęsny teolog, obiecał wspomagać rybołówstwo, odróżniać oleje święte od oleju kuchennego, czcić Kościół, poczem, nie bez żalu, zmieniono mu karę śmierci na wieczyste więzienie w lochach klasztoru oo. augustjanów w Mainz. Zdaje się, że nawet rybek mu odmawiano tutaj, a pokutę musiano aplikować gorliwie, gdyż nie wytrzymał w lochach nawet dwóch lat. Nigdy już do Wesel nie wrócił, a dzieła jego, pełne pasji, werwy i humoru, spalono. Miasto pozostało katolickie aż do czasów Lutra i Melanchtona, bezpośrednich jego następców...

Ale czas już śpieszyć do cytadeli, do ośrodka sławy lokalnej, której fundamenty już zostały zburzone przed kilkunastu laty. Została tylko brama wejściowa, ozdobna, mająca z wewnątrz, od prawej strony, dwie kazamaty,



Wesel. Plan miasta z uwidocznioną na boku, po lewej stronie cytadela, gdzie przebywał Marszałek Piłsudski od 6. 8. 1917 r. do 8—9 września tegoż roku.

w której ostatnie swoje godziny spędziło jedenastu sławnych oficerów *Schilla*. Rozstrzelali ich w Wesel Francuzi, 16 września 1809 r.

Ferdynand von Schill, ich dowódca, ur. 1776, był awanturnikiem mężnym i zuchwałym. Wmieszawszy na własną rękę swój pułk huzarów pruskich w wojnę austriacko-francuską, naraził się na represje ze strony swoich, no i na nałożenie ceny na swoją głowę przez Francuzów. Bardzo rychło został przez nich schwytany i w Stralsund ścięty, jedenastu zaś jego najdzielniejszych oficerów rozstrzelali w Wesel, gdzie stoi pomnik pośrodku miasta, nad ich krwawymi szczątkami.

Leopold Jahn, Ferdinand Schmidt, Friedrich Galle, dwaj bracia von Wedell, Adolf von Keller, Konstanty von Gabain, Hans von Fleming, Friedrich Felgentreu, Karl von Keffen-

brinck i Karl von Trachenberg... Aż się zachłystuje uniesieniem tłusty dozorca kazamat *schillschenowskich* oficerów, gdy o nich opowiada. Opowieść bohatera, oczywiście! Ale przerywam ją, pytając, gdzie mieszkali w czasie ostatniej wojny, nie napoleońskiej, panowie oficerowie?

Grubas jest zaskoczony i wyraźnie zgorzszony mojem odbieganiem od przedmiotu i absolutną, prostacką zgołą, obojętnością na górne i chmurne dzieje historyczne, które mi podaje z szybkością karabina maszynowego. A bądź co bądź, zależy zawsze od stopnia entuzjazmu turystów wysokość jego baceczyszu... Zbywa mnie więc tylko mruknięciem i prowadzi do witryny, za którą błyszczą się żółtą patyną medaljony z kości słoniowej. Jedenaście ślicznych medaljonów, wyobrażających bohaterskich oficerów — dalej fragmenty listów i pęczki ich włosów. Nawet kubek szklany pokazuje, z którego pili, a wkońcu rzuca mimochodem:

— A ci oficerowie, o których pani pyta, mieszkali tam...

Właśnie nawprost kazamat *schillschenowskich*. Budynek jest długi, piętrowy, żółty i ma napis na drzwiach: *CASERNE Nr. 6. GEBAUT IM JAHRE 1819*. Na tem miejscu, na I piętrze, gdzie teraz są mieszkania prywatne (niestety dziś, przy niedzieli, opustoszałe),



Wesel — Die 11 Schill'schen Offiziere



Wesel. Z ostatnich chwil jedenastu oficerów Schilla, rozstrzelanych przez Francuzów na cytadeli w Wesel 16. 9. 1809. r.

siedział Komendant, a przed wielu, wielu laty, w nieistniejącym już budynku, młody, krnąbrny Wielki Fritz.

Zawracamy do bramy.

— *Hier kamen sie hinein...* recytuje dozorca, sądząc, że jednak wzruszy moje zatwardiałe serce.

— *Wer?! —* pytam istotnie wzruszona.

— *Die elf Schillschenoffiziere...*

— *Ach so!* Czy wszyscy więźniowie zawsze tędy wchodzili? Nie było innej bramy?

— Nie, tylko ta.

Więc także Komendant tędy wchodził! Nachylałam się i, nie zważając na grubasa, zrywam pęk trawy, obszywającej równo fundamenty cokołu. I widocznie, nareszcie, dogodziłam grubasowi! Spojrzał na mnie cieplej, rozumiejąc, że przecież wzruszyły mnie wkońcu, dzięki je-

go wymowie, losy jedenastu pruskich bohaterów, a posmarowany ponadto jedną skromną Reichsmarką, pokazuje mi jeszcze stół, na którym jedli, a który (dodaje ze zgrozą) porąbali w drzazgi bolszewicy.

— Skąd bolszewicy? — dziwię się. — Przecież tu nigdy bolszewicy nie doszli?

— *Die deutschen Bolschewiken, die Lumpen, im Jahre 1918!!!* Oni, niemieccy komuniści, porąbali stół, zdrapali pamiętne napisy ze ścian kazamaty i podarli listy, pisane przez skazańców do rodzin... Bóg z nimi, zacny grubasie! Ale, o ilebym wołała, gdybyś mi pokazał stół, przy którym jadł waszą więzienną zupę z obierzyn kartoflanych Komendant i przy którym listy pisał do swoich — djabła mi tam twoje, skądinąd dzielne oficery!!!

Ale on wtyka mi jeszcze kilka widokówek, opiewających dzieje schillschenowskich młodych awanturników, i wiersz, zaczynający się od słów:

*Generalmarsch wird geschlagen
zu Wesel in der Stadt,
und alle fragen ängstlich,
was das zu deuten hat...*

*Da führen sie zum Tore
hinaus still, ohne Laut,
die kleine Schar, die heiter
dem Tod ins Auge schaut.*



Wesel. Brama wchodowa na cytadę, w której przebywał Marszałek Piłsudski. Dziś ona jedna ocalała po zburzonej cytadeli. Tędy wszedł Marszałek.

Elegja kończy się zwrotką:

*So starben tapfere Preussen,
durch Schande nie befleckt,
die nun zum ew'gen Ruhme
ein Stein zu Wesel deckt...*

Nie wie do dziś głupie, miłe miasteczko nad Renem, Kogo gościło, poza carycą Katarzyną, poza Fryderykiem, poza Napoleonem. Kiedyś powiedzą im to i do swojej lawendowej legendy wplotą nazwisko Marszałka Piłsudskiego i będą je podawali wścibskim turystom, trochę z pychy regionalnej, a trochę dla bakczyszu, wraz z widokówkami o jedenastu oficerach Schilla, ze śliczną *Sanct Willibrodi* katedrą, okoloną wykopaliskami odwiecznych

cmentarzy, z pałacem udzielnych książąt Klewańskich, z 600-letnim ratuszem i — z Renem, który u stóp cytadeli łączy swe urocze, łagodne fale z Lippą, prawobocznym dopływem. Właśnie pod zakratowanemi, niegdyś Komendantowi, oknami, ten związek szaroniebieskich wód się spełnia, klinem miękkim i drgającym od blasku słońca, motorów i wioseł.

Może dlatego, że w nie długo i często patrzył Komendant, myśląc o innej, bardziej niebieskiej, znakiem rodła płynącej rzece, fale Renu mają barwę Jego oczu i Jego legjonowego munduru. Coś przecież z nas zostaje w przyrodzie i nie mijamy bez śladu.

XIII. PAPIEROS KOMENDANTA

W NIEDZIELNY WIECZÓR, 24 LUTEGO b. r. kiedy stałam na terenie zburzonej weselskiej fortecy, szukając między rumowiskami śladu niecierpliwych kroków Komendanta, przypomniała mi się nagle jedna scena. Było to w Belwederze. Pierwszy raz miałam ujrzeć zbliżka Marszałka i być Mu przedstawioną. Po historycznych wąskich schodkach weszłam na górę z Panią Marszałkową do sympialnego pokoju, Marszałek bowiem był chory. Siedział w szlafroku za biurkiem. Między Nim



a mną stało to biurko, które wydawało mi się co najmniej Giewontem. Wrażenie owego spotkania było tak silne, że prawie sobie nie przypominam rozmowy, pamiętam tylko, że unosił się nad Komendantem niebieski dym papierosów, subtelny jak smuga, jak cieniutki welon przeźroczysty.

I oto teraz, w Wesel, kiedy patrzyłam wdół, na błyszczący sierp Renu, na przedziwnie subtelny, melancholijny ton jego wód, dojrzałam tuż nad rzeczny portem leciutki niebieski dym. Taki sam, jak w Belwederze...

I nikt nigdy mi już nie wytłumaczy, że to nie był dym z Komendantowego papierosa...

B E R L I N

XIV. O FÜHRERZE WRAŻEŃ KILKA

Z PEWNĄ PRZYKROŚCIĄ OPUSZCZAM Wesel. Trzeba wracać do Berlina, aby znowu podążyć etapem ostatnim, do Magdeburga. Jako przedwstępne działanie, odszukać należy majora van Gülpna, jednego z głównych aktorów w uwolnieniu Marszałka.

Chodzę po stolicy niemieckiej i rozglądam się. Dziwią mnie plakaty, na modłę dość niespodziewaną tutaj, bo czysto sowiecką, wrzaskliwą, głoszącą czy to świetność jakiegoś preparatu, czy to chwałę Führera. Nie spodziewałam się ich tutaj. Jeszcze 12 lat temu, Hitler nie pozwalał się fotografować. Jedno pismo humorystyczne ogłosiło nawet konkurs: jak Hitler wygląda?, a kiedy fotograf „Münchener-Presse“, Henryk Hoffman, chciał dla amerykańskiego koncernu zdobyć zdjęcie Hitlera i, dzięki manewrom przyjaciela swego, Dietricha Eckarta, zdołał nareszcie zastąpić drogę Hitlerowi, to — nie miał się nawet czasu złożyć do zdjęcia, a już trzech dorodnych Nazi'ch rzuciło się na niego i w sposób mało subtelny wybiło mu z głowy wszelkie „f o t o g r a f i c z n e“ aspiracje. Rzecz się szczęśliwie skończyła kilkudniowym „o d p o c z y n k i e m“ w szpitalu.

Później, temu samemu fotografowi pozwolił się raz Hitler zdjąć, ale zakazał fotografii

reprodukować i — w uznaniu, że Hoffman, mimo rozlicznych tentacyj, dotrzymał słowa — zamianował jego jednego swym nadwornym fotografem; do dziś najwięcej zdjęć wykonywa Hoffman. A ma pracę nie byle jaką! Gdzie spojrzeć, to twarz Hitlera, profil jego, gest. Nawet ręce są osobno fotografowane, osobno oczy, osobno cień...

Nadnaturalnej wielkości zwisają zewsząd: plakaty, swastyki, sztandary, portrety...

Zastanawiam się przed jednym z nich, dlaczego Hitler przyszyty w wąły płomyczek pod nosem, tak mało germański! I dopiero, kiedy mój wzrok padł na podobiznę jego matki, pojęłam, o co chodzi. Oto Hitler jest szalenie podobny do matki i zapewne ma, jak ona, taki nieco mało poważny, filuterny rowek nad ustami. Nieznaczna ta kreska daje wyraz jakiegoś naiwnego, kokieteryjnego zadowolenia, burżuazyjnej sytości, niestosowny dla wodza regeneracji germańskiej i stąd wąs, akurat tyle obejmujący terenu, aby zakryć nieodpowiadający marsowej twarzy dołek.

Hitler studjował architekturę i wcale ładne są jego z tej dziedziny rysunki, którym Niemcy podkładają teraz tekst: „Nie było mu przeznaczone budować domów, bowiem przeznaczone mu było budować ojczyznę“. Buduje ją, przyznać trzeba, twardo, kanciasto, ale środkami,



które zna dobrze jako jedyne dla swego naro-
du. Włot są chwywane jego słowa, wlot uciele-
śniane jego plany. Kobiетom kazał zdjąć nie-
moralne szatki, zmyć szminkę i karmin, una-
turalnić brwi, zapuścić włosy i wrócić do
osławionych trzech „K”: *Kirche*,
Küche und Kinder — „Kościół, kuchnia
i kołyska“. I wróciły, jak trusie. Prawie
się nie widzi krótkich włosów na ulicach Ber-
lina, ani sukien wyzywających, ani brwi jak
jeden włos, ani szminki. Coś jednak zostało

z krótkiego okresu elegancji powojennej Berlina, bo w każdym razie abnegacyjny typ berlinki dzisiejszej odbiega daleko od przedwojennego. Stylowszy, wykwintniejszy, zamerykanizowany, na niskich obcasach, ale nie na szerokiej stopie dawnej grubokostnej *Hausfrau*, pachnącej lizolem i pieluszkami.

One same, te dzisiejsze obywatelki hitlerowskiego państwa, nie bardzo się zabierają do seryjnego rodzenia, zalecanego ostro przez Führera. Dbają jeszcze o swobodę ruchu, o linję, a ktoś złośliwszy wszakże rzekł, że kobieta łatwiej zrezygnuje z ideałów, niż z linji. To też, jak wykazuje statystyka, nie forsują się zbyt, ale zato córki swoje nieliczne przygotowują gwałtownie do tej misji macierzyńskiej. Kiedy zwiedzałam z panną dr. Unger żłobki i sierocińce berlińskie, uderzyła mnie przedewszystkiem ilość lalek w tych zakładach, lalek-niemowląt, i nigdy nie zapomnę widoku, jak na rozkaz dyrektorki brzdąc ośmioletni zaczął przepisowo przewijać nagą lalkę w pieluszki, obsypywać ją pudrem i układać w łóżeczku, za drabinką, do snu. Średni rocznik dzieci nie ma żadnej specjalnej roli, ale najstarszy rocznik przebywa z najmłodszym. Musi się uczyć wszystkiego, co należy do opieki nad niemowlęciem, nad małym dzieckiem raczkującym i „w z w y ż”. Dziewczynki od

Matka Adolfa Hitlera.

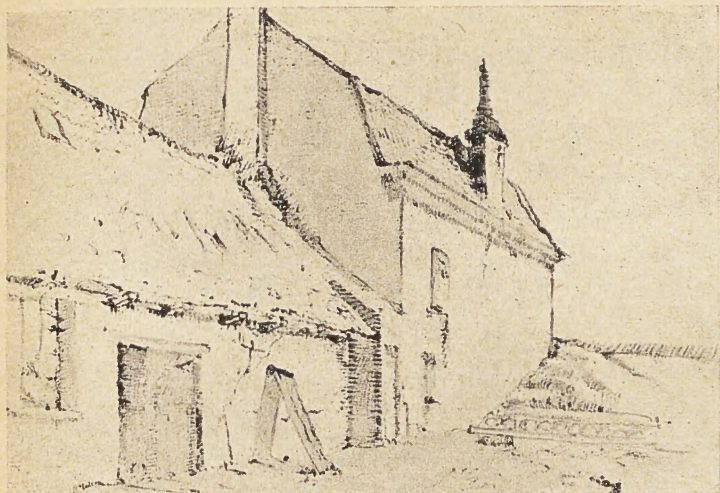


8 do 13 lat czynią to wszystko z powagą i ze sprawnością zadziwiającą i właściwie każda

ich zabawa, to tylko terminowanie w rzemiośle, które będzie im narzucone w przyszłości...

Nie wiadomo jeszcze tylko, jakie będą tego wyniki. Nowoczesna pedagogja dowodzi, że dzieci muszą się wybawić i to najzupełniej swobodnie, niekrępowane nakazami i doborem zabawek, bowiem ich natura szuka sama źródeł, z których nabyć mogą potrzebnej im wiedzy i zdobyć rozwiązanie straszliwych tajemnic, jak barwa, jak kształt, jak dźwięk, a potem jak konstrukcja, jak ruch, jak samo życie. Może właśnie, przeciwnie, owe małe dziewczynki ze wspaniałych *Pestalozzi-Froebelhausów* odrzuci od niańczenia dzieci i dorósłszy, zabiorą się do latania na szybowcach, czy do pracy w laboratorjach, czy do prób nad zdobyciem stratosfery, czy ziem podbiegunowych — nie można wiedzieć! Narazie trudzą się i uśmiechają, w jasnych, słonecznych salach i ogrodach, zdrowo odżywiane i gimnastykowane, aby nic przyszłej matce na duchu i na ciele nie zbywało.

Dr. Marta Unger też się uśmiecha, ale poważnie i chłodno. Nie pyta o nic, tylko krótko, zwięźle objaśnia i informuje. Może, jako wybitna siła propagandy, oprowadzając cudzoziemców, wykonywa tylko to, co do niej należy, a więc objaśnia fachowo i lapidarnie, a może uważa, że nic ciekawszego nie może powiedzieć cudzoziemiec — poza tem wyglą-



dało mi, że się nudzi mocno, gdy przechodzimy z pokazu teoretycznego do praktycznego, kiedy mianowicie wchodzimy do olbrzymich zakładów wychowawczych, witane ogłuszającym dziecinny wrzaskiem: *heil Hitler!*

Raz tylko zaczęła słuchać uważniej, gdy wspomniałam o Marszałkowej Piłsudskiej i Jej działalności społecznej, a ongiś bojowej. Nie pytała także nic, ale słuchała, nie spuszczając ze mnie oczu. Ta młoda panna, wysoka, szczupła, ubrana prawie że zgrzebnie, choć eleganczko, pół Amerykanka — pół Niemka, nie myśli iść zamaż, całą miłość macierzyńską przeniósłszy na młodszego brata. Jest spokojna i chłodna, a unosi się tylko, kiedy wspomnieć o mniejszościach nieryjskich. Wtedy wybucha i twardo wyklucza je z Vaterlandu.

— Jestem pewna, że wy, Polacy, uczynicie to także, nie dziś, to jutro...

Wychodząc z oddziałów dziewczęcych, mijamy musztrujących się chłopców, nad których głowami powiewają proporczyki ze świętym znakiem *Hackenkreuza*. Wszędzie zresztą musztra. Wagony wysypują całe fale młodych chłopaków, brunatno ubranych i ryczących na całe gardło, buńczucznie, może nawet z odcieniem prowokacji, *Horst Wessellied*.

Dziś właśnie jest ich więcej, rocznica śmierci młodego Horst Wessela, „Sturmführera S. A. i narodowego bohatera (jak piszą przewodniki), który został przez komunistów zabity 23 lutego 1930“. Wspaniały jest jego grób na cmentarzu św. Mikołaja (*Prenzlauer Tor*), a pokój szpitalny, w którym życie zakończył (*Horst Wessel-Krankenhaus am Friedrichshain*), zamieniony w kaplicę. Co drugi mieszkaniec Berlina nosi jakiś mundur, na którym zboku, z przodu, na dole, lub na górze, jest swastyka.

Zbrojenie? No tak. Niemcy są uzbrojone powyżej uszu, ale mam wrażenie, że dziś jest to skierowane ku wewnętrznym interesom i sprawom, druzgotanego aż do trzewi narodu. Przytem, podniecana przez Hitlera dawna niemiecka pycha, którą rewolucja starła i skoszlawiła, wybuchać zaczyna wszystkimi

szczelinami kraju. Hitler tę pychę narodową uważa za pewnego rodzaju póljatyw na patryjotyczny marazm porewolucyjny. On ją biczuje, smaga, rozdmuchuje i w tej atmosferze staje się coraz bardziej nie do zniesienia myśl, że państwu niemieckiemu jakieś traktaty nałożyły pokutę, cofnęły odwieczne prawa militarne i ustrojowe. Nie mam wrażenia, aby kryły się jakieś imperjalistyczne, czy rewizyjne aspiracje pod temi hasłami zbrojenia, które bądź co bądź uderzają każdego w oczy. Pięknie określiła to pani Scholtz Klink, kierowniczka wielkiej organizacji kobiecej „*Służby Pracy*“, w swoim odczycie:

— Nowe Niemcy pragną żyć w przyjaźni z innemi narodami, ale pragną, jak każdy inny naród, iść za własnem przeznaczeniem, a zwłaszcza obecnie, gdy są na drodze rekonwalescencji, po 14 latach wytrącenia z równowagi moralnej...

Gdzieś tam, na rubieżach ich wschodnich i zachodnich, burzy się czasem i wre, ale — jak słusznie zauważył korespondent berliński Kurjera Porannego — oni sami przyznają, że „...jeśli w prowincjach nadgranicznych są marzyciele, to nie mają oni żadnego wpływu, bowiem nikt polityki zagranicznej prowadzić nie może pod psychozą mieszkańców strefy granicznej... Argumentacja to ciekawa i w obecnej chwili dla nas, Polaków, wystarczająca...”

Kiedy patrzyłam na ten żywiołowy pęd zbrojeniowy w Niemczech, maskowany usilnie, stawał mi wciąż w myśli mój lot na Fokrze. Śmigła w tym aparacie znajdują się po obu bokach i kręcą się z tak zawrotną szybkością w czasie lotu, że ich wcale nie widać i od tej ich niewidoczności zależy bezpieczeństwo lotu i wogóle cały lot. Skoro tylko bowiem śmigło staje się dostrzegalne, coś jest widocznie nie w porządku w aparacie i wtedy albo wysiłek pilota reguluje szybko sprawę, albo — następuje katastrofa. Raz po raz pod słońce, czy pod innym kątem światła „wyczuwamy“ cień rotacyjny śmigła, ale to trwa мгновение oka i znowu martwy tajemniczy kadłub jego osi czernieje niewinnie po obu bokach aparatu.

Tak jest, myślę, ze zbrojeniami niemieckimi. Dostrzegamy ich ślad wszędzie, lecz wszystek wysiłek jest ku temu, aby zbrojeń się nie widziało, nie wyczuwało. W chwili, kiedy zostaną zdemaskowane, nastąpi albo przyspieszona katastrofa z niewiadomym wynikiem, albo jakiś umiejętny manewr, który wyliczy braki w aparacie. Chyba, że z rozmysłu Führer każe nagle obniżyć lot i twardo, brutalnie, dumnie powie całemu światu: *P a t r z c i e ! k r ę c ą s i ę ś m i g ł a ! !*

Powtarzam, odnoszę jednak wrażenie, że niema imperjalistycznych pierwiastków

w obecnych Niemcach. Jest tylko szalenie wzrastająca pycha, którą gnębi traktatowe powojenne upośledzenie „na honorze” — szczerze w nos, znoszony milcząco, biernie przez naród pobity, naród wstrząsany wewnętrzną rozterką, bolszewizujący, ale doprowadzający dzisiaj do wściekłości naród odradzający się. Nie myślą o terytorjalnych zwrotach, myślą o upośledzeniu moralnem, a jak bardzo o tem myślą, dowodem szaleńcza reakcja na plebiscyt w Saarze.

Wyznaniem wiary nowoczesnych Niemców był do pewnego stopnia list poety Rudolfa Bindinga do Romain Rollanda:

„...Te Niemcy obecne urodziły się z żarliwej tęsknoty, z wewnętrznego opętania, z krwawych wysiłków, z woli stania się Niemcami za wszelką cenę, za cenę każdej zagłady. Wobec tego, upada wszelkie oskarżenie. Niczego się nie wypieramy, jak nie wypierają się nasi przewodocy, których Pan wylicza (choć cały sens listu wskazuje tylko jednego). Nie wypieramy się własnych „w y j a ś n i e ń”, ani „p o d b u r z a ń d o g w a ł t u” (jak to Pan określa), ani przykazań rasizmu, które muszą ranić inne rasy, jak np. Żydów. Nie wypieramy się *autoda fe* myśli, dziecinnych stosów książek, wtargnięcia (jak Pan to nazywa) polityki do akademij i uniwersytetów. Nie wypieramy się wysiedlania! Ale to wszystko —

co, chociaż wygląda strasznie, nie osłabia powagi i prawdy faktu.

Nie próbuję bynajmniej przejść do porządku dziennego nad tem, co Pan, i świat cały zresztą, zarzuca naszej rewolucji, lecz pragnę, aby wszystko było umiejscowione na właściwym punkcie. Nie powinien Pan doszukiwać się dowolnie spraw, wedle Pana najważniejszych, w suwerennem wypowiedzeniu się całego narodu. Wszystko znajduje się jeszcze w fazie początkowej, ale cały naród wierzy w siebie — ten naród, który nigdy w siebie nie wierzył, a którego wiara upiększa...”

List ten ukazał się jako odrębna broszura, nakładem Ruttena w Frankfurcie. Zanim się to stało, brzydkim zwyczajem, przekreśliła i zniekształciła go prasa ogólno-światowa zupełnie. Tak dalece, że nawet taki ustęp włożono między wiersze owego listu:

„...W Niemczech niema miejsca dla marksistów, Żydów, pacyfistów, humanitarystów i podobnej hałastry. To może być ciężkiem cierpieniem dla ofiar, ale — Bogu dzięki — niemiecka dusza, niemiecka krew, jest w stanie znieść heroicznie cierpienia... innych. Cóż zresztą oznaczają cierpienia pojedynczych grup wobec faktu, że nasz naród stał się znowu narodem, że dusza niemiecka uroczyście zmartwychwstała i zaczęła swój lot wzwyż. Jesteśmy Niemcami, poco mamy być szlachetni?...“

XV. MNIEJSZOŚĆ ISTNIEJĄCA

CO DO TYCH, DLA KTÓRYCH MIEJSCA w Niemczech niema — zadziwia każdego cudzoziemca turystę, że jednak jest ich jeszcze liczba nieprzebrana. Kogóż wyrzucił rząd, kiedy Żydów, naprzykład, pełno?! W takim Döbring-kaffeehaus widzi się prawie tylko Żydów, a tu i ówdzie napisy hebrajskie zapowiadają koszerłą kuchnię, a więc liczą na ortodoksów, no i uprawiają najwidoczniej ubój rytualny. Poza tem prasa żydowska lansuje od czasu do czasu wiadomości, w rodzaju, że minister Göring żeni się z panną Sonnemann „p o c h o d z ą c ą z ży d o w s k i e j r o d z i n y f r a n k f u r c k i e j” i że regime w stosunku do mniejszości łagodnieje.

Otóż, nie dajmy się uwieść pozorom czy celowo lansowanym wieściom. Panna Sonnemann nie ma ani kropli krwi żydowskiej, inaczej wogóle byłoby nie do pomyślenia małżeństwo jej z Göringiem, a co do regimu, to nie złągodniał on ani na jotę! Hitler uprzątnął zrazu kraj ze wszystkich bogatych Żydów, profesorów, aktorów, literatów, dziennikarzy, kupców, artystów etc., którzy nie potrzebowaliby ewentualnie żadnych posad, mając grubą gotówkę — natomiast biedniejszych Żydów, którzy muszą żyć z pracy rąk, tych nie ruszył, jednak postawił im przed nosem *AHNEN-*

PASS, groźny Rubikon, przez który żaden z nich nie przejedzie, dokument, bez którego wypełnienia nikt w Niemczech nie dostanie się do urzędu, nikt na wydział medyczny, filozoficzny, prawniczy — gorzej! bo nawet nie wytrwa w dziennikarstwie, a choćby nawet w kolporterstwie.

Ostatnio tysiącowi literatów niearyjskich odebrano prawo należenie do organizacji zawodowej, właśnie na podstawie *AHNEN-PASSU*, tak samo wykluczono 173 dziennikarzy, dotychczas się przemycających. Drzwi wszędzie zastanie zczasem niearyjczyk zamknięte. Tylko obywatel, który się wykaże dokumentami, aż do r. 1800 wstecz, że nie ma: 1) ani jednego murzyna, 2) ani jednego cygana, 3) i ani jednego Żyda w rodzie, może się ubiegać o posadę i stanowisko. Więc cóż czeka prędzej czy później warstwę Żydów, nie posiadających majątku osobistego i potrzebujących zapracować na chleb? Cóż czeka tych, którzy mają dzieci? Jaka tych ostatnich przyszłość, skoro do żadnej wyższej uczelni się nie dostaną i żadnej pracy nigdy nie otrzymają? Powolna emigracja i koniec.

Ostatecznie Niemcom chyba wystarczy liczba 1000 milionów aryjskich obywateli na świecie, nie licząc 766 milionów Arabów, Turków, Mongołów, Malajów i Indjan, nieobjętych „t r e f n o ś c i ą“. Paragrafom wyklęcia pod-

pada tylko 109 milionów negroidów, 14 milionów Żydów i kilkadziesiąt tysięcy cyganów.

Ahnenpass ma pewne paragrafy, na które uśmiejemy się z niedowierzaniem. Np. apel do Niemca, którego matka miała romans z Żydem, aby, jeśli powątpiewa o czystości swej aryjskiej krwi, nie wstydził się przyznać do tego, t. zn. aby zgodził się na wszystkie szyskany i banicję, w imię dobra ojczyzny i rasistycznej zbawczej zasady. Istotnie, trzeba by szczególnego rodzaju bohaterstwa, aby pójść za takim apelem!! Są też groźne furtki w Ahnenpassie, dla „r y z y k a n t ó w“. Oto, jeśli Niemiec ma ojca Żyda, a matkę aryjkę, wystarcza, aby udowodnił, że ona miała romans z aryjczykiem w okresie jego poczęcia i — zdobywa prawo do Ahnenpassu. To także szczególne bohaterstwo, ale podobno te rzeczy bywają na porządku dziennym...

Mam jednak wrażenie, że z bardzo małemi wyjątkami, Niemcy dopną swego i istotnie wyzbędą się Żydów. Przy całym niemieszaniu się do wewnętrznych spraw obcopaństwowych, możemy się dziwić lub nie dziwić hitlerowskim metodom masowej expulsji, niszczenia literatury, sztuki, nauki dla hasła c z y s t o ś c i r a s y, niemniej w głębi duszy kołacze się refleksja gorzka, że dużo musiała zawinić jedna rasa drugiej, tubylczej, jeśli ta druga zdobyła się na podobnie dra-

końskie metody i — nad tem zjawiskiem muszą się trochę zastanowić Żydzi, nietylko w Niemczech i nietylko pod kątem własnej, niezaprzeczonej krzywdy. Lekcja straszliwa — ale przyjąć ją trzeba i trzeba wyciągnąć z niej konsekwencje myślowe.

W każdym razie, między licznymi napisami w Berlinie: *Opfern musst du! nicht Almosen geben!!!* (P o ś w i ę c i ć c o ś m u s i s z! a n i e j a ł m u ż n y d a w a ć!!!), coraz to widnieje wiele mówiąca tabliczka: mieszkanie do wynajęcia, sklep do wynajęcia, pokój pojedynczy do wynajęcia... Coprawda najmniej jest tych pojedynczych pokoi, najwięcej apartamentów. Wbrew wszystkiemu, co Żydzi głoszą, księgarnie są zavalone przepyszными wydawnictwami z dziedziny sztuki i nauki, wspaniałymi perjodykami, pismami etc., teatry są pełne i kina pełne, o doskonałych programach. Poza tem są Niemcy wybitnie na turystykę nastawione. Wszędzie sprawne biura informacyjne, ułatwienia, niezliczone prospekty, mapy, fotosy i Baedekery. Wygląda naogół dostаточно, tylko czasem, z za węgła, wyciąga się jakaś drżąca ręka i głos niepewny prosi *um ein Pfennig*, o jeden grosz, i od czasu do czasu, gdy maszerują szturmowcy, czy inni *Hackenkreuzritterzy*, chwytają się w locie jakieś skośne, wściekłe spojrzenie przechodnia i wtedy człowiek

rozumie, dlaczego Hitler... tak gorączkowo się zbroi.

Wróciłam oszołomiona wrażeniami do hallu hotelowego i w tej chwili otrzymuję telefon z ambasady polskiej, że mjr. van Gülpen został przez dr. Kirkena odnaleziony i że za kwadrans będą u mnie obaj.

XVI. GAU JÄGERMEISTER FÜR GROSS-BERLIN

WCHODZI KROKIEM ENERGETYCZNYM, ba! nawet nawałniczym, człowiek, wyglądający na maximum 40 lat, wysoki, silny, kipiący zamaszystością wojskową. Przedstawia się: *van Gülpen* i po krótkiej, dość zdawkowej, rozmowie prosi, abym pojechała do niego, gdzie pokaże mi wiele rzeczy, dotyczących Marszałka Piłsudskiego. Przed hotelem czeka jego auto, z którego dna sterczy żałośnie osiem sarnich nóżek. Wyładowujemy te trofea przed jakimś kolonialnym sklepem i mkniemy dalej, przede wszystkim na *Reichstrasse* 9. Zatrzymujemy się przed dużą kamienicą o owalnych trzech oknach u góry. Tu, gdzie te okna, mieszkał w roku 1918 *van Gülpen* i tu przywiózł wprost z Magdeburga, wieczorem dnia 9 listopada tegoż roku, Komendanta i gen. Sosnkowskiego.

Zdziwiłam się niemało, ujrawszy tę kamienicę, otoczoną szeregiem innych podobnych kamienic, bowiem ciągle tkwiły mi w pamięci słowa gen. Sosnkowskiego:

„...Van Gülpen, korzystając z pomyślnej okoliczności, iż jego willa leżała po drodze, w ogrodowej, podmiejskiej dzielnicy, zdecydował, że musimy się tu zatrzymać...”

Gdzież ta „willa“, na miły Bóg, i ta podmiejska dzielnica ogrodowa?! Lecz właśnie van Gülpen tłumaczy, że przed 17 laty, to miasto było przedmieściem, istotnie tonącym w drzewach, łączącym się poprostu z lasem. Wokół nie było innych domów. Teraz las jest wycięty, kamienic cały rząd i wogóle nowopowstała dzielnica ma typ wielkomiejski. Fotografujemy dom, a właściwie owe trzy górne okna owalne, i jedziemy dalej na *Anhaltstrasse* 7. I znowu przypominają mi się słowa gen. Sosnkowskiego o „pełnym prawdziwego smaku urządzeniu domu u van Gülpenów, wskazującym na wysoki poziom towarzyskiej ich kultury“. Generał musiał być niezwykle oszołomiony odzyskaną wolnością i wdział nader różowe okulary, bo zastaje tu tylko miłe *bürgerliche* home i nic więcej. Trofea myśliwskie, oglądane ongiś z zajęciem przez Komendanta, wiszą gęsto na ścianach i stoi jeszcze, pod Jego portretem, fotel skó-



Major P. van Gülpen, obecnie Gaujägermeister für Gross-Berlin. Oficer pruski, który eskortował Marszałka Piłsudskiego z Magdeburga do Warszawy.

rzany, w którym siedział w ów pierwszy wieczór wolności.

Van Gülpen przedstawia nas swojej żonie, wesołej, gościnniej, żwawej pani i tu następuje

scena, która odrazu charakteryzuje nam gospodarza domu.

Pani spogląda na nas nieufnie, potem na niego i pyta:

— Pewnie chcesz mnie znowu nabrać!! Czy pani jest naprawdę *Gräfin Wielopolska*? A pan naprawdę z polskiej ambasady!? Bo, proszę państwa, jego się zawsze żarty trzymają i ja nigdy nie wiem, czy on serjo mówi, czy mnie naciąga...

I istotnie van Gülpen, wyglądający na człowieka zuchwałego, odważnego, nie cofającego się przed żadnem najniebezpieczniejszem zadaniem, przedstawia zarazem typ wesołego facecjonisty. Ten rys charakteru, jako też owych 8 nówek sarnich w samochodzie, zostają mi wnet objaśnione informacją pana domu, iż nie jest już w czynnej służbie wojskowej, tylko pełni urząd *Gaujägermeistera für Gross-Berlin*. W tym też rysie facecjonizmu, znanym u myśliwych, znaleźć można źródło tego, w czym — z okazji demonstrowania przezeń kanadyjskiego noża i wyliczania zarżniętych rzekomo Moskali — gen. Sosnkowski dopatrzył się rąbka sadyzmu.

Van Gülpen bezwątpienia rzuci się na całą watahę Moskali, nawet bez noża, z gołymi rękami, ale absolutnie nie wierze w jego sadyzm. Jest to człowiek raczej dobroduszny, mimo wściekłego temperamentu i nieposkromionej

Dom przy Reichstrasse 9 w Berlinie. U góry, gdzie 3 okna owalne, znajdowało się mieszkanie van Gölpena i tu przywieziono z Magdeburga Marszałka 9. II. 1918 r.



żyłki awanturniczej. Opowiada ciekawie, wesoło, dowcipnie o Komendancie, z nutą szczerzej, żołnierskiej sympatji dla tego kogoś, którego marsowa postać i zimna odwaga w niebezpieczeństwie mocno mu zaimponowały

i wraziły się w pamięć. Bo co do innych watorów Marszałka Piłsudskiego, to znacznie lepiej, wnikliwiej i bystrzej zorjentował się hr. Kessler, drugi konwojent w Jego podróży Magdeburg—Warszawa.

— Chciałbym pani mnóstwo rzeczy opowiedzieć — zaczyna van Gülpen — ale ma zaraz przyjść jedna osoba i nie będzie na opowiadanie dość czasu...

Namyśla się jednak i dodaje:

— A niech tam zresztą czeka ta osoba!! Zaczynam! 8 listopada 1918 r. siedziałem w swoim biurze w Magdeburgu, gdzie pełniłem funkcję dowódcy kolumny samochodowej, kiedy wezwano mnie do telefonu. Zprawa i zlewa donoszono mi alarmująco, że rewolucja się szerzy w Niemczech, że zbuntowani żołnierze, pomieszani bratersko z cywilną ludnością, demonstrują na ulicach. Wydaję rozkaz, aby pojedyncze samochody pancerne nie opuszczały miejsc swego postoju, natomiast te, które są w pełnym składzie kolumn, w Hanowerze, Halle, Lipsku i Dreźnie, niech ruszają z Bogiem dokąd trzeba.

Zameldowałem to wszystko adjutantowi komendy generalnej i poprosiłem o paru tęgich oficerów z karabinami maszynowymi, celem załatwienia rewolucji przynajmniej w Magdeburgu (*in zwei Stunden! diesen ganzen Spuk der Revolution!*). Komenderujący ge-

nerał odpowiada, niestety, że musi mieć na to instrukcje z Berlina, więc żebym niczego indywidualnie nie rozpoczynał, tem bardziej, że właśnie jest w drodze specjalna dla mnie misja. W parę chwil później przychodzi ta misja.

Melduje się u mnie rotmistrz hr. Kessler. Zapytuje, czy podejmę się odwieźć polskiego brygadjera Piłsudskiego, więzionego dotychczas w magdeburskiej cytadeli, do Polski. Zdziwiony, odpowiadam krótko, iż jestem oficerem i każdy rozkaz wypełniam, ale chciałbym wiedzieć, dlaczego mnie *ausgerechnet* powierzono tę rolę? Hr. Kessler legitymuje się zleceniem Ministerstwa Spraw Zagranicznych: w Polsce zbliża się rewolucja, jak w Niemczech, wszędzie komunizm głowę podnosi. Po całym tym okupowanym kraju są rozsiane placówki niemieckie, niemieccy urzędnicy, wysocy wojskowi, urzędniczeki, którym, jeśli Polacy zechcą skorzystać „z o k a z j i”, może być gorąco. Jeden Piłsudski jest w stanie ująć rozszalałe flukta w swoje ręce, mając niesłychany *prestige* u swoich i niesłuchanie silną wolę. Pociągi są wprowadznie wstrzymane, wszystko strajkuje, ale możeby się udało jednak Brygadjera przewieźć? Dodaje przytem hr. Kessler, że generał go objaśnił, iż ja się na tę misję najlepiej nadaję, że niema mowy o rozkazie, chodzi tylko o przyjacielskie zapytanie, czy tej misji się podejmę.

— Zaznaczam — konkluduje Kessler — że jest ryzykowna i że przebijać się trzeba, prawdopodobnie, przez morze rewolty...

Podjąłem się. Dałem odpowiednie informacje miejscowej komendzie w sprawie otworzenia mi cytadeli i poprosiłem hr. Kesslera, aby na mnie czekał na szosie ku Burg. Przygotowałem też z mnóstwem zapasowych kół mój silny *Audi*-samochód, przywdziałem bluzę szoferską, pod płaszczem i na dnie wozu umieściłem broń: rewolwery, karabiny i nóż kanadyjski, i wyruszyłem. Ulice pełne były wzburzonych tłumów. Stenotypistka, przeprowadzająca samochód przez Strombrücke ku cytadeli, przyczepiła doń kilka czerwonych szmat i krzyczała, jakby ją ze skóry obdzierali:

— Rozstąpcie się!! Jedziemy do cytadeli więźniów politycznych uwalniać!!!!

Tak przejechałem groźne punkty, eskortowany przez demonstrantów. Brama się otworzyła. Wszedłem do celi, gdzie ujrzałem człowieka o tak zdumiewająco podobnych rysach twarzy do Nietschego, że poprostu nie można sobie większego między rodzeństwem wyobrazić. Wąsy miał sumiaste, wyraz energiczny, twardy, chmurny i uderzająco przenikliwe oczy. Oświadczyłem Mu, że mam rozkaz przewiezienia Go do Warszawy. Niech mi wybaczy mój mało oficerski wygląd, ale inaczej nie



przejedziemy. Dla nich dwóch mam też w aucie płaszcze cywilne i kapelusze.

Spojrzał na mnie bystro ten polski brygadjer o twarzy niemieckiego filozofa i zapytał, co się stanie z jego rzeczami, jeśli wszystkiego nie będzie czasu zabrać?

— Będą odesłane.

— Mogę polegać na pańskiej obietnicy?

— Tak, brygadjerze.

Bez dalszych wahań siedli obaj panowie do samochodu i ruszyliśmy szybkim tempem szosą do Berlina, gdzie spotkaliśmy hr. Kesslera.

— Hrabiego Kesslera?! — pytam zdziwiona. — Przecież i on sam i Marszałek Piłsudski i gen. Sosnkowski podają, że hr. Kessler towarzyszył panom w podróży od Magdeburga przez Berlin aż do Warszawy?!

— O nie! — żywo zaprzecza van Gülpen. — On był na to za mało odważny...

Nie staram się przekonywać, słucham dalej.

— Przed miejscowością *Burg*, spotkałem znajomego listonosza i ten mnie przestrzegł, abym się nie przebijał tu przez rynek, gdyż zrewoltowane tłumy nas nie przepuszczą.

— A czy nie można ominąć rynku? — spytałem listonosza.

— Nie! chybaby się cofnąć i, daleko okrążając *Burg*, jechać inną drogą.

Piłsudski nie rozumiał, co szeptem ze sobą mówimy, ale kiedy mnie zapytał, o co chodzi, przedstawiłem stan rzeczy i zapytałem, czy zgadza się, abym ryzykował przejazd przez rynek, bo inaczej wiele czasu stracimy. Zgodził się z miejsca i bez zastanawiania, więc całą parą wpadamy na ów rynek. Po drodze starają się nas wrzeszczący ludzie zatrzymać, ale na samym rynku zbuntowanych obywateli ani na lekarstwo — jeden tylko niewinny biały foxterrierek, nie mający nic z rewolucją wspólnego, ugania tam i zpowrotem.

Zbliżaliśmy się do *Genthin*. Miasteczko wyglądało spokojnie, wjechaliśmy zatem na podwórze znajomej mi pewnej mleczarni parowej i zasiedli w trójkę do stołu. Uraczono nas świeżym chlebem, masłem i mlekiem. Piłsudski jadł z apetytem i powtarzał:

— Zupełnie jak z nieprawdopodobnego zdarzenia, zupełnie jak w bajce...



Tymczasem połączyłem się telefonicznie z garnizonami w Brandenburgu i Poczdamie. W pierwszej z tych miejscowości cisza i spokój, brzmi informacja, ale Poczdam omijając, ile się tylko da! Skręcam więc przez Ketzin, na Heerstrasse do Berlina.

Psuł się ciągle samochód, zaopatrzony w koła z nowej ersatz-masy kartoflanej, która, rozgrzewając się, topniała po każdych 40 kilometrach.

— Ciężka służba, szoferka!... — zauważył Piłsudski w pewnej chwili, gdy — po raz nie wiem który — zdejmowałem opony, klnąc. Ale każda rzecz, zła i dobra, ma swój koniec. Zajeżdżaliśmy do mego mieszkania na *Reichstrasse 9*, mieszkałem na III piętrze. Stamtąd natychmiast zadzwoniłem do Ministerstwa Spraw Zagranicznych o dalsze instrukcje i, otrzymawszy je, poprosiłem moich gości do stołu, wziąłem ich podpis do albumu i traktowałem koniakiem, który miał być „z n a k o m i t y“.

Po wyjściu mych dostojnych gości, odruchowo gołnałem sobie jeszcze jeden kieliszek tego „znakomitego“ koniaku i wtedy dopiero zauważyłem, co to za świństwo! *Na das hat nach Propfen gerochen!!!* a myśmy tego wcale w trakcie rozmowy nie zauważyli. Przynajmniej ja. Następnego dnia porozumiałem się z jednym Zugführerem, który obiecał dosta-

Podpisy Marszałka Piłsudskiego, generała Sosnkowskiego i hr. Kesslera, w albumie van Gülpna, położone w historycznym dniu uwolnienia z Magdeburga, 8. 10. 1918 (z dopiskami van Gülpna).

Ł. Piłsudski
Brig. de Pol. Legion 8/XI 1918

Kazimierz v. Sosnkowski

Hr. Kessler 8/XI - 1918
Gen. H. Kessler 8/XI - 1918

wieć nas do Warszawy cało, w jednym wagonie, doczepionym do lokomotywy.

W prawej kieszeni umieściłem dokumenty, w lewej rewolwery i mój pamiątkowy nóż kanadyjski o 20 centymentrowej klindze i tak ruszyliśmy ku Warszawie. Co do tego noża, wciąż mnie naciągał Piłsudski i żartował... Nasza lokomotywa zatrzymywała się często, aby nabrać wody lub na rozkaz naczelników stacyj. Wtedy zawsze wypadało zastanowić się, czy będą potrzebne dokumenty z prawej kieszeni, czy też... z lewej? Piłsudski uprzedzie mnie po drodze rozmawiał. Mówił, iż nie wątpi, że kiedyś dojdzie do przyjaznych z Niemcami stosunków, mnie żartobliwie proponował, abym został u niego generałem kawalerji.

— Masz pan na to dostateczny zasób fantazji!

W Warszawie przyjęto nas z nie dającym się opisać entuzjazmem. Piłsudski przydzielił

mi konwojenta-opiekuna, dr. Leona Loria, abym był bezpieczny, a kiedy nie mogłem dostać pomieszczenia w komendzie niemieckiej, przyjęła mnie bezpłatnie jakaś rodzina polska — wszystko z wdzięczności za przywiezienie Piłsudskiego! Nawet dorożkarze i fryzjerzy grosza ode mnie brać nie chcieli, kiedy się przypadkiem dowiadawali, że ja jestem tym, który eskortował Marszałka z Magdeburga do Warszawy. Poznałem wtedy, jaka jest szalona popularność tego człowieka w masach i również poznałem jego bezprzykładne panowanie nad tłumem, bo gdy wkrótce po przyjeździe przemawiał z balkonu, a tłum nie przestawał wiwatować, wystarczyło jedno jego władcze skinienie, aby tłum zamarł w milczeniu i bezruchu.

— A jaki był powrót pana majora? — pytam ciekawie.

Zpowrotem, okazało się, miał trochę emocjonujących przygód. Wyrzucił z pędzącego pociągu jakiegoś zbyt poufałego i natarczywego feldfebla, w Berlinie obszukano go i odebrano broń — przepadł sławetny nóż kanadyjski! Choć jeszcze znacznie później, gdy van Gülpen przebywał w Warszawie, w poselstwie niemieckim, i stawiał się przed Marszałkiem w Belwederze, ten zapytał go z miejsca:

— A co z pańskim nożem kanadyjskim — ha?

Budynek w forcie
magdeburgskim,
w którym (I p.
front) więziony był
Marszałek Piłsud-
ski. Dziś budynek
ten już nie egzy-
stuje.



— Żegnając mnie, kończy van Gülpen,
powiedział mi Marszałek, że nie wątpi, iż się

jeszcze zobaczymy. Wielkie, niezatarte wrażenie uczynił na mnie ten człowiek swoją energją, bystrą orientacją i odwagą. Zresztą działał też pewnie i w swojej ojczyźnie tak samo, osobistym przedewszystkiem czarem...

XVII. T Y L K O G R U Z Y !

SKOŃCZYWSZY SWĄ OPOWIEŚĆ, stwierdza van Gülpen, że niema już ani cytadeli w Magdeburgu, ani tego budynku, w którym przebywał Marszałek, ale, że mi da, wraz z odpisem swoich wspomnień, fotografie, które mi zastąpią rzetelnie wszelkie braki ilustracyjne. Trzeba bowiem trafić, że van Gülpen, ongiś buńczuczny i awanturniczy oficer magdeburckiego garnizonu, miał ciągle do czynienia ze swoją władzą, a to o pojedynki, a to o burdy z cywilami (nawiasem mówiąc, myślę, że i teraz sposobności nie omija...), dzięki czemu niezwykle często siedział w tak zwanej *p a c e*. W budynku zaś, w którym więziono Marszałka od 1917 r., znajdowała się instytucja, zwana, jak Marszałek się wyraził „*z a b a w n i e*“, *SOMMEROFFIZIERARRESTSTUBE*, jednym słowem cele, gdzie zamykano takich pojedyńkowiczów oficerków, na warunkach zresztą dość łagodnych i „honorowych“.

I akurat w roku 1914, tuż przed wojną, na



Van Gülpen w r. 1914. W celi na cytadeli magdeburskiej, która w 1918 r. była celą Marszałka Piłsudskiego. Tylko, że Marszałek miał mniej wygodne łóżko...

trzy lata przed pojawieniem się Marszałka w Magdeburgu, siedział w Jego przyszłej celi van Gülpen. Można więc sobie wyobrazić moją radość, kiedy mi wręczył jowjalny, niepohamowany Gaujägermeister, szereg zdjęć bezcennych, bo przedstawiających obiekty nie istniejące już, nieosiągalne. A więc: wewnątrz celi Komendanta i Jego szefa sztabu, ogródek, po którym spacerował, podwórze, skąd patrzył, zmianę warty i ponadto jedno zdjęcie intrygujące, wyobrażające mego Gaujägermeistra, drapiącego się jak kot po murze, jedną ręką uczepionego do jakiejś kraty okiennej.

— A to co przedstawia?

Zaśmiewa się van Gülpen.

— O, to cała historia, proszę pani! Kiedy przebywałem w wiadomej celi, stwierdziłem

razu pewnego, przypadkiem, że krata okienna jest ruchoma. Jakim cudem? Nie wiem, ale bez wielkiego wysiłku można ją było wyjmować. To też z koleżką moim, sąsiadem, regularnie wyjmowałem kratę, spuszczałem się na podwórze, na parkan i wiałem z nim do miasta na całonocną bumberkę. W okresie wojny, nie miałem pojęcia, że tak ważna osobistość zajęła moje miejsce w celi o uszkodzonej kratce, a kiedy się dowiedziałem, nie mogłem sobie odmówić satysfakcji, zanim poszedłem na cytadelę uwalniać Piłsudskiego, żeby nie napędzić trochę pietra staremu poczcwiwcowi generałowi, który mi długo i szeroko wykladał, jak niebezpiecznym więźniem jest Piłsudski i co on, generał, ryzykował, rękując za takiego jeńca głową...

— Tam do licha! A to ładna historia, panie generale! — zakrzyknąłem. Bo panu napewno nie jest wiadome, że w tej celi właśnie, gdzie ten groźny człowiek siedzi, jest w oknie krata, wyjmująca się zupełnie łatwo!

— Myślałem, powiada van Gülpen, że starego generała szlag trafi na miejscu z wrażeń.

— *Du mein lieber Gott!* — jęczał, rwąc włosy.

— *Beruhigen sie sich, herr General!* I tak lament za późny, bo więźnia zabieramy, nie czekając aż się dowie o ruchomej kratce.



Ogródek na cytadeli w Magdeburgu, po którym Marszałek spacerował.

Więc także i to zdjęcie ofiarował mi van Gülpen, przedstawiające chwilę, kiedy, wyjąwszy kratę, drapie się do historycznej celi rankiem zpowrotem, podczas gdy go koleżka fotografuje. Odpis wspomnień swoich, wysłanych Belwederowi, wręcza mi również.

— A teraz muszę iść, bo zaraz przyjdzie ta osoba, o której wspomniałem...

Śmieję się.

— Przecież pan mówił, panie majorze, że ta osoba może czekać?

— Ja?! Nigdy w świecie tego nie mówiłem! Jakże mogłem tak mówić?! A zresztą może...

I zaczyna na nowo opowiadać, machając

rękami, tym razem o mającym się odbyć koncercie Kiepuru.

— Co to za artysta?! To żaden artysta, kiedy Wagnera nie śpiewa!!

Żona go mityguje, że można być artystą i nie śpiewać Wagnera, ale van Gülpen irytuje się i nagle się zrywa, żegnając nas pośpiesznie.

— Nie. Jednak ta osoba nie może czekać.

I znika za drzwiami major van Gülpen, wesoły *Gaujägermeister für Gross-Berlin*, zostawiając nas ze swą żoną, przy herbacie z ciastkami, obstawionych fotografjami.

MAGDEBURG

23. 8. 1917 r. — 9. 11. 1918 r.

XVIII. HISZPAŃSKA GRYPA
I ANGIELSKIE MONARCHINIE

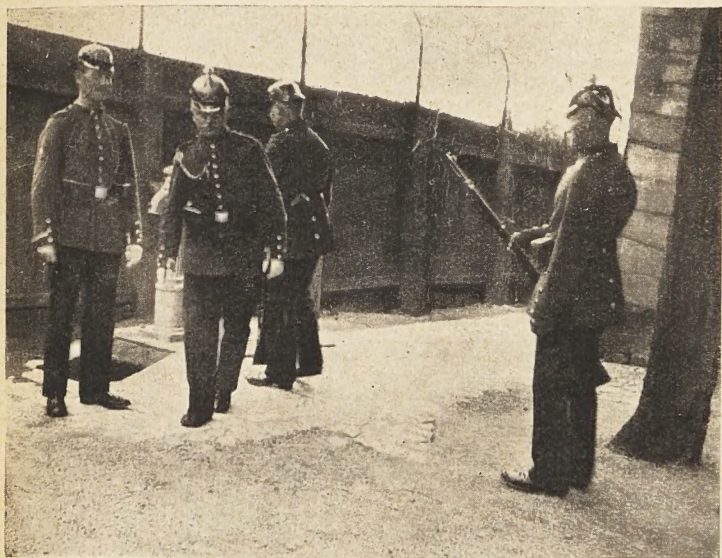
ZAOPATRZONA TERAZ WE WSZYST-
kie dane, zdjęcia i szczegóły, pakuję ne-
seser na wyjazd do Magdeburga, do którego
Marszałek przybył dnia 23 sierpnia 1917 roku,
na długich 442 dni.

Wyjazd z Wesel nastąpił nagle, o czym
znajdujemy nawet wzmiankę w ówczesnym
tajnym polskim „*Komunikacie*“ (Nr. 89 z dnia
27. 10. 1917 r.).

W Wesel, gdzie Komendant był więziony
przedostatnio, robotnicy, Niemcy i Polacy, bę-
dący na Saksach, urządzili demonstrację na
Jego cześć i zażądali uwolnienia Go. W ciągu
24 godzin, Komendanta przewieziono do Ma-
gdeburga.

W historycznym dla nas grodzie, za-
jeżdżam do niemiłego gmachu Centralho-
telu, o przerażającym wyglądzie. Kolumny
z marmuru, z drzewa, z kamienia, z ceraty,
z gumy do żucia, a może nawet z czekolady,
w pasy, w kratki, w pręgi, złożone, niklowane,
malowane, o kapitelach złotych, kulach srebr-
nych, dywanach zielonych i rogózkach czer-
wonych — no okropność!

W moim malutkim pokoju na III piętrze
piętrzą się bety, pierzyny i puchy na łóżku,



Zmiana warty na
cytadeli magdebur-
skiej, dziś nie-
istniejącej.

a na ścianie wiszą naprzeciw siebie dwa obrazy w żałobnych ramach. Słuszna żałoba, gdyż jeden imaginuje Lapletta Potta „*Marję Stuart idącą na ścięcie*“, a drugi Delaroche’a „*Śmierć królowej Elżbiety*“, jej przeciwniczki, a więc sceny wysoce makabryczne. Ponieważ Elżbieta umiera akurat naprzeciw, że tak powiem nos w nos z Marją Stuart, choć historycznie ewenementy te przegradza dobrych 16 lat, więc ta ostatnia zdaje się uśmiechać z kwaśną słodyczą i mówić głosem naszej Malickiej:

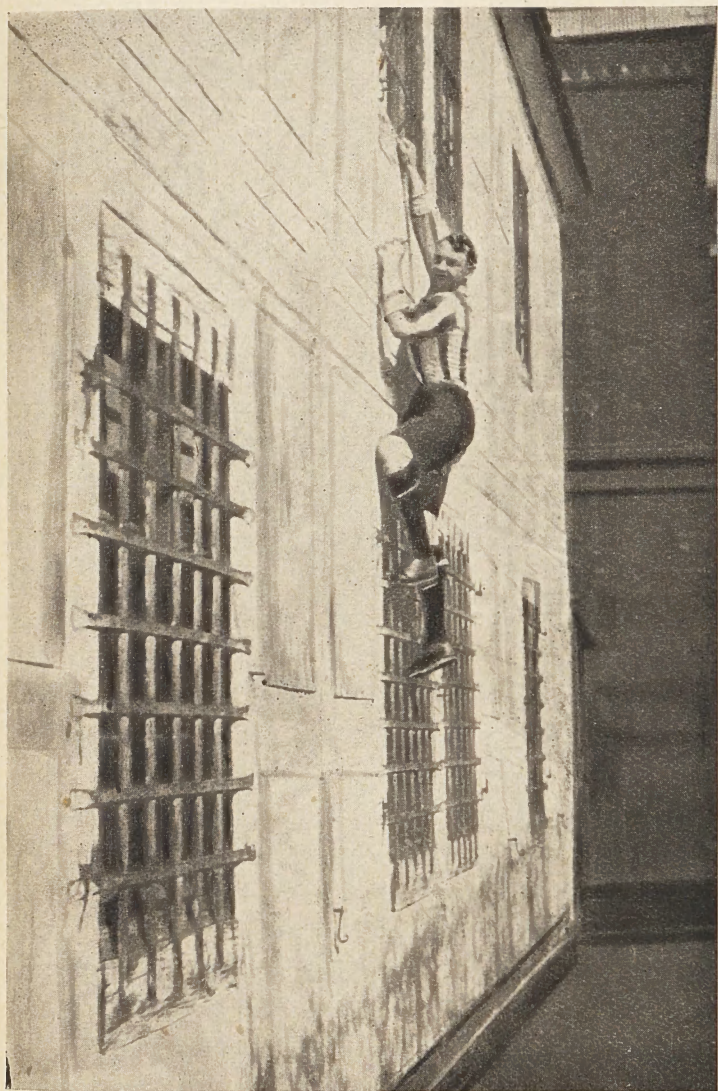
— *Dobrze ci tak, ukochana siostrz!!! Nosił wilk kożę, ponieśli i wilka...*

Ale mało brakowało, aby nie ponieśli i mnie, bo dławiona zdawna grypa zaczęła nie

na żarty mnie atakować, gorączka wzmagala się, uśmiech pogniwanych na śmierć monarchiń nie dawał mi zasnąć — co uważałam zresztą za szczęśliwy traf, jako że pod pretekstem niewątpliwej choroby łatwiej mi przyjdzie odszukać lecznicę, w której się leczył Komendant. Świetny pretekst ta grypa!!! Rano więc o 9-ej, mocno niepewna coprawda na nogach, zaczynam chodzić po ambulatorjach. Niestety, nie dowiedziałam się nic, a jedynie wzmocniona zastrzykiem chinowym, który odrazu obniżył gorączkę, ale zostawił pewne rozmarzenie i przetrącone nogi, idę do katedry.

Wiem, że zwiedzał ją Marszałek przy końcu swego pobytu, kiedy klęski wojenne złągodziły obyczaje Niemców. Żona dozorczy oświadcza mi uprzejmie, lecz stanowczo, że to nie jest godzina zwiedzania, ale jeśli jej zapłacę *n o r m a l n ą t a k s ę*, to ona mnie wpuści samą do środka. Płacę *n o r m a l n ą t a k s ę* i Szwabka zatrząskuje za mną olbrzymią kratę żelazną na klucz, czyniąc uwagę, że od wewnątrz jest dzwonek „*links*“, więc, że mogę zadzwonić, kiedy będą miała ochotę wyjść.

Nie wymawiając, dzięki Komendantowi nie wychodziłam prawie z poza krat przez całą moją podróż do Niemiec! Ciągłe za mną hukały rygle i dzwoniły klucze, nawet — jak się okazało — przy najniewinniejszym wstępowaniu do kościoła. Na ostatnim etapie mej



Van Gülpen wykrada się z celi swojej na magdeburskiej cytadeli. Nikt nie wiedział, kiedy Komendant w tej samej celi siedział w 1918 r., że krata w Jego oknie była... łatwo usuwalna.

podróżu czułam się już nawet w kryminale, jak w domu.

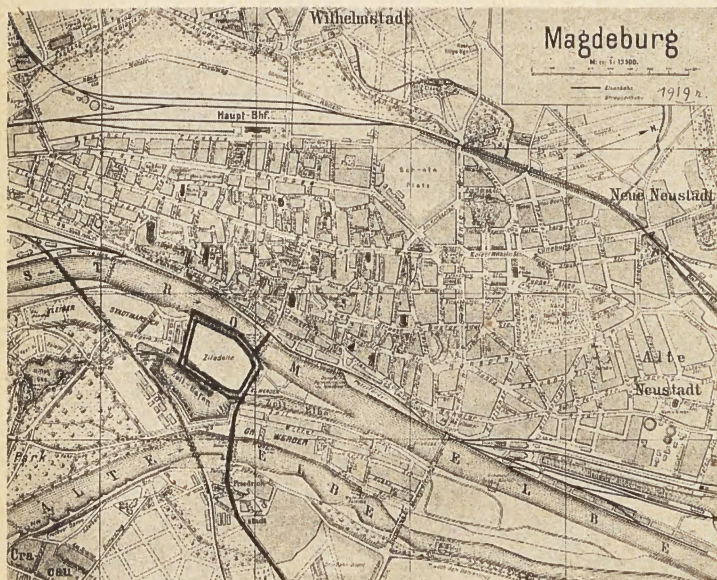
Mogłam, w dodatku, w katedrze przesiedzieć dłużej, niż zamierzałam, gdyż nie wpadło mi na myśl, iż świątynia ta, to miasto całe, ocienione jak grób witrażami, i o tak powikłanej architekturze, że jest niesłychanie trudna do orjentacji. Cud Boży, że do tej pory nie chodzę tam wkrótce, objając się o stare figury, chrzcielnice, krucyfiksy i ławki!

XIX. LOGIKA HISTORJI

ZE KOMENDANT TU BYŁ — TO Z PUNKTU widzenia wieczności i historji, rzecz naturalna.

Przed tysiącem lat, przyjeżdżał do Bolesławowej Polski, wtedy, kiedy się ona wyłaniała dopiero z chaosu księstw, cesarz OTTO III, władca magdeburski. Leży tu cała jego dynastia, z cesarzem Ottonem Wielkim, jego dziadkiem, i Edytą, jego babką. Cóż prostszego, jak to, że Marszałek Piłsudski rewizytował dynastję Ottonów, właśnie w przeddzień ery, gdy ta Polska, dzięki Niemu odrodzić się znowu miała? Jest to porządek rzeczy naturalny, a że odwiedziny dostojników przedzieliły stulecia — czem to jest wobec wieczności narodów i ras?!

Łażąc w ciemnościach, do których, na szczęście, oko się powoli przyzwyczajało, roz-



Plan Magdeburga z czasów Marszałka z zaznaczoną na lewo cytadelą, dziś nieistniejącą.

myślałam, nad którymi też szczegółami zatrzymywał się Komendant, gdy pod koniec niewoli pozwolono Mu tu przyjść? Więc — naturalnie, że przede wszystkim zatrzymał się przed Swoim gościem onegdajszym, przed grobem protoplasty cesarzy Ottonów. W kapliczce gotyckiej, w ażurowe kolumnienki zdobnej, siedzi tam stary cesarz, obok cesarzowej Edyty, swojej pierwszej małżonki, dzierżąc tarczę z 19 kulami. Nikt dotychczas nie rozwiązał, co oznaczają te kule. Lud twierdzi, że szczodry pan wydał 19 tonn złota na wybudowanie katedry, ale pewne jest, że znaczą one co innego i że szukać trzeba ich sensu w kabbalistyce. Każdy naród ma swoje „44“...

Opodal leży cesarzowa Edyta, w pozie naszej Jadwigi na Wawelu, tylko niższy ma sarkofag i czas nadbił jej nos cesarski i pokiereszował śliczną twarz uśpioną. W zbroi, groźny, strażuje nad nią św. Maurycy, murzyn. W pewnej chwili, gdy się nad nią nachylałam (tak nisko leży), czuję nagle jakiś odurzający zapach. Czy możliwe, aby dotąd jeszcze się zachował upajający zapach jej kamiennych rąk złożonych? Czy też resztki to u mnie grypowej nieprzytomności? Wzruszyła mnie jednak ta subtelna, zaświatowa, mocna woń i szła za mną wciąż po czarnym jak noc gmachu. I dopiero znacznie później, w drodze powrotnej, spostrzegłam, że to prozaicznie pachnie... kołnierz mego własnego futra, do którego wsadziłam nos, nachylając się nad sarkofagiem. Niemniej parę chwil „metafizycznej rozkoszy” przeżyłam, goniona domniemanym zapachem rąk cesarzowej.

Marszałek pewnie przyjrzał się germańskiej monarchini i także tej strzelistej, zażenowanej Madonnie, która we wnęce okna podnosi rękę, pozdrawiając uśmiechniętego filuternie archaniola. Przyszło mi na myśl, że młodym szturmowcom tłumaczy się przed nią zapewne, że i ona mówi *heil Hitler!* Ale jest tyle nagromadzonej żrącej goryczy w tych murach, że żart ginie echem niewczesnym. Tu się widzi dopiero, jak dalece kulty się nie znoszą



nawzajem! Można kościół zburzyć, można go przerobić na magazyn, na stajnię, na muzeum, ale nie można katolickiej świątyni oddać kultowi luterzańskiemu. Raczej może vice versa, gdyż święci katoliccy są zachłanniej, pewniej siebie i okupują teren z prostotą, pełną tupetu.

Tu załamałbyś ręce, młody Jagiellonie, obrazoburco, gdybyś wstał ze swego biskupiego grobu i spojrział na swe dzieło! Wszystko wokół tchnie gniewem, rozpaczą i opuszczeniem. Święci klęczą, desperacko od nawy odwróceniu, z ramionami wzniesionymi ku niebu, z którego nie wyglądają napewno łaski, tylko przekleństwa i piorunu, a nieprzejednane Madonny stoją chmurne i nawet Dzieciątko ich nie bawi, odsunięte dziwnie daleko od torsu Matki, jakby z niechęcią. Musiał nad tem rozmyślać Komendant i musiał się zasmucić, że tyle przepadło na wieki arcydzieł. Bo choć luteranizm przyniósł Niemcom podstawę ich potęgi państwowej, jednak zniszczył cuda; w walkach religijnych przepadły witraże, obrazy, dzieła sztuki bezcenne, nieodżałowane, nieodkupione, a teraz wiatr rozpaczy szaleje po ogołoconych murach, po kapitelach, jak koronki brabantkie, po nyżach, wklęsłych od bólu i trzymających jak w muszli tajemnicę obrażonego świętego kamiennego. Wszyscy się tu boczą śmiertelnie, na zawsze zagniewani i niczem nigdy nie pocieszeni.

A teraz jeszcze bardziej zapieczętowano ich istnienie. Plebiscyt w Saarze pogroził docna katolicyzm w oczach Niemców, rozwścieczył ich. W ich pismach, poświęconych sprawom kultu, aż kipi na t. zw.: „*jüdisch-römische Kirche*“, aczkolwiek i „*jüdisch-evangelische*“.

sche Kirche“ też się nie oszczędza. Tysiące tworzy się wyznań. Jest już Niemiecki Kościół Ludowy (*Deutsche Volkskirche*), kierowany przez Artura Dintera, Wiara Niemiecka (*Deutscher Glaube*) H. Mandela, Niemiecki Kościół Ludowy R. Krausego, Religja Niemiec (*Deutsche Religion*) Drewsa, Religja Germańska (*Germanische Religion*) Konrada, Niemiecki Kościół Narodowy (*Deutsche Nationalkirche*) prof. Bergmana, Niemiecka Wiara w Boga (*Deutsche Gottesglaube*) Matyldy Lüdendorff, Niemiecki Ruch Religijny (*Deutsche Glaubensbewegung*) Hausnera, Nordycki Ruch Religijny (*Nordische Glaubensbewegung*), Gmina Wiary Germańskiej (*Germanische Glaubensgemeinschaft*) Fahrenkroga, Wiara Niemiec Virgutza etc. etc. i z dnia na dzień wzrasta pęd ku odchrześcijanizowaniu religji niemieckiej, względnie ku odżydzeniu chrześcijaństwa.

— Chrystus nie był Żydem! — krzyczą reformatorzy. Jego nauka jest „*eine rein arischheldische Lehre*“, czysto bohaterska, aryjska nauka. Cały c h r z e ś c i j a ń s k i Kościół, apostołowie, prorocy, to żydostwo, to sami semici, wobec tego odrzucić chrześcijanizm! — nawołują drudzy, kołysząc mrzonki o prastarych bogach germańskich. Będzie więc albo neoprotestantyzm, odżydzony, odchrześcijanizowany, albo powrót

do prastarych germańskich bogów pogańskich, których się będzie traktowało jako państwowe emblematy i ekspozyturę niejako starogermańskich cnót. Zdaje mi się, że nie było jeszcze zjawiska równie dla chrześcijaństwa niebezpiecznego, jak obecny ruch hitlerowski, wżerający się w same jego korzenie, w sam rdzeń, a pamiętać trzeba, że najpotężniejszy z Kościołów chrześcijańskich, mianowicie Rzymski, nie miał szczęścia do Niemiec i że z Niemiec wyszły wszystkie jego klęski i przyczyna abdykacji z trzech czwartych europejskiego ładu (objętego reformą Lutra).

A kiedy się stanie zmiana definitywna w państwie Hitlera, co powie wtedy strzelista, zażenowana Madonna w katedrze magdeburskiej, gdy zamiast filuternego archanioła, stanie obok Niej jakaś masywna germańska prabogini czy pranordycki bóg, jakaś rozrosła Fria czy lwiogrzywy Thunar, bóg piorunów i grzmotów? Co powie naiwny murzyn, św. Maurycy, nawrócony z takim trudem na katolicyzm, a obecnie wykreślony z *Ahnenpassów*, jako plugawy negr? I co wspaniały krucyfiks powie, tyłem do grobów cesarskich odwrócony, gdy wbiją w jego środek, pod samą głowę Chrystusa, znak zresztą słoneczny i anheliczny swastyki?! Do rozet gotyckich coprawda, jest ona bardziej zbliżona, niż do kształtu łacińskiego krzyża, ale chyba rozpadną się na

dobre w proch te odwieczne mury, gdy przyjdzie im przeżyć jeszcze jedną reformę religijną...

Tej wszystkiej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości nieodgadnionej, dzwoni głucho i posępnie SUZANNA, zawieszona u szczytu wież przed wiekami, a tragedję świątyni otula mrok głęboki, skąpo filtrowany przez brzydkie, ciemnobłękitne witraże.

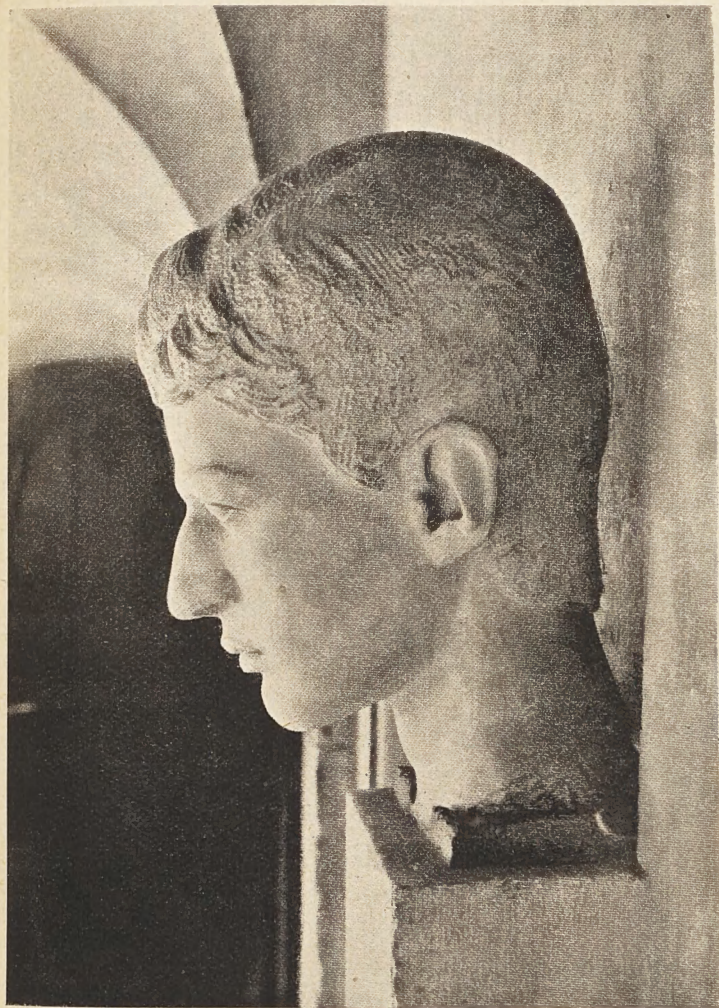
Przypominam sobie, że Noakowski kazał się raz zamknąć samotnie na jedną noc na Wawelu i że dopiero wtedy ponoć wyczuł ducha jego architektury. Ja, zamknięta w katedrze magdeburskiej, jako nieartystka wyczułam tylko nieprzejednany gniew świętych i urazę ich nieukojoną.

Po długim błędzeniu, trafiłam nareszcie do dzwonka. Wysłam, nakupiwszy widokówek rozmaitych u *Frau Wärterin*, która ma ich setki rozłożonych na stole, między kanapą a balją z pieluszkami. Przechodząc wzdłuż katedry, zatrzymałam się jeszcze przed stojącymi nazewnątrż portalu *Dziesięciu Pannami Głupimi i Mądrymi*. Musiał się uśmiechnąć do nich Komendant pod wąsem, bowiem stoją takie zabawne, zaaferowane, powiewne, jednako głupie wszystkie, w swoich powłóczystych szatkach dziewiczych, po których spłynęło więcej stuleci, niżli panienkom wyznać przystoi. Pięć z nich chlipie żałośnie, a pięć uśmiecha się jak anioły.

XX. CI, CO SZLI Z MOTYKĄ
NA SŁOŃCE I PRZECIW
WIATRU DMUCHALI

WSTĄPIŁAM JESZCZE DO *LIEB-frauenkirche*, do jej przecudnej Drogi Krzyżowej i zadziwiło mnie, że w tem archaicznem otoczeniu, omszonym wiekami, tak zazdrośnemi o swe prawa, nie razi nic a nie młodzieńcza głowa, ustawiona na gładkim cokole, na pamiątkę niedawno poległych młodzianków. Przypomina ta głowa swoim twar-dym, zadumanym profilem Wernera Hinza, grającego w filmie „*Der alte und der junge König*“ rolę następcy tronu. Widocznie ten fi-zyczny typ męski jest aktualny w hitlerow-skich Niemczech i wyraża to, co w ich sercu wzięło ton najgórniejszy.

O ile bardziej wzrusza ta spokojna, zasłu-chana w jakieś serafickie zewy, głowa chłopię-ca od naszego PEOWIAKA w Warszawie, le-żącego w skłębieniu atletycznych mięśni przed miejscem mordu, jakiego dokonała ręka nastawionego obłąkańca na prezydencie Na-rutowiczu! Nigdy nie pojmem, co ma za zwią-zek ta masa cielska z uduchowionym, tak bar-dzo młodym, tak bardzo uskrzydłonym, tak bardzo naogół wątłym fizycznie naszym peo-wiakiem...



Pomnik na cześć
młodzieży poległej
w w. wojnie (usta-
wiony na Krzyżo-
wej Drodze w Lieb-
frauenkirche w Ma-
gdeburgu).

Kiedy o nich myślę, odwracając oczy od wittigowskiej, mistrzowskiej skądinąd, rzeźby, nie mającej nic z tamtymi wspólnego, przypominam sobie scenę, którą tak barwnie

opisał pułkownik Kostek-Biernacki w „MOTYCE, SŁOŃCU I SEMAFORACH”.

W roku 1920, Naczelnik Państwa Marszałek Piłsudski gościł w Lublinie, w murach katolickiego tamtejszego uniwersytetu.

Ksiądz rektor, otoczony niezbyt liczną grupą profesorów, przeważnie w sutannach, i słuchaczy tej uczelni, rozpoczął przemowę wstępem, który byłby impertynencją, gdyby mówca zdawał sobie sprawę, do kogo mówi. Ale — być może wielki uczony, tylko bardzo „u b o g i d u c h e m” — wychowawca młodzieży zupełnie zdezorientował się i osądził, że mówi do podobnego sobie człowieka. Ów zabawny wstęp, wysoce pompatyczny, był następujący:

„Panie Naczelniku Państwa! Gdyby przed 10 laty ktoś nam powiedział, że w Lublinie, w polskiej wyższej uczelni, będziemy mieli zaszczyt witąć uroczyście Naczelnika Niepodległego Państwa Polskiego i Naczelnego Wodza Wojsk Polskich — ogłosilibyśmy go za warjata, nałożyli kaftan bezpieczeństwa i zamknęli w domu obłąkanych...”

Wszyscy spojrzeli na Komendanta w tej chwili. Cóż to za wierutne głupstwo palnęła eminenca rektor! Wszak takim „warjatem” był właśnie Komendant, ów „nieśmiertelny brygadjer nadziei”, rojący nie od dziesięciu, lecz od trzydziestu lat

plany czynnej walki o Niepodległość i to z całą pewnością przyszłego zwycięstwa... (Z taką pewnością, że kiedy raz, nad Stochodem, zapytano Go: Komendancie, a co będzie, jeśli wrócą czasy niewoli i nasze wysiłki nie osiągną celu? — to Komendant wyjaśnił prosto i krótko:

— Będziemy znów robili Związek Walki Czynnej, od początku...)

Więc Komendant prawie niedostrzegalnie uśmiechnął się (na słowa eminencji). Już wiedziałem, że odpowiedź będzie mocna. Po dłuższej tyradzie rektora, który wspomniał, raz jeszcze bez taktu, o szczególnem uprzywilejowaniu uniwersytetu w Wilnie, a zapomnieniu o Lublinie, zabrał głos Komendant:

— Wasza eminencjo! — rzekł. — Kiedy byłem małym chłopcem, a potem młodym człowiekiem, wpajano we mnie trzy następujące zasady: z motyką na słońce nie leż, przeciw wiatru nie dmuchaj, głową o mur nie bij! Ja zaś proszę waszą eminencję, żeby wpajała młodzieży, którą wychowuje, inne maksymy: „z motyką na słońce leż, przeciw wiatru dmuchaj, głową o mur bij!...“

Owe credo wyznawały te szaleńcze głowy młodzieńcze, które w P.O.W. pokotem legły, samotnie, w lochach i pod skrwawioną ścianą, a które tak fatalnie wyraża pokonana, nienatchniona głowa wittigowskiego peowiaka, wsadzona w nadmiar byczego karku... Myślę,

że każdy Polak, który się zabłąka pod arkady Drogi Krzyżowej *Liebfrauenkirche* w Magdeburgu i który spojrzy na pomnik poległych młodzianków niemieckich, nie omieszka westchnąć i wspomnieć żałośnie pomnika naszych poległych peowiaków w Warszawie...

Idąc dalej, dziwię się bani, omotanej w białe płótno, stojącej przed teatrem miejskim: to *Winterhilfe* pracuje, w prowizorycznym, szkaradnym pawilonie. Ze 100 malców bije z całych sił w bębny, zwołując ofiarodawców. Za mną goni ten łoskot i inny — dalszy — z fabryk Kruppa dochodzący. Patrząc na wystawy sklepowe, zachwycam się prześlicznymi miejscowymi wyrobami koszykarskimi, bawią mnie spencerki z brudnożółtego weluru, które tu noszą prawie wszyscy, chłopcy i dziewczęta (podobny typ fraczka ujrzałam dopiero w Gdańsku) — ale zaczyna mi bić serce szybciej, bo oto wjeżdżam już na most, na Strombrücke.

Jestem na terenie dawnej cytadeli.

XXI. CYTADELA W UŚCISKU L E G E N D Y

JEST TYLKO TEREN PAMIĘTNY, BO cytadeli już nie ma. Pełno jedynie malutkich robotniczych domków prowizorycznych,

ze śmiesznymi, pretensjonalnymi firaneczkami i na pstre kolory pomalowanymi bramami i furtkami. Pośrodku stoją dwa murowane budynki piętrowe, jeden biały, drugi z ciemnej cegły. Pytam starszego dozorcę robót, który tu pracuje przy rozbiórze od początku, czy nie wie, który z tych dwóch budynków mieścił w sobie *Sommeroffieziarsarreststube*? Otóż żaden z nich, stwierdza kategorycznie. Oficerskie cele dawno rozebrane.

Dziwię się, bo właśnie jeden z tych budynków istniejących (ów biały) był reprodukowany we wspomnieniach gen. Sosnkowskiego, jako pawilon Marszałka, ale nie on jeden już! Po powrocie bowiem moim z Niemiec, zgłosił się do mnie p. Ignacy Wąsowicz, legjonista, kwestjonując i moją informację, iż budynku historycznego już nie ma, i zdjęcie zamieszczone we wspomnieniach Generała. Pokazuje mi przytem jeszcze jedną fotografię, zdejmowaną ponoć w tym samym okresie, kiedy ja w Magdeburgu przebywałam, zupełnie niezgodną ani z fotografią ze wspomnień gen. Sosnkowskiego, ani z tą, dostarczoną mi przez van Gülpena.

— Kto wskazywał panu — zapytuje — ten budynek, jako miejsce więzienia Marszałka?

— Ilja Nomberg, żyd, fabrykant, mieszkający od lat w Magdeburgu, na Helmholzstrasse 5. Bo interpelowane *Polizeipraesidium*

miejscowe odpowiedziało dość ewazywnie i niekonkretnie.

Nie uważam, aby źródło tych informacji było zbyt pewne i miarodajne, ale w każdym razie notuję wersję z obowiązku dziennikarskiego. Tak samo notuję reportaż p. Jana Witkowskiego, zamieszczony w Światowidzie, w 3 tygodnie po moim. Cieszy mnie, że podzielał mój przykład i że coraz więcej ludzi w Polsce zaczyna się sprawą więzień niemieckich Marszałka Piłsudskiego interesować. Przejdzie ona z rąk naszych do historyków, jak pobudka. P. Jan Witkowski utrzymuje również, że pawilon Komendanta stoi do dzisiaj, że w jego celach mieszka teraz p. Kurt Weisshaupt etc. Powołuje się też na zeznania p. Altmanna, kelnera z Magdeburger-Hof, który posyłał obiady oficerom na cytadelę. Co do coraz to nowszych wersji, mimo wszystko, uważam szczegóły, podane mi przez mjr. van Gülpena, za najbardziej wiarygodne. Dziś bowiem zaczyna się już tworzyć l e g e n d a i turystycznie nastawione Niemcy nie mają nic przeciwko temu, aby się rozpoczął polski ruch pielgrzymi w kierunku Szpandawy, Wesel, Magdeburga i t. d. Nic dziwnego więc, że zaczną pokazywać coraz więcej tych pamiątek, budynków i cel, związanych istotnie czy fikcyjnie z osobą „Więźnia Magdeburgskiego“. A prawda historyczna leży czasem bardzo daleko od tury-

stycznych, świadomych i bezświadomych haczyków na głodne ryby.

Kiedy oglądałam tereny fortecy, wskazali mi robotnicy miejsce, gdzie stały pawilony i ogródek, po którym spacerowali więzieni oficerowie. Odruchowo się nachyliłam i podniosłam kawałek cegły z rozebranego budynku. Wogóle, z każdego miejsca tych ciernistych etapów Komendanta brałam takie pamiątki dla Wandy i Jagody, co później, przy granicznej rewizji, napełniało niemąłą podejrzliwość pp. urzędników celnych. Albo warjotka, myśleli, albo w tem coś jest...

XXII. DROGA POWROTNA

ROZGLĄDAM SIĘ DOKOŁA. JAK ŻYŁ tu Komendant, jakie były Jego samotne dni i noce? Wiemy, że w Magdeburgu znacznie się poprawiły stosunki więzienne, które w Szpandawie i Wesel były okropne. Zczasem nawet, gdy coraz gorzej Niemcom się na froncie działo, stały się zupełnie znośne. W jednym z listów do rodziny, opisywał Komendant dokładny rozkład dnia więziennego, monotonnego nad miarę, dla takiej zwłaszcza czynnej natury, jak Jego:

„...Wstaję rano o 7.30, o 8-ej jem śniadanie, o 9-ej wychodzę do ogrodu na spacer. Nie

jestem skrępowany jakimikolwiek godzinami i sam sobie określłam czas „świeżego powietrza“. Zwykle spaceruję dwie — dwie i pół godziny. Więc po jedenastej jestem w celi zpowrotem i czytam do obiadu, gazetę i książki. Tych ostatnich mam wybór bardzo mały. O 12.30 obiad, względnie bardzo obfity, obfity, niż miałem w Warszawie. Po obiedzie, następuje najprzyjemniejsza chwila: piję własną herbatę, przez siebie zaparzoną — w pokoju jest najcieplejsza chwila (był to grudzień i cella ogrzewała się tylko na krótko, poczem wracało przejmujące zimno), więc zapadam w rozmarzenie. Przy papierosie i dobrej herbacie, myśli się snują i pędzą daleko i szeroko. Wobec tego, że stan taki na długo jest niezdrowym, przechodzę do najpoważniejszej części dnia: do studjów szachowych, co mnie zajmuje. Dobrych parę godzin zaś, szarą godziną chodzę po pokoju, a gdy zabłyśnie elektryczność, kończę swoje szachy, czytam, albo piszę — tak przychodzi pół do siódmej i kolacja, też niezła. Po kolacji, dla zaoszczędzenia oczu, nie pracuję, tylko kładę niezliczoną ilość pasjansów, na przeróżne intencje. To szlachetne zajęcie przerywam często spacerem po pokoju, a o dziesiątej wieczorem kładę się spać. Zасыpiam łatwo i tak kończę swoją pracowitą dobę...”

Z zakratowanych okien mógł mieć Komen-

dant widok na Elbę i na daleką, wyniosłą katedrę, jeśli kilometrowe palisady na to pozwalały.

Przez ów właśnie most na Elbie (*Strombrücke*) przejechał samochód rankiem 8. 11. 1918 r., aby zabrać Komendanta i gen. Sosnowskiego i pędzony czerwonymi sztandarami rewolty — mknął głównym traktem, a potem bocznymi drogami kluczył do Berlina. Zanim opuścił Magdeburg, miejsce niewoli, musnął jeszcze Komendant skrzydłem swego samochodu ulicę Krakowską (*Krakauerstrasse*) i przez Friedrichstadt, Hevrotsberg, Gerwisch, Moser, Burg, Reesen, Hohenseeden, zajechał do Genthin, gdzie się zatrzymali, jak opowiadał van Gülpen, w mleczarni.

Jadę tą trasą w wznowionej gorączce, ledwo się „trzymając“. Deszcz leje rozpaczliwy i zaciemnia horyzont, co przeszkadza mi mocno w śledzeniu szosy z okien wagonu. Już w Gerwisch dostrzegam ją, między fabrykami konserw — w Möser mijamy ją i wysokim wąwozem wjeżdżamy do Burg. Tu, w samym Burg, starym grodzie jezuickim, znowu mnie dziwi śpiczastość wież kościelnych, które jakby Panu Bogu oczy wydziobać zamierzały, i znowu cmentarz przy dworcu gniewa. Tu właśnie miał miejsce incydent, o którym pisał van Gülpen — tu wpadli w środek rzekomo zatarasowanego zrewoltowanymi tłumami rynku,

na którym ganiał tymczasem jeden tylko, samotny, biały foxterrierek. Przez Jakobstrasse pojechali do Reesen i zastopowali w Genthin.

Wysiadam i ja. Deszcz ciągle leje jak z cebra — gorączka wciąż mną trzęsie — bućki pełne wody. Szukam sławetnej mleczarni parowej, w której siedzieli godzinę przy mleku i chlebie, Komendant i Jego polsko-pruska świta. Mieści się tuż opodal dworca. Przez *Poststrasse*, coraz bardziej na lewo skręcając, wchodzę na *Kaiserplatz* i widzę duże, nieforemne pudło ceglane, brzydkie jak noc. Na bramie widnieje ogromny plakat, drukowany gotykiem: *TRAU NICHT DEM JUDE!!!* (nie dowierzaj Żydowi!!), pod którym, o ironjo! stoi z konwią mleka chłopak czarny, kędzierzawy, z odstającymi uszami i nosem jak haczyk od pieca. (Gdzie *Ahnenpass*?! gdzie *Ahnenpass*, który aż się prosi w obecności takiego napisu i takiej twarzy!!!?). Po mokrych schodach żelaznych wchodzę do wnętrza budynku. Pachnie tu nieprzyjemnie serwatką, na zalanej także wodą podłodze ceglanej stoją rzędem konwie. Niema tu *Gasthausu* i nie chcą mi dać wypić szklanki mleka. Widzę tylko na prawo przez drzwi otwartą stancję, pośrodku której stół, nakryty sfatygowanym obrusem w dużą kratę. Napewno ten sam stół i nawet może ten sam obrus... (Teraz w Berlinie pol-

ska ambasada stoi jednym skrzydłem zwrócona ku *Genthinstrasse*...).

Wsiadam zpowrotem do pociągu, co pół godziny bowiem przelatują one przez Genthin. Ledwo minęłam stację, widzę masę drzew w lesie, powyrywanych z korzeniami lub obłamanych do połowy. Czyżby ślad jakiejś „rewolucji” atmosferycznej? Tem zabawniejsze wyglądają wśród tych potrzaskanych olbrzymów, cztery patyczki nóżek małej sarenki, która stoi, zamarła z przerażenia. Że też one się huraganowi oparły!!!!

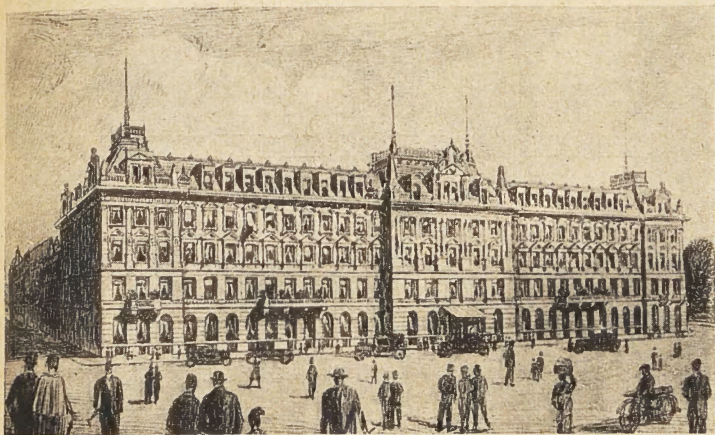
W Grosswüsterwitz wdzięczy się na peronie przepyszna dziewczyna i woła do swego *Schatza*, wsiadającego do naszego pociągu: *heil Hitler!!* Myślę sobie: można i tak. U nas się to inaczej robi... Koło Kirchmöser wylania się znowu szosa Komendanta — mnóstwo *Seepawilonów* na jeziorze i, rzecz zdumiewająca: sztuczne bocianie gniazdo na jednym dachu. Może jako lekarstwo na depopulację Niemiec, wrócił Führer honory bocianom, doniedawna tępionym tu bezmiłosiernie?! Zmniejszyła się ilość bocianów, zmniejszyła się ilość dzieci — i nie wierz tu legendom!!!!

Brandenburg. Jakieś cudowne rozlewne wody, domki, ogrody i świerkowe lasy, gołe, bez podszycia. Lecz rewolucja zaczęła tu doganiać samochód Komendanta — gorzej!! Zaczęła mu zabiegać drogę. W Brandenburgu

ostrzegają, że w Poczdamie rewolucja wre, wobec tego skręca van Gülpen gwałtownie przez Plauenstrasse, Grillendamm i — znowu Krakauerstrasse do *Kleiner Kreuz*, aby Poczdam ominąć. Może się obejrzał Komendant na pauliński klasztor, na dziwny, prostopadły, o zrosniętych dwóch wieżach bliźniaczych kościół św. Mikołaja, na dom kurfirstów brandenburskich zwłaszcza, gdzie Jadwiga Jagiellonka czasem rezydowała, i na aksamitne wody Plauskiego jeziora, które falują nie jak woda, lecz jak draperja, u stóp rozległego Schlossu?

Droga wiedzie teraz boczna na Vesperan, Roskow, Zachow, Ketzin, Falkenrehde, Priort, Rohrbeck, Staaken, Döberitz.

„...Piłsudski kaszlał i zasłaniał sobie usta starym kapeluszem filcowym przed prądem wiatru — pisze w swoim liście trzy dni później hr. Kessler. W pewnej chwili, trącił mnie i, wskazawszy na pola, mówił cicho do mego ucha, szanując swój głos: tak wygląda Jego ojczyzna, Jego kraj rodzinny, w którym wyrósł. Taka sama chuda gleba, takie same sosny i takie obszary leśne. Tylko więcej było wyniosłości i bardziej jeszcze jałowa była gleba w małej posiadłości Jego rodziny pod Wilnem. Jego szare, niebieskie, poniekąd tajemnicze, ale bardzo dobre oczy, swobodnie patrzyły na krajobraz. Lud Jego otrzymywał swego Wo-



dza. W tej pogodnej, a przez wojnę i rewolucję otoczonej, spokojnej okolicy — byliśmy jak bracia. Wyjechaliśmy jednak z tej idylli znowu w krąg rewolucji. Cała ludność, już na nogach, gapiąc się, tworzy szpaler przy wale kolejowym, za nią beczynna straż podoficerska, w komicznych starych mundurach i wylakowanych hełmach szturmowych (wzór 1813) ...*Lützows wilde, verwegene Jagd*... Jakiś oficer rezerwy, w czerwonej atyli, jako widzi, że rewolucja w postaci dwóch pociągów, wypełnionych pobrzedzi uzbrojonymi marynarzami...”

Samochód mija te flukty wzburzone i niepočetne i wpada na pokrzywionych kołach na Heerstrasse, na Reichstrasse. Właśnie do tego domu van Gülpena, który omawiałam poprzednio. Stamtąd zaś wieczorem odwożą więźniów do hotelu Continental.

XXIII. POKOJÓWKA I SZTANDARY
L I E B K N E C H T A

MIESZKAM W TYM HOTELU, OBECNIE napoły rządowym, przy ulicy Neustädtische-Kirchenstrasse. Znowu ten w niebardzo dobrym guście splendor, złocenia, kolory, aksamity, brzozy, musztardą oblane. Staram się dowiedzieć, czy ktoś coś pamięta z dni pobytu Komendanta. Bądź co bądź były to dni dla Berlina pamiętne, bowiem rewolucja wytoczyła właśnie swe purpurowe oblicze na ulice miasta, a tu, do milczącego pana, w skromnym, siwym mundurze, wpadali co chwila i wypadali pruscy dygnitarze: hr. Lerchenfeld, księżę Hatzfeld. Tu wszakże w hallu próbowali wydobyć od Komendanta deklarację, że niczego przeciw Niemcom nie przedsięwzięmie, kiedy odzyska wolność. Kusili Go, jak mogli, Ojczyznę, Warszawę, wolnością, rodziną, a Komendant uśmiechał się uprzejmie i mówił, że niczego podpisać nie może, ale, że Jego Ojczyzna ostatecznie każdy *Geschenk* od losów przyjmie, każdy dar...

Wspomina o tem *Frankfurter Zeitung* z dnia 7. 10. 1928 r., że „chciano zażądać od Piłsudskiego pisemnego oświadczenia, iż nie przedsięwzięmie przeciwko Niemcom, jednak pod naciskiem przewalających się wyda-



Fotografia Marszałka, zamieszczona w ostatnim październikowym nrze „Die Woche“ z 1918 r., z którym przyszedł do Niego żołnierz z warty w cytadeli magdeburskiej z okrzykiem: „Nie wiedziałem, że jest pan tak wielkim człowiekiem!“

rzeń, wysłano w nocy z 7 na 8 listopada 1918 r. pilny rozkaz do hr. Kesslera, ażeby uwolnił Piłsudskiego także bez owego pisemnego oświadczenia i przywiózł go najszybszą drogą

do Berlina...“ a Kessler w swoim liście z 12. 11. 1918 r. daje wyraz nieorjentowaniu się ówczesnych władz w położeniu, pisze bowiem:

„...Jasne było, że najwyższy czas, aby wywieźć Piłsudskiego z Berlina (urządzono już napad na koszary Maikäfer!). Poszedłem tedy z Hatzfeldem do Ministerstwa Wojny, by zażądać osobnego pociągu. Przyjął nas jakiś major Sztabu Generalnego, zachowujący się tak, jak w najpiękniejszych dniach wojny, roztargniony i ironiczny: Piłsudski nie przestawał być dla niego zawsze jeszcze zwyczajnym „h u l t a j e m...“

Ale Szwaby w hotelu nic nie pamiętają. W całym gmachu zresztą jest tylko dwoje ludzi z onych burzliwych czasów: *Hausdiener* Paweł Mai i *Frau Marie* od szatni, eks-pokojówka. Paul Mai, na moje zapytanie, skrobie się w głowę i odpowiada inteligentnie:

— *So viele Russen wohnten hier!!!!* jakże mogę sobie przypomnieć?!

Wstępuję do szatni, zdejmuję futro i przypatruję się uważnie *Frau Marie*. Czyżby to była ta, o której pisał gen. Sosnkowski:

„...Na kurytarzu hotelu, jakaś pokojówka, niebrzydka, fertyczna, płakała rzewnie, raczej z radości, niż z przestachu (na widok rewolucyjnych demonstracji ulicznych). W nagłym przystępie świetnego humoru, korzystając z rozpoczętej ery równości, braterstwa i swo-

bód obywatelskich, przyskoczyłem do płaczącej dziewczyny i — zanim zdążyła ochłonąć ze zdumienia, ucałowałem ją na pożegnanie w oba różowe policzki...”

Byłaż to o *Frau Marie* mowa, stojącej w tej chwili przede mną, zaiste małofertrycznej i wcale nie różowej?! Odpowiada mi z owczą bezmyślnością, że nic nie pamięta. Mam wielką ochotę powtórzyć jej słowa generała i dodać pytanie, czy to nie ją ucałował raz, kiedyś, piękny, smukły, obcy oficer, podczas gdy łopotały za oknami hotelu czerwone sztandary Liebknechta? Ale nie śmiem wsączać niepokoju w to otłuszczone serce solidnej, zacnej Niemki, która zapewne tylu od tego czasu obywateli przysporzyła państwu niemieckiemu, a obecnie tyle płaszczy pod rząd wiesza, pracowicie, na szaragach hotelu Continental. A poza tem, któżby się odważył w tym domu, dzisiaj, wymawiać imię Liebknechta?! Rezygnuję z podejsścia, choć jestem przekonana, że — wtedy — przypomnialaby sobie wszystko, bo ten pocałunek był bezwątpienia ważniejszym zdarzeniem w jej życiu, niż rewolucja, Liebknecht i strzelający na wiatr marynarze...

Księgi hotelu spaliły się wszystkie w czambuł 5 lat temu, podczas groźnego pożaru, więc i tu nie znajdę śladu. Dziwna rzecz zresztą, że którędy szedł po obczyźnie Marszałek, tam zacieriał swój ślad. Nie znalazł ich kpt. Lepecki

na Sybirze — w Magdeburgu i Wesel nie istnieją już cytadele, miejsca Jego pobytu, słynna z Jego pobytu w Berlinie restauracja Hillera (o której później) została rozebrana, a nawet w przygodnie wybranym hotelu musiały spłonąć wszystkie księgi, aby nie figurowało Jego nazwisko. Wszystką moc tegoż, wszystek czar swojej legendy, zachował dla własnego kraju...

Wedle van Gülpena, mieszkali w zarezerwowanych dla nich przez *Auswärtiges Amt* apartamentach, na I piętrze.

XXIV. UCZTA ZADŻUMIONYCH

RANO ZACHCIAŁO SIĘ POLSKIM PANOM obejrzyć Berlin, przynajmniej po czubkach, ale Komendant nie miał szabli, a nosił mundur, więc nie chciał bez broni wychodzić na ulicę. Szabla została w Warszawie, w przechowaniu i... w oczekiwaniu.

„...Wskutek tego — pisze hr. Kessler — zerwałem się zaraz rano, ażeby wystarać się o szpadę. Wyszedłem w mundurze, nie mogąc zabierać się do takiej sprawy w cywilu, i tak chodziłem po mieście. Doznawałem przytem przykrego wrażenia po tem wszystkim, co widziałem w Magdeburgu, takiego, jak podczas naszego wspólnego (z Piłsudskim) przeje-

ścia przez Pilicę w grudniu 1914 roku. W poszukiwaniu szpady, chodziłem po całym Berlinie w mundurze, aż do godz. 2-ej, nie napaśtowany przez nikogo. Jednak wszystkie składy z bronią były bezwzględnie pozamykane i to zmusiło mnie, czy też dało sposobność, której sam sobie życzyłem, podarować Piłsudskiemu jako pamiątkę mój własny bagnet...“

Gen. Sosnkowski dodaje od siebie w swoich pamiętnikach uwagę, *ex re* tej darowizny, że „*bagnet i w Legionach stanowił zwykłą broń boczną, noszoną w polu...*“

Wtedy dopiero wyszli: Komendant i gen. Sosnkowski, przez Friedrichstrasse, Leipzigerstrasse, koło Pariserplatz i Unter den Linden, eskortowani dyskretnie przez anioła stróża. Może szukał Komendant w obcym mieście śladów Swojej Matki, która będąc młodzieńką panną była tu operowana?...

O godz. 2-ej wrócili do hotelu, gdzie czekał hr. Kessler znowu, z zaproszeniem na śniadanie do Hillera. Mieli być na niem, oprócz naszych panów, van Gülpen i księżę Hatzfeld z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Szli znowu przez miasto, które nie wykazywało najmniejszego podrażnienia, spokojnie oddychając normalnym oddechem wielkiej stolicy. Bardzo blisko hotelu, na Unter den Linden (gdzie, nawiasem mówiąc, wycinają dziś cudowne lipy na korzyść, zdaje się, kolei

podziemnej)), znajduje się ta niewielka, lecz bardzo stara i renomowana restauracja Hillera. Jak wszystko w Berlinie, i ona jest przeładowana złoceniami i bronzami. Świeczniki dwuwieczne, napół z brązu, napół z saskiej porcelany, boazerje niemiłe i kłójące się z obiciem mebli — wszystko tonie w sosie ciemnomusztardowym, posępne i ciężkie.

Na zawadjackim umyśle van Gülpna uczta ta u Hillera nie wywarła żadnego wrażenia, nie wspomina o niej, ale u gen. Sosnkowskiego i u hr. Kesslera pozostawiła głęboki ślad. Piśze o niej ten ostatni w swoim liście:

„...W salach frontowych, okna były zasłonięte firankami, a wszystkie stoły zajęte. W głębi nic nie można było słyszeć, jednak kelnerzy informowali nas od czasu do czasu, że coraz większe tłumy posuwają się przez Friedrichstrasse. Następowały długie przerwy, podczas których żartobliwie wypytywano p. Stocka (kierownika restauracji), czy kuchnia pozostaje jeszcze w rękach rządu, czy już nie? Nastrój w tym cichym, zasłoniętym pokoju, przy starannie chłodzonym albo ogrzaniem winie i stosunkowo spokojnym obiedzie, w towarzystwie człowieka takiego jak Piłsudski, podczas gdy w mieście szalała rewolucja, był nadzwyczajny! Piłsudski był poważny i przygnębiony, gdyż obawiał się mo-



że, iż te okropne zdarzenia, które przechodzą Niemcy, również i w Polsce nastąpią...”

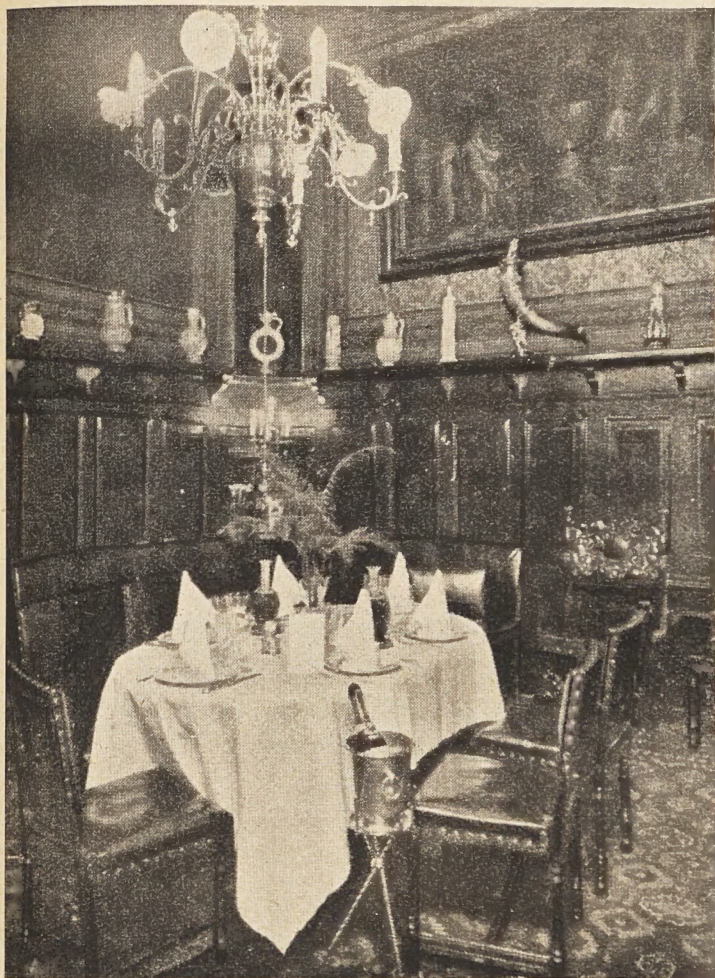
Jeszcze więcej miejsca poświęca tej dziwnej uczcie gen. Sosnkowski, nazywając ją UCZTĄ ZADŻUMIONYCH i traktując z olśniewającym talentem literackim i psychologicznym:

„...Śniadanie było zastawione w osobnej niewielkiej sali, położonej nie od ulicy, lecz w tylnej części lokalu. Szereg lokajów w nieskazitelnych frakach, stół zastawiony wspólnie, śnieżna biel obrusa, kwiaty, jarzące refleksy srebra i kryształów i bogate złoceńskie staroniemieckiego stylu — wszystko zalane potokiem elektrycznego światła, spływającego z zapalonych pajaków. Okna sali były ściśle zasłonięte żaluzjami od zewnątrz. Książę Hatzfeld, hr. Kessler, van Gülpen i ja po cy-

wilnemu — jedynie Komendant w swoim skromnym, nieco wyszarżałym mundurze, którego siwa plama dziwnie odbijała od całości obrazu.

Od samego początku zapanował przy biesiadnym stole nastrój niezręczny i wyraźnie fałszywy. Komendant był milczący i zamyślonny — ja, zły na cały ten niedorzeczny pomysł, postanowiłem jeszcze po drodze do Hillera, iż będę bardzo chłodny i pełen demonstratywnej rezerwy. Rozmowa rwała się co chwila, ustępując miejsca kłopotliwemu milczeniu. Nie pomagały najprzedniejsze i najwyszukańsze potrawy, które nie różniły się niczem, ani pod względem doboru, ani jakości, od przedwojennych smakołyków: dla zakładu Hillera wojna jakby nie istniała! Napróżno ks. Hatzfeld i hrabia Kessler silili się na uprzejmość — nadaremnie van Gülpen usiłował ratować sytuację dowcipami — milkły one głucho, bez echa, chybiając najzupełniej celu. Jakoś między drugą a trzecią potrawą, ktoś z administracji lokalu wszedł do sali i zbliżywszy się do ks. Hatzfelda, począł mu coś długo i z przejęciem szeptać do ucha. Widocznie szept zawierał wiele interesujących szczegółów, gdyż twarz słuchającego spoważniała w mgnieniu oka.

Ks. Hatzfeld wstał z krzesła i zwrócił się



Gabinet w restauracji Hillera w Berlinie, w którym się odbyła słynna „uczta zadumionych“.

do nas z lekkim, ledwie wyczuwalnym drżeniem w głosie:

— Panowie wybaczą, iż muszę ich na chwilę opuścić. Z urzędu kanclerza Rzeszy wzywają mnie do telefonu.

Gdy po kilkunastu minutach wrócił, spojrzałem mu uważnie w twarz: wydało mi się, iż kąciaki jego ust drgają nerwowo. Kessler nie spuszczał z niego pytającego wzroku. Hatzfeld w odpowiedzi skinął zlekka głową. Zrozumiałem, że tam na mieście, poza szczelnymi żaluzjami, dzieje się coś niedobrego. Nie mogłem sobie odmówić małej satysfakcji, czy zemsty i, ożywiwszy się znienacka, począłem rozwijać swoje towarzyskie talenty, inaugurując *une causerie brillante*, w najwytworniejszej niemiecczynie, na jaką mnie stać było. Oczywiście, z kolei nasi gospodarze dziwnie zeszytnieli i wszelkie moje wysiłki nie zdołały z nich wydobyć nic więcej, ponad krótkie, machinalne, z widocznym wysiłkiem udzielane odpowiedzi. Atmosfera stawała się z minuty na minutę coraz duszniejszą i bardziej nerwową. Funkcjonarjusz lokalu zjawił się powtórnie na sali:

— *Durchlaucht werden zum Telephon gebeten...*

Oczekując powrotu Hatzfelda, milczeliśmy wszyscy — teraz już szczerze, bez żenady, nie zadając sobie żadnego przymusu. Nieobecność jego tym razem trwała dość długo. Zacząłem się już w duchu niecierpliwić, przeczuwając, że zbliża się decydująca chwila. Nareszcie ks. Hatzfeld ukazał się we drzwiach. Za chwilę wiedzieliśmy już wszystko. W Berlinie rewo-

lucja. Z rozkazu kanclerza Rzeszy, mamy niezwłocznie wyjechać do Warszawy...

Opuszczaliśmy salę w pośpiechu, pozostawiając za sobą stójny stół biesiadny, pełne talerze, nietknięte kielichy i szereg kelnerów, wystraszonych i zastygłych w bezruchu, z półmiskami w ręku... Tak skończyła się ta prawdziwa uczta zadżumionych..."

Kiedy wchodzili do tego gabinetu, Berlin był, jak się rzekło, spokojny i cichy, a kiedy wychodzili w niespełna 2 godziny, ulica berlińska zmieniła się do niepoznania. Nad zamkiem cesarskim powiewał czerwony sztandar, zawieszony właśnie przez Karola Liebknechta, wodza spartakowców, który w rok niespełna zginął wraz z Różą Luksemburg, zamordowany przez rozwścieżony tłum. („...*von Angehörigen der Gardekavallerie-Schützen-Division erschossen am 15 Jänner 1919*“, jak pisze, niewiadomo dlaczego przekształcając prawdę, Hans von Kessel w swojej niedawno w Berlinie wydanej książce: „*Handgranaten und rote Fahnen, Ein Tatsachenbericht aus dem Kampf gegen das rote Berlin 1918—1920...*“). Na te dwa nazwiska zioną nienawiścią Niemcy dzisiejsze — co prawda i nam niezbyt miłe jest nazwisko Róży Luksemburg, która, wyswabdzając rzekomo ludy, pragnęła „organicznego wcielenia Polski do Rosji“, tak, aby raz na zawsze uniemożliwione

zostało wskrzeszenie nasze (*Die industrielle Entwicklung Polens*, 1898).

Teraz kiedy szli: Komendant i gen. Sosnkowski, do hotelu zpowrotem, ryczał Karol Liebknecht tłumom upajające rzeczy:

— Dzień rewolucji nastał! Stary nie istnieje! Proklamujemy nowy, wolny, socjalistyczny rząd robotniczy i żołnierski i pozdrawiamy naszych sowieckich braci Rosjan!!!! — Przez miasto dudniały i przewalały się rozwrzeszczane szeregi — marynarze strzelali na wiwat na samochodach ciężarowych, a z poza Moabitu, z fabryk broni, zewsząd, walili demonstranci, machając czerwonymi płachtami i urągając staremu światu. Na rogu zaś ulic, wśród nieopisanego podniecenia, sprzedawano znowuż białe płachty z napisem:

— ABDYKACJA CESARZA WILHELMA!!!!

Kraj już był w ogniu. Tych parę chwil, spędzonych w zacisznej restauracji, zdecydowało o losach Komendanta. Nie myśleli już Niemcy o zniewalaniu Go do politycznych deklaracji, chcieli Go jak najprędzej wytransportować z oszalałego Vaterlandu, „łudząc się nadzieją — jak wnioskuje gen. Sosnkowski — że w ten czy inny sposób uda się im jeszcze cośkolwiek uratować z ówczesnego stanu posiadania w zakresie sprawy polskiej“...

Tyle się nacytawszy o ważności spraw

i decyzji, które się rozegrały na terenie hillerowskiej restauracji, zrozumiałe jest, że do niej podążyłam. Po owej sławetnej „uczcie zadżumionych“, skupiało się tu długo wszystko, co było w Niemczech praworządne i antirewolucyjne. Stary, siwy kelner prowadzi mnie do „*Altdeutsches Zimmer*“ (staroniemieckiego gabinetu), gdzie się ta uczta odbyła. Jest ów gabinet niewielki, brzydki, pośrodku krągły stół, w głębi jakiś bohomas holenderski, wiszący na ścianie — i wszystkie okna zasłonięte. Może to na pamiątkę tamtego dnia żaluzji nigdy się już nie podnosi i pali dniem i nocą światło? Jest w każdym razie zaciszny ten pokój schowany głęboko na końcu wąskiego kurytarza.

Próbuje wypytać kelnera, ale odpowiada, jak każdy tutaj w Berlinie, że za dużo bywało *Russen* w zakładzie, aby mógł pamiętać — dalej, że ten sam p. Stock pełni do dziś swoje funkcje i że kiedyś, przed 30-tu laty, w tym staroniemieckim gabinecie, który oglądam, jadł obiad „*ein polnischer Musiker... aber wie heisst er denn?!...*“ Podpowiadam mu, że zapewne Paderewski.

— *Ach ja! richtig! Paderewski!* — cieszy się kelner niezmiernie, podając mi porcję *Hammelkottletów*, których nie znoszę, i *Parfaits* maraskinowe, którego też nie znoszę. Zjadam je jednak, zamyślona, przez nieuwagę,

i, słono zapłaciwszy, wychodzę. Jestem tak przejęta wspomnieniami, że mimowolnie nad słuchuję, czy nie pękają granaty ręczne, czy nie walą samochody z marynarzami i czy nie powiewają na wszystkich drzewach i masztach czerwone sztandary. Na szczęście, nie. Zaraz obok, na rozkopanej ulicy Unter den Linden, na każdej drezynie, wiozącej piasek czy szuter, powiewa triumfująco swastyka.

*Lieb Vaterland, mags ruig sein...*¹

XXV. SKRZYDŁO HISTORJI

ZARAZ PO UCZCIE HILLEROWSKIEJ, z Friedrichsbanhof, znajdującego się o krok od hotelu Continental, wyjechał Komendant do Warszawy w eskorcie pp. van Gülpena i hr. Kesslera. U bram Warszawy musiał się jeszcze odbyć akt o historycznym posmaku — zjawisko towarzyszące zawsze i wszędzie Piłsudskiemu.

Oto, kiedy mknęli pociągiem ku Ojczyźnie, ziemia niemiecka, zrewoltowana, przycichała i miny pruskich oficerów rozjaśniały się powoli, aż nagle dopadła ich znowu rewolucja w Toruniu. Na dworcu urzędowała już Rada

¹ W parę tygodni po moim wyjeździe z Berlina, restauracja Hillera została zburzona. Przestała istnieć, o czym mi doniósł inż. Roland, szef naszej linii lotniczej Berlin—Warszawa, dnia 2. 5. 1935.

Żołnierska i Robotnicza. Pociąg zatrzymano. W stosunku do byłego więźnia twierdzy magdeburskiej, nowe władze zachowały się z demonstracyjną kurtuazją, ale na van Gülpna i hr. Kesslera zaczęły krzywym i łakomym okiem patrzeć. I — odrazu odmieniły się role, wedle logicznego już sensu. Teraz Marszałek Piłsudski objął opiekę nad obu Niemcami. Któż, jak nie On, gospodarz tej ziemi, jadący, aby podpisać mieczem i piórem akty odwiecznej własności, wyrąbywanej drżącymi z niecierpliwości rękami Jego żołnierzy?!

Tak to u wjazdu do Warszawy, do oswabdzającego się kraju, raz jeszcze objęło Józefa Piłsudskiego skrzydło Historji, zwiewne i potężne zarazem, jak sama Prawda.

Gdańsk 26. 2. 1935.

Szpandawa 20. 2. 1935.

Wesel 24. 2. 1935.

Magdeburg 22. 2. 1935.

DOPEŁNIACZE I PRZYCZYNKI

OBIETNICA, DANA W MAGDEBURGU przez majora van Gülpena Komendantowi, że Jego rzeczy będą z fortecy odesłane do Polski, była dość ryzykowna i, mimo najlepszej woli obiecującego, mogła pozostać niedotrzymana. Oto bowiem, jaki raport składa w trzy dni po wyjeździe Komendanta z Magdeburga podoficer Fritsche:

„Komenda Garnizonu.

Magdeburg, 11 listopada 1918.

Podoficer mający nadzór nad mieszkaniami więźniów fortecznych, vicefeldfelbel Fritsche, zeznaje do protokołu, co następuje:

— W piątek dnia 8. 11. 1918, gdy brygadier Legjonów Piłsudski i pułkownik Legjonów Sosnkowski zostali wypuszczeni z więzienia, przyszła gromada żołnierzy i osób cywilnych do budynku więziennego i wdarła się do wnętrza tak, iż temu przeszkodzić nie mogłem. Chociaż oświadczałem im najwyraźniej, że w budynku tym nikt już nie jest więziony i że znajdują się tam tylko rzeczy polskich oficerów — żołnierze otworzyli sobie izby. Z celi zamieszkiwanej przez płk. Sosnkowskiego porwano i zabrano szereg przedmiotów, za-uważylem, że zabrano ubrania cywilne. Nie

mogę wymienić osobno wszystkich rzeczy, jakie zostały zabrane. Także zrabowano 2 skrzynki i 1 paczkę, przeznaczone dla płk. Sosnkowskiego.

Fritsche
Vicefeldfebel

(podpis nieczytelny)
kapitan rezerwy

Dopisek:

Dzień 8. 11. 1918 był dniem wybuchu rewolucji.

(podpis nieczytelny)
pułkownik.“

Zaczęła się teraz korespondencja między p. Karolem Rose, konsulem generalnym Rzeczypospolitej Polskiej (Berlin, Bellevue 11-a), a Królewskim Poselstwem Duńskim w Berlinie, tego ostatniego z Komendą Garnizonu w Magdeburgu, z Ministerstwem Wojny w Berlinie etc.

Allegat B. zawiera kopertę:

„Królewskie Poselstwo Duńskie Berlin do Generalnego Konsulatu Rzeczypospolitej Polskiej.

Berlin, Potsdamerstrasse 12.“

A w tej kopercie:

- 1) Protokół powyższy vicefeld. Fritsche.
- 2) Pismo Komendy Garnizonu w Magdeburgu z dn. 9. 3. 1919, tyżące się byłych ofice-

Garnisonkommando.

Magdeburg, den 11 November 1918.

Der Aufsichtsunteroffizier der Festungstrübengefangenenanstalt, Vizefeldwebel *P r i t z s c h e*, gibt folgendes zu Protokoll:

Am Freitag, den 8.11.18, nachdem der Legionsbrigadier von Piłsudski und der Legionsoberst von Sosnkowski aus der Anstalt entlassen worden waren, kam eine Anzahl Soldaten und Zivilpersonen nach dem Anstaltsgebäude und drang in dasselbe ein, ohne dass ich dies verhindern konnte. Obwohl ich auf das Bestimmteste erklärte, dass niemand mehr in der Anstalt festgehalten würde, und dass nur Eigentum von den polnischen Offizieren sich noch hier befände, sind von den Soldaten die Stuben geöffnet worden. Aus der von den Oberst von Sosnkowski benutzten Stube sind eine Reihe von Gegenständen von den Soldaten gewaltsam herausgerissen und mitgenommen worden, bemerkt habe ich, dass Zivilkleider genommen worden sind. Alle einzelnen Sachen, die genommen worden, kann ich im einzelnen nicht angeben. Auch für den Oberst von Sosnkowski bestimmte Kisten und 1 Paket wurden ausgeplündert.

V. E. W.

F. H. H. H.
Offen

E. W. O.

K. H. H. H.
Hauptmann d. Res.

Der 8. 11. 18 vom Leg. von Magdeburg der Revolutionäre

H. H. H. H.
Offen

Report o rzeczach
Marszałka Piłsud-
skiego pozostawio-
nych w Magde-
burgu. U dołu cha-
rakterystyczna
wzmianka o wy-
buchu rewolucji.

rów legionowych: Piłsudskiego i Sosnkow-
skiego, zapytujące Generalną Komendę IV A.

K., co ma zrobić z rzeczami i pieniędzmi wyż wymienionych oficerów, które pozostały w Komendzie Garnizonu i z braku adresu nie mogły być odesłane. Komenda Garnizonu prosi o rozstrzygnięcie, co ma się stać z temi rzeczami, względnie do kogo mają być odesłane.

3) Spis rzeczy należących do brygadiera Piłsudskiego.

4) Spis rzeczy należących do płk. Sosnkowskiego.

5) Rachunek conta brygadiera Piłsudskiego.

6) Rachunek conta płk. Sosnkowskiego.

7) Kartka bez daty p. t. *Noch zu erledigen!*

8) Przypomnienie: *Absendung der Kisten u. Koffer an Piłsudski u. Sosnkowski!*

9) Pismo Komendy Garnizonu Magdeburg do Ministerstwa Wojny w Berlinie z dnia 15. 2. 1919 r., przypominające sprawę pozostawionych rzeczy. Podpisana już Rada Żołnierska.

10) Odpowiedź Ministerstwa Wojny w Berlinie 27. 2. 1919, aby rzeczy odesłać Poselstwu Duńskiemu i dbać o to, aby doszły nieuszkodzone.

11) Pismo Komendy Garnizonu w Magdeburgu z dnia 8. 3. 1919 do Poselstwa Duńskiego w Berlinie, dołączone do odesłanych rzeczy.

12) 10. 3. 1919 dodatkowa przesyłka pieniędzy, pozostałych po więźniach.

13) Spis następujących przedmiotów, należących do brygadiera Legjonów Polskich Piłsudskiego, które pozostały w Magdeburgu, po jego odjeździe dnia 8. 11. 1918 (allegat 3):

1) płaszcz, podbity futrem, 2) 2 surduty, 3) 1 spodnie, 4) kuferek ręczny, 5) pantofle, 6) buty, 7) 9 czystych sztuk bielizny, 8) koszula nocna, 9) 5 par pończoch, 10) 3 pary mankietów, 11) 1 trykot, 12) pudełko papieru listowego, 13) 7 książek, 14) pudełko z półtora paczką herbaty i 2 łyżeczkami srebrnymi, 15) szachy, 16) teczka na listy, 17) koperta z papierami, 18) 2 talje kart, 19) łyżka, nóż, widelec, 20) lekarstwa, 21) 1 filiżanka z dwoma spodkami, 22) 6 par pończoch, 23) 8 koszul, 24) 7 chustek do nosa, 25) 2 duże koce.

Najważniejsze było, że wśród tych rzeczy, o czym suchy spis nie wspomina, był manuskrypt „MOICH PIERWSZYCH BOJÓW“ Komendanta. I ten jednak odnalazł się i mimo bałaganu rewolucyjnego w Niemczech, wrócił do rąk Autora, nie prędeż jednak, zdaje się, jak w roku 1924. Bardzo ciekawe są rachunki za pobyt i utrzymanie Komendanta w więzieniu fortecznym w Magdeburgu i wielce byłoby wskazane, aby nasze władze wystarały się jeszcze w Niemczech o rachunki ze Szpandawy i z Wesel.

Przedewszystkiem, dzięki tym rachunkom ustali się dokładnie daty przyjazdu i odjazdu

Komendanta z danych miejscowości. I tak na przykład, wedle gen. Sosnkowskiego, pobyt w więzieniu w Wesel trwał „z gó r ą m i e s i ą c“, więc w przybliżeniu obliczyć było można, że Komendant przybył do Magdeburga koło 8—9 września, bo wyraźnie stwierdza generał, iż „p o d r ó ż p o w i ę z i e n i a c h o d b y w a l i ś m y w e d l e j e d n e j m a r s z r u t y, w t y m s a m y m c z a s i e i w a n a l o g i c z n y c h w a r u n k a c h“, a więc, że daty jego wyjazdów i przyjazdów są datami Komendanta. Tymczasem, na podstawie rachunków za utrzymanie „brygadjera Legjonów v. Pilsudskiego“ w twierdzy magdeburskiej, których mi łaskawie użyczył p. Kazimierz Świtalski, marszałek Sejmu¹ — Komendant przebywał w Magdeburgu od 23 sierpnia już (1917), a więc równo 442 dni, i nie był dłużej w Wesel, niż dni 18, bo, jak twierdzi gen. Sosnkowski, przebywali w Szpandawie tydzień, a z Gdańska wyruszyli „6-go dnia“ t. zn. 29 lipca 1917.

Bardzo ważne byłoby zrewidować i ustalić daty na podstawie rachunków więziennych, których na pewno skrupulatni Niemcy nie zagubili.

Komendant, przebywając w fortecy magdeburskiej, żywił się w restauracji hotelu *Magde-*

¹ Wszystkie wspomniane tu dokumenty otrzymałam w oryginałach, a częściowo w odpisach, z tego samego źródła.

burger-Hof na Alte Ulrichstrasse 4 — we wrześniu 1918 roku przenosi się, niewiadomo dlaczego, do *Bierrestaurant Patzenhofer*, na Bärstrasse 1, i już tu stołuje się do końca. Może dla taniości, gdyż rachunki Patzenhofera są o wiele przystępniejsze, niż w *Magdeburger-Hof*.

I tak np. rachunek w tym ostatnim za miesiąc wrzesień 1917 r. wynosił 411,50 marek, w czerwcu 1918 r. już 595,50 Mk. a za lipiec i sierpień liczą sobie 1.417,10 Mk., więc przeciętnie przeszło 700 Mk. za zupełną z mięsem i jarzynami i kolację. A Patzenhofer liczy sobie za wrzesień 1918 tylko 300 Mk., a za okres czasu od 1 października do 7 listopada — 380 Mk., więc różnica ogromna! Ceny rosły w Niemczech podówczas, to pewne, ale zdaje się, że *Magdeburger-Hof* dobre interesy robił na więźniach. Istotnie, przy tak skromnym życiu Komendanta, suma 7.244 Mk. i 60 fenigów za samo pożywienie wydaje się duża, dochodzi ponadto na „*sonstige Ausgaben*“, na inne wydatki, suma 1.318 Mk. 17 fenigów, czyli razem, od 23 sierpnia 1917 r. do 7 listopada 1918 r. = 8.562 Mk. 77 fenigów.

Rząd niemiecki wyasygnowywał na utrzymanie więźnia po 250 Mk. miesięcznie, razem sumę 3.500 Mk., resztę dostawało *Generalgouvernement Warschau*, t. j. trzykrotnie po 1000 Mk. = 3000 Mk., a ponadto towarzysze par-

tyjni z kraju raz 400 Mk. i drugi raz 1000 Mk., z których ostatnie nadeszły do Magdeburga 9 listopada, a więc nazajutrz po zwolnieniu Komendanta. Z Wesel odesłano wraz z więźniem do twierdzy magdeburskiej 68 Mk. 80 fenigów. Wszystkie fundusze Komendanta więc, wynosiły razem 10.008 Mk. 75 fenigów. Z tego odpadło jeszcze 380 Mk. na jednomiesięczne utrzymanie gen. Sosnkowskiego i na koszty podróży obu panów, wypłaconych gen. Sosnkowskiemu 812 Mk. 5 fenigów.

Suma resztująca, 1.445 Mk. 98 fenigów, przeszedłszy przez ręce rebeljantów, Soldatenrathów, Ministerstwa Wojny, Poselstwa Duńskiego w Berlinie i naszych generalnych konsulatów, powróciła do Polski nienaruszona, co stwierdza własnym nieczytelnym podpisem pułkownik niemiecki Csattritz czy Buttwitz, zaiste piękne wystawiając świadectwo systematyczności swoich rodaków.

NA PODNIEBIU
WARSZAWSKIEM
10 LISTOPADA

1 9 1 8

I. ZA DNI „MAGDEBURSKICH”
W W A R S Z A W I E

A TYMCZASEM, PODCZAS GDY KOMendant wędrował po wszystkich więzieniach i kazamatach niemieckich, Warszawa nic o Nim nie wiedziała. Przytłaczał ją nastrój niepokoju i zgnębienia pełen, okupanci stawali się coraz nerwowsi, wiadomości o istotnym stanie Europy napływały coraz skąpsze, konfiskowane energicznie. Coraz to zwracał się niepokój ludzki ku temu Wywiezionemu, który, On jeden, mógł dać odpowiedź na niewiadome oraz pewnośc i rękojmię, że nie nadaremno tyle krwi ofiarnej przelało się w Polsce.

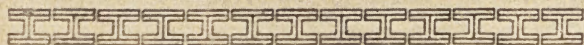
Pojawiały się ulotki, nalepki, odezwy, ściągane przez Niemców z pasją. W dniu Imienin Nieobecnego, 19. 3. 1918 r., chmara świsteczków protestujących i hołdowniczych zalała Warszawę. Jedne dawały tylko podobiznę Józefa Piłsudskiego, drugie, sprzedawane na cele konspiracyjne, podkładały okolicznościowy tekst Mazurkowi Dąbrowskiego:

Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła, szabłą odbierzemy.
Marsz, marsz, Piłsudski! Prowadź na bój krwawy,
Pod Twoim przewodem wejdziem do Warszawy,



Marsz, marsz, Piłsudski!

1. Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy,
Co nam obca przemoc wzięła, szabłą odbierzemy.
bis { Marsz, marsz, Piłsudski! Prowadź na bój krwawy,
Pod Twoim przewodem wejdziem do Warszawy.
2. Tyś nas zbudził do oręża, Tyś zbudził rycerzy,
Przekonałeś, że zwyciężą tylko ten, kto wierzy.
bis { Marsz, marsz, Piłsudski! Prowadź na bój krwawy,
Pod Twoim przewodem wejdziem do Warszawy.
3. Wstali Strzelcy-Legjoniści na Twe zawołanie,
Dziś zwycięstwo nam się ziści: Polska zmartwychwstanie!
bis { Marsz, marsz, Piłsudski! Prowadź na bój krwawy,
Pod Twoim przewodem wejdziem do Warszawy!
4. Skruszymy złowrogie pęta, będziemy żyć w swobodzie,
Nasza sprawa—sprawa święta—słuchaj nas naródzie!
bis { Marsz, marsz, Piłsudski! Prowadź na bój krwawy,
Pod Twoim przewodem wejdziem do Warszawy.



Wstali Strzelcy-Legjoniści na Twe zawołanie,
Dziś zwycięstwo nam się ziści: Polska, zmartwych-
[wstanie!
Marsz, marsz, Piłsudski! Prowadź na bój krwawy,
Pod Twoim przewodem wejdziem do Warszawy!

Inne miały ton wyłącznie protestacyjny, były tylko nawoływaniem do sprzeciwu, do przełamania milczenia:

„...W dniu dzisiejszym święcimy Imieniny Komendanta Józefa Piłsudskiego. Józef Piłsudski, obrońca niepodległej Polski, twórca czynu zbrojnego, bojownik o prawa ludu — więziony jest przez Niemców, za swą niezłomną wobec nich postawę. Bohater, którego czcimy wszyscy, a który nam dzisiaj przewodzić powinien, zamknięty jest w celi fortecznej! Pamiętajmy o tem! Milczenie nasze jest zgodą na gwałt! W dniu tym podnieść musimy głos protestu! Choć oddzieleni gwałtem od osoby Wodza, duszą naszą jesteśmy z nim. Niech żyje nasz Wódz Józef Piłsudski!...”

Ale czas mijał i nie przynosił żadnej odpowiedzi. Nadchodziły zgęszczone fale wiadomości o rewolucji w Niemczech, wrzeć zaczynało i u nas. Cierpliwość już się kończyła. Czuło się zbliżanie przełomu, a przecież Polska nie mogła wkraczać w nową erę bez swego Wodza.

On był jedynym człowiekiem, który mógł ująć rozszalałe wypadki dziejowe w Swoje ręce. To też nie posnęły organizacje przeróżne

nad zagadnieniem uwolnienia Komendanta. W ciszy tajnych zgromadzeń, coraz częściej, coraz nerwowiej, coraz goręcej, omawiano te sprawy, a kiedy zbliżał się koniec października 1918 r., czujna i zbrojna duchowo od stóp do głów Polska Organizacja Wojskowa (P. O. W.) uchwaliła wysłać emisariusza do Reichstagu w Berlinie, w pierwszym rzędzie do polskich kół poselskich tamże — a wreszcie do samego Magdeburga z rozkazem przywiezienia *coute que coute* obu więźniów, Komendanta i Jego szefa sztabu, Sosnkowskiego.

Wybór padł na Czesława Świrskiego. Był to wypróbowany towarzysz partyjny, jeden z tych uczestników akcji pod Bezdanami, którzy najciężej „odpokutowali” czyn bezdański — on mianowicie 9 latami ciężkiego więzienia, w cytadeli najpierw warszawskiej, potem kolejno w Rydze, w Butyrkach i wreszcie w katorżniczym więzieniu w Jarosławiu nad Wołgą, skąd go uwolniła pierwsza, bezkrwawa rewolucja rosyjska. Równy s t o m i e s i ę c y przesiedział w samotnej celi. W lipcu 1918 roku wrócił do Polski. Zastał najstraszliwsze położenie, przygnębienie głębokie, dezorientację wzmożoną. Nie było przecież Komendanta...

Ale, jak ustawicznie wyczekiwany był ten Komendant — dowód, że w każdym zlekka podobnym do niego obywatelu tłum warszawski dopatrywał się Jego samego i szalał, urząda-

jąc niebywale demonstracje i owacje. I tak np. jednocześnie prawie z Czesławem Świrskim przybył do Polski generał wojsk rosyjskich, prawy Polak, Aleksander Osiński, dziś inspektor armji. Rysy jego wówczas przypominały cokolwiek Komendanta — nosił poza tem szaroniebieski jakiś płaszcz i coś podobnego do maciejówki na głowie. To też, kiedy po raz pierwszy pokazał się na ulicy, nagle otoczył go tłum. Zrazu szept zdławiony, a potem coraz gwałtowniejsze okrzyki i wiwaty zaczęły się rozlegać wokół. Generał Osiński, zaskoczony, nie zdawał sobie sprawy, o co chodzi, ale wnet z treści okrzyków zrozumiał, że wzięto go za „Więźniama gdeburskiego”. Musiał rejterować żwawo do bramy, a gdy tłum zaczął atakować bramę nie na żarty — zamknęto ją czem prędzej. Takie było ówczesne nastawienie ulicy warszawskiej.

II. P R Ó B Y G W A Ł T U

T YMCZASEM DZIEŃ ZA DNIEM MIJAŁ, o rewolucji w Niemczech coraz groźniejsze dochodziły wieści — czuło się też wśród Niemców-okupantów w Warszawie coraz większy niepokój i konsternację, więc, jak się rzekło, P.O.W. zdecydowała się wysłać emisarjusza do Niemiec, natychmiast, jak najspieszniej.

Komendant jej ówczesny płk. Adam Koc wezwał Czesława Świrskiego i zlecił mu zadanie. Niech robi co chce, niech atakuje polskich posłów w Berlinie, niech się zwróci do niemieckich partij socjalistycznych, w Berlinie, w Magdeburgu, ale bez Komendanta wrócić mu nie wolno. Gorączkowo zabrał się Świrski do przygotowań. Przedewszystkiem, licząc najbardziej na lewicowe organizacje niemieckie, postarał się o dokument od P.P.S., niewyraźnie podający jego misję, ale polecający go jako człowieka „s w o j e g o“, któremu należy ufać i pomóc.

Otrzymał ów dokument dnia 7 listopada. Tymczasem ś. p. Lednicki czynił starania u władz niemieckich o paszport dla niego przez hr. Ronikiera. Kiedy jednak przyszedł Świrski po paszport obiecany do hotelu Europejskiego, nie zastał ani paszportu, ani Ronikiera. Służący oświadczył, że ten ostatni musiał nagle wyjechać do Berlina.

Wówczas, traf chciał, spotkał się Świrski u p. Grossmanowej z księciem regentem Zdziśławem Lubomirskim. Ten mu obiecał nietylko dostarczyć w paru godzinach paszport, ale, ponieważ przyszła wiadomość, że pociągi w Niemczech strajkują, ofiarował swój samochód na ową jazdę do Berlina i Magdeburga „na spotkanie Komendanta“.

Wszystko więc już było gotowe — nawet

paczki z prowiantami przygotowane przez towarzyszek partyjne — i w sobotę, 9 listopada (1918), miał Czesław Świrski ruszyć „z d o b y w a ć” mury fortecy magdeburskiej. Nagle — w niedzielę, 10 listopada, gruchnęła wieść: KOMENDANT PRZYJECHAŁ!!!! Wrażenie zdławiło ludziom gardła. Istotnie, przyjechał rano, dżdżystym dniem jesiennym — odrazu, w pierwszych godzinach powrotu, ujmując bieg spraw władcą, nieomylną ręką. Czesław Świrski nie wyjechał — a z jego niedosłej misji pozostały dwa tylko ślady: a) przepustka partyjna P.P.S., podpisana przez T. Arciszewskiego i b) list Księcia Regenta, wręczony mu we środę 13 listopada.

„...Szanowny Panie (pisze Regent). Po natężonych ostatnich dniach, będąc już obecnie na odejściu od męczącego obowiązku, korzystam z chwili wolnej, aby poinformować, dlaczego nie mogłem ułatwić Panu wyjazdu na spotkanie Piłsudskiego. W sobotę uwiadomiono mnie, że ma naza jutrz przyjechać, ale zaznaczono zarazem, że pewności niema, gdyż zwyczajne pociągi z Berlina nie odchodzą. Zostałem kartkę Pana późno, po powrocie do domu i nic pozytywnego nie wiedziałem. Dopiero około 10-ej w nocy przybyli mi powiedzieć, że dali Piłsudskiemu nadzwyczajny pociąg do Bydgoszczy i że o 7.30 rano, w niedzielę, przyjeżdża. O wyjechaniu na spotkanie nie było

Niniejszym oświadczamy, że naszego towa-
rzyżę, Czesława Świrskiego, obdarzonego
pełną zaufaniem, upowiadamy do przedło-
żenia interesujących nas spraw.

Radny m. st. Warszawy

*Przewodniczącego Komitetu
Robotniczego Polskiej
Partji Socjalistycznej*

T. Arciszewski

dn. 4/11 1918

Mir beauftragen hiermit unsern Vertrau-
ensgenossen, Czesław Świrski, über die uns
interessierenden Angelegenheiten mit Ihnen
zu verhandeln.

Mitglied des Warschauer Stadtrates

*und des Zentralen
Arbeiters Komitee der
Polnischen Sozialisten
Partei*

T. Arciszewski.

dn. 4/11 1918

Zaświadczenie par-
tyjne, wydane 7.11
1918 r. Czesławowi
Świrskiemu na po-
dróż do Niemiec,
będącą w związku
z uwolnieniem
Wicznia magdebur-
skiego.

już mowy, uważałem zatem za niepotrzebne
Pana uwiadamiać i postanowiłem (Piłsudskie-
go) przyjąć na dworcu.

Uważałbym za bardzo pożyteczne dla spra-
wy rozmówienie się z Panem jako zupełnie
prywatny człowiek, gdyż ustąpienie nasze
(Regencji!!) jest już tylko rzeczą formy. Żad-
nych funkcij nie spełniamy i oczekujemy po-
wstania Rządu Narodowego i możliwości ogło-
szenia ustąpienia, z większą niewątpliwie nie-
cierpliwością od tych, co, w niezrozumieniu
położenia, nieco zbyt gwałtownie wymagają
natychmiastowego odejścia. Najchętniej przy-
będę do mieszkania Pana — proszę o donie-
sienie, kiedy Go zastać mogę, dzisiaj czy ju-
tro? Może koło 5-tej będzie Panu dogadzać?
Mam obecnie czas wolny. Załączam wyrazy
szczerzego poważania

Zdzisław Lubomirski.

Lecz bieg zdarzeń wziął tak mordercze tempo, iż nie doszło do żadnych spotkań, prywatnych czy innych, gdyż już nazajutrz po tym liście Regenta, dnia 14 listopada, we czwartek, Regencja przestała istnieć i Józef Piłsudski objął rządy dyktatorskie nad Rzeczpospolitą.

W trzy miesiące później był naczelnikiem państwa.

Wszędzie zrywali się ludzie ofiarni i gotowi na wszystko, polecając swoje służby w razie, gdyby został uchwalony zamach na twierdzę. Płk. Adam Koc opowiadał mi, jak bardzo bliski realizacji był np. śmiały i ryzykowny wyjazd ś. p. Andrzeja Korzeniowskiego do Magdeburga. Przebrany za lejtnanta pruskiego, z aroganckim monoklem w oku, miał udawać inwalidę wojennego, co przychodziło o tyle łatwiej, że Korzeniowski miał istotnie sztywną nogę, dzięki ranie otrzymanej na froncie, i że władał doskonale językiem niemieckim. Tylko nagły powrót Marszałka wstrzymał ten wyjazd, równający się prawie wyrokowi śmierci.

Ś. p. gen. Stachiewicz był też jednym z tych, którzy planowali z ramienia P.O.W. uprowadzenie Więźnia magdeburskiego.

Ale nie tylko na gruncie warszawskim rwało się do tej akcji! Przepotężne macki P.O.W.

zagarnęły były już dawno tereny zaboru niemieckiego — docierały do Polaków w wojsku pruskiem służących, więc tam też obudziło się pragnienie, wzbierające coraz na intensywności, aby wyrwać Marszałka z celi fortecznej. P.O.W.Z.P. (zabór pruski) była dość słaba. Siły i kolorów nabrała dopiero po rewolucji niemieckiej w Poznaniu; ona to wtedy rzuciła się do energicznej akcji werbunkowej, a aktem znanym pod mianem „z a m a c h u n a R a t u s z” (dnia 13. 11. 1918) sterroryzowała Niemców do tego stopnia, iż w radzie tamtejszej uzyskała większość polską. Wogóle, wiadomo, że gdyby nie zbyt przyspieszony przyjazd Paderewskiego i nie mafijna działalność tchórzliwej Naczelnej Rady Ludowej i Komitetu Obywatelskiego, który przerzucił termin powstania z 15 stycznia 1919 na 27 grudnia 1918 i który wstrzymał pęd ku wyzwoleniu Śląska, natychmiastowemu odebraniu Pomorza, rozegrania sprawy gdańskiej etc., inny obrót, łatwiejszy i pomyślniejszy, byłyby wzięły interesy polskie na odcinku niemieckim.

Już od r. 1914 wszakże istniała POW., pracując całą parą, werbunkowo i ideowo, pod zaborem rosyjskim i niemieckim. Proroczy duch Marszałka przewidział, że walcząc narażenie u boku Niemców i Austriaków, doczeka się chwili, kiedy trzeba będzie obrócić się

przeciw nim, bowiem oni ani piędzi ziemi polskiej nie oddadzą dobrowolnie. Ta genialna p a r a l e l n o ś ć działań na wszystkich frontach, ta gotowość zbrojna na wszelkie ewentualności i niespodzianki, były źródłem mocy i źródłem zwycięstwa Józefa Piłsudskiego. Nie mogła Go zaskoczyć ani nielojalność współkomendantów, ani ich intrygi, ani zmiany jakiegokolwiek w obliczu „wojny ludów“. Duch Jego jasnowidzki czuwał nad Polską. Jednak nie dla wszystkich były dostępne te trudne i zawikłane drogi Józefa Piłsudskiego. Niejedna przeciętność nazywała tę politykę krętą, zygzakowaną, nierówną, nieobliczalną — mimo, że nie było dotychczas w historii świata planu równie natchnionego duchem proroczym i równie nasyconego genialnością obliczeń. Był więc ten, który niczego nie rozumiał, wrogi docna, był ten, który rozumiał i wierzył, i był ten, który tylko wierzył ślepo, nie rozumiejąc. Ci dwaj ostatni, jednako żarliwi, gotowi byli spełniać rozkazy i oddać życie, gdy tego zażąda sprawa czy osoba Wodza.

Ale wracajmy do magdeburskiego tematu. Ledwo się pojawiły moje artykuły w Kurjerze Porannym na temat powyższy, zaczęły napływać listy, wiadomości i informacje, jedne ciekawsze od drugich. Między innymi, otrzymałam list od p. Józefa Ratajczaka, obecnie kapitana 84 p. p. Strzelców Poleskich, a w nim

uwagę, że sprawa wykradzenia Marszałka Piłsudskiego z twierdzy magdeburskiej była najszczególniej opracowana i przygotowana na terenie poznańskim, o czym mnie bliżej poinformować może p. Wincenty Wierzejewski, b. komendant główny P.O.W.Z.P., obecnie kpt. W.P., dalej por. Alfons Radomski, Szczepan Piechocki, Stanisław Saroszewski, ówczesny szef sztabu Komendy P.O.W.Z.P. w Poznaniu i t. d.

Zwracałam się kolejno do wyż podanych, lecz nie wszystkich udało mi się odszukać. Zgłosili się tylko, z niezwykle uprzejmą gotowością, pp. Alfons Radomski i Stanisław Saroszewski. Ten ostatni bardzo obszernie zdaje relację z planów P.O.W.Z.P. Nazwę P.O.W. na grunt poznański przeszczepili z terenu b. Kongresówki dezterterzy z wojska niemieckiego, którzy przez ówczesną granicę niemiecko-rosyjską uchodzili do Kongresówki, by ukryć się przed pościgiem władz wojskowych i żandarmerji. Tu zaś, w Warszawie, natychmiast wciągani byli do rozmaitych ideowych organizacji polskich — często do P.O.W. — poczem wracali niejednokrotnie na ziemie zaboru pruskiego, jako łącznicy, względnie emisariusze. Początek takiego przechodzenia granicy datuje się od końca 1915 lub początku 1916 r. Zczasem, przechodzenie to stało się rodzajem sportu i niejeden szczycił się wielo-

krotnem bezkarnem przekradaniem się przez pilnie strzeżoną granicę.

W ten to sposób ryzykowny przedostała się do zaboru pruskiego i nazwa P.O.W. i nawiązała się łączność z Komendą Główną P.O.W. Warszawa. Komendantem bojówek niepodległościowych w Poznaniu był do dnia 12. 11. 1918 Wincenty Wierzejewski, dezterter niemiecki, a członkami P. O. W. Z. P. byli, jak się rzekło, tacyż sami dezterterzy oraz żołnierze czynni wojska pruskiego, którzy, według instrukcyj otrzymywanych z Komendy Głównej, operowali możliwie destrukcyjnie wśród szeregów niemieckich, a na froncie współdziałali z wywiadem wojsk walczących przeciw Niemcom, uprawiali sabotaż etc. Jak prawie wszyscy peowiacy, codzień tem samem zaglądali śmierci w oczy.

Myśl uprowadzenia Józefa Piłsudskiego z magdeburskiego więzienia powstała wśród peowiaków na początku roku 1918. W dniu 4 lutego (data zapamiętana dokładnie przez p. Saroszewskiego, jako dzień, w którym zdezerterował z wojska niemieckiego), schadzka peowiaków odbyła się pod przewodnictwem Wincentego Wierzejewskiego w Muzeum Mielżyńskich w Poznaniu, w mieszkaniu kustosza, także peowiaka, Władysława Maciejewskiego. Obecni byli, poza wyż wymienionym przewod-

niczącym: Henryk Dembiński, Józef Dunst-Dembiński, Alfons Gorzelańczyk, Mieczysław Kucharski, Stanisław Saroszewski, Roman Skoraszewski i Sylwester Węglarz. Dwie sprawy były na porządku dziennym: uwolnienie Marszałka z Magdeburga i protest przeciw traktatowi brzeskiemu.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, ta druga sprawa przeszkodziła pierwszej. Mianowicie, przy rozlepianiu uchwalonego wówczas protestu, zostali wyłapani i poaresztowani „w a ż-n i“ peowiacy; równocześnie wzmogła się czujność władz niemieckich, tak, że niepoaresztowana reszta musiała w znacznej ilości schronić się za kordon, ścigana listami gończemi, jako dezterterzy i zbrodniarze polityczni. Ale projekt magdeburski nie upadł — odwlekl się tylko.

Główna Komenda w Warszawie była już dobrze poinformowana o istnieniu bratniej odnogi w zaborze pruskim; łącznikiem był niejaki „O r d o n“, ale, zdaje się, kontakt dwóch gałęzi peowiackich, z których ta z zaboru rosyjskiego była niewątpliwie wytrawniejsza, pozostawał wciąż utrudniony. Bez ścisłej wymiany instrukcyj, każda z nich marzyła o uwolnieniu Tego, który wszystkim bojowcom niepodległościowym był wodzem i wzorem.

Stanisław Saroszewski opowiada, że Win-

centy Wierzejewski nawiązał zbliżenie z Główną Komendą warszawską, że może dotarł nawet do samego Adama Koca, wysuwając poznkański plan zamachu na Magdeburg — a, o ile plan ten wydał się Komendzie warszawskiej dostatecznie realnym i w pewnych spoczywającym rękach, to jasne jest, że uznała peowiaaków z zaboru niemieckiego za najodpowiedniejszych do akcji. Ci ostatni mieli znacznie łatwiejsze zadanie w razie czego, niż ktokolwiek inny, bowiem znali miejscowe stosunki, posiadali lokalny akcent polski i niemiecki, no i kolegów mieli rozsiianych po niemieckich pułkach. W początkach roku 1918, P.O.W.Z.P. pracowała w dodatku znacznie sprawniej, gdyż posiadała już, między innymi, biuro paszportowe, mogące zaopatrywać w fałszowane dokumenty, Fahrscheiny etc. swoich członków.

Taką też podróż za fałszywymi papierami odbył do Warszawy dezter Wincenty Wierzejewski, przebrany w mundur żołnierza pruskiego, pod nazwiskiem Józef Warecki. Towarzyszył mu Pluciński, kulawy poznkańczyk, wydany ongiś z granic państwa rosyjskiego za rozbicie cegłą głowy żandarmowi podczas demonstracji w roku 1905. Stanisław Saroszewski, v u l g o Wawrzyn Zaleski, przybył też do Warszawy w tej samej sprawie uwolnienia Marszałka, jak również w sprawie dostawy broni dla warszawskiej P. O. W. W roli od-

biorcy na tę broń występowała dzisiejsza Centralna Komisja Dostaw Harcerskich, co Saroszewskiemu ułatwiało zadanie, gdyż figurował jako delegat „Główniej Kwatery Skautowej na Rzeszę Niemiecką w Poznaniu“ do „Główniej Kwatery Harcerskiej“ w Warszawie i miał nawiązać łączność obu kwater.

Zamieszkał z Wierzejewskim u ks. Jana Mauersbergera przy ul. Senatorskiej i tu zetknął się z peowiakami: Olewińskim i Rudnickim, oraz z Marją Wocalewską, działającą dotychczas czynnie w związkach harcerskich. Warszawa zobowiązała się dostarczyć Wierzejewskiemu sobowtóra Marszałka Piłsudskiego, którego miało się podstawić w twierdzy magdeburskiej przy uprowadzeniu Go, aby uniemożliwić, a przynajmniej odwlec, ewentualny pościg. Posiadał ten sobowtór jeden błąd: był, mianowicie, kulawy, ale ostatecznie nie przedstawiało to zbyt zasadniczej przeszkody. Jaką drogą? Stanisław Saroszewski nie wie, ale Komenda P.O.W.Z.P. otrzymała definitywnie zlecenie uprowadzenia Marszałka i to możliwie najśpieszniej.

Wydelegowany został do tej wysoce niebezpiecznej, trudnej i zuchwałej imprezy Stanisław Saroszewski. Po powrocie do Poznania, wziął się przede wszystkim do wyszukania człowieka, któryby doskonale znał Magdeburg

i topografię twierdzy. Szybki wywiad wśród peowiaków dał wynik nader pomyślny. „Dzięsiątka“ śremska zawiadomiła, iż mieszka w Śremie Polak, świeżo zwolniony z wojska niemieckiego, który pełnił w Magdeburgu służbę w oddziale wartowniczym twierdzy. Składało się więc wszystko znakomicie. Saroszewski śpiesznie wyjechał do Śremu i zapoznał się z owym meldowanym b. wartownikiem; otrzymał dokładny plan miasta i szczegółowy plan twierdzy, jak również nazwiska wszystkich oficerów i podoficerów garnizonu, grasujących w obrębie murów fortecznych, rozkład godzin służbowych, opis zwyczajów miejscowych, rygorów etc. Wskazani zostali również żołnierze, którzyby ewentualnie pomagali w dotarciu do odnośnej celi.

Oczywiście, Saroszewski nie wymieniał nazwiska Więźnia — ogólnikowo tylko mówiło się, że chodzi o „j e d n e g o z u w i ę z i o n y c h“. Informator śremski, udzieliwszy swoich bezcennych wiadomości, nie myślał ryzykować osobiście; zresztą niefachowiec, niekonspirator, mógł tylko popsuć robotę. Poprzestano więc na jego biernem uczestnictwie. Teraz należało poszukać kogoś stale w Magdeburgu przebywającego i to możliwie w najbliższym promieniu twierdzy. Okazało się wtedy, że P.O.W.Z.P. sięga aż do samych wrót celi Marszałka Piłsudskiego, bo w oddziale war-

towniczym pełnił służbę peowiak, drukarz z zawodu, Szczepan Piechocki. Wezwała go więc Komenda z końcem października 1918 r., aby się bezzwłocznie, pod jakimkolwiek bądź pozorem, stawił w Poznaniu. Chodziło o ustne omówienie z nim całej akcji, jak również o uzyskanie z jego dokumentu urlopowego w z o r u pieczęci i podpisu dowództwa twierdzy magdeburskiej. Inaczej nie dałoby się sfałszować przepustek na przejazd bojówki.

Plan tedy cały był już gotów i opracowany. Saroszewski, jako wyszkolony żołnierz niemiecki, miał natychmiast wyjechać do Magdeburga wraz ze sobowtórem Józefa Piłsudskiego, obaj przebrani w mundury pruskie. Piechocki miał współdziałać na terenie twierdzy, względnie miał być do zamachu wciągnięty jeszcze jeden peowiak, Stanisław Dąbrowski, człowiek niesłychanej zuchwałości i odwagi. On to w biały dzień, ostrzeliwany gęsto przez straż, uciekł z przed sądu wojennego w Szpandawie i dotarł najspokojniej do Poznania. Techniczna jego pomoc była nieoszacowanej wartości, brano bowiem pod uwagę i ewentualne „u n i e s z k o d l i w i e n i e” wartownika, gdyby zbyt gorliwie przeszkadzał w wykonaniu planu. Podstawiony miał być wówczas na jego miejsce Piechocki, ale mogło się też zdarzyć, że dyżur wypadalby akurat na Piehoc-

kiego i on byłby tym „przeszkadzającym“. On wtedy udzieliłby instrukcji, hasła i t. d.

Współudział większej ilości osób był wykluczony, gdyż swoboda ruchów całej ekspedycji była i tak mocno utrudniona, ze względu na sobowtóra, o którym nie wiedzano nawet, czy zna język niemiecki. Rzecz miała się odbyć późnym wieczorem, albo z „wejściem“ za sfałszowanymi dokumentami, albo bez dokumentów, przed capstrzykiem, t. j. przed godz. 21-ą. Ponieważ projektowano wyjście Marszałka z twierdzy w mundurze żołnierza pruskiego, więc Saroszewski miał mieć na sobie dwa mundury, jeden na drugim. Po opuszczeniu twierdzy, mieli się wszyscy jak najśpieszniej udać do Poznania, gdzie czekały dalsze decyzje.

Nie ulegało wątpliwości, że plan się powieździe. Oddziały wartownicze rekrutowały się z pospolitego ruszenia, ludzi starszych wiekiem, ojców rodzin, oraz z najmłodszych roczników, niezdatnych do służby frontowej, lub takich, którzy się obijali już po wszystkich frontach i mieli służby wojskowej powyżej uszu. Element więc średni, jako obrona fortów. Zaś po stronie zamachowców znajdowali się ludzie gotowi na wszystko, wytrawni i „fachowi“ w podobnych imprezach, jak taki Dąbrowski, uciekinier z wojska i z cytadeli szpan-

dawskiej, jak Saroszewski, który tylokrotnie szmuglował broń z Poznania do Warszawy, a aresztowany raz w Aleksandrowie Kujawskim „wymigał” się z niezwykłą zręcznością. Słowem — przewaga była bezsprzecznie po stronie zamachowców, tem więcej, że mieli jeszcze dokumenty i paszporty łudzaco pofalszowane.

Inna rzecz, że wszystkim im groziła śmierć bezapelacyjna w razie ujęcia: wszyscy byli dezterterami, uciekinierami z przed sądów wojennych, no i złapani na gorącym uczynku uwalniania politycznego więźnia z twierdzy w czasie wojny — nie mieliby ani jednej dla siebie wymówki i żadnego ratunku. Cóż to jednak znaczyło dla tej ofiarnej garstki, wobec perspektywy uwolnienia Józefa Piłsudskiego, który był, w danej chwili zwłaszcza, jak nigdy jeszcze, Polsce potrzebny?

Lecz — jak zawsze, jak wszędzie — uprzedził wszystkich sam Marszałek.

Szczepan Piechocki zdołał przybyć do Poznania dopiero 10 listopada 1918 r. to jest akurat w chwili, kiedy Marszałek zajeżdżał do Warszawy, wolny już i już ujmujący ster w swoje władcze dłonie. Lecz o tem Poznań nie wiedział jeszcze. Piechocki potwierdził tylko wiadomość o szerzeniu się ruchu rewolucyjnego, o buntach nawet wśród załogi wartowniczey w Magdeburgu, lecz o Marszałku nie wie-

dział nic. W tym chaosie zdarzeń, w tej powikłanej, niejasnej sytuacji, nie opuszczano rąk — zmodyfikowano tylko plan zamachu na twierdzę magdeburską, mianowicie postanowiono zrezygnować z sobowtóra. Zamęt rewolucyjny w całej Rzeszy i dezorganizacja w formacjach wojskowych, aż do oddziałów wartowniczych włącznie, czyniły ostrożności zamachowców zbędnymi.

Ledwo wylądował Piechocki, wybuchła w tymże Poznaniu rewolucja — P.O.W.Z.P. rozpoczęła półjawnny już werbunek; co do Magdeburga, nie mogąc ustalić, czy ruch rewolucyjny nie uwolnił już wszystkich jeńców twierdzy, wysłano stałego kurjera, Leona Bąbola, do Warszawy, celem zrekognoskowania terenu. Nakazano mu powrót natychmiastowy z wiadomościami, aby móc bezzwłocznie wyruszyć do Magdeburga. Bąbol jednakowoż zdołał wrócić dopiero w parę dni, przywożąc raport delegata P.O.W.Z.P. przy Głównej Komendzie warszawskiej, Józefa Jęczkowiaka (pseud. Józef Sułkowski), z datą 17 listopada 1918 r.

Raport zaczynał się od magicznych słów:
 „...KIEDY 10 BM. RANO POWRÓCIŁ KOMENDANT PIŁSUDSKI Z NIEWOLI...”

Komendant wolny!!! Radość szaleńcza opanowała wszystkich, a tylko w głębi serc zamachowców kołatał się maleńki żal, wstydl-

wie ukrywany, że nie udzielił im los owej ła-
ski przysłużenia się nieznanemu osobiście,
a ukochanemu ponad życie Wodzowi.

„...A zresztą — kończy swoją opowieść Sta-
niśław Saroszewski — czy my wiemy, jakby
się był odniósł do nas Więzień Magdeburski?
Możeby wogóle nie chciał wyjść z celi, jako, że
przebywał tam na znak protestu, czyniąc akt
polityczny i z gwałtu niemieckiego i z tej ca-
łej udręki więziennej? Drogi Józefa Piłsud-
skiego wszakże były równie nieomyłne, jak
niezbadane i o nieprzewidzianych zakrętach...”

Słusznie rozumuje dzielny żołnierz Stani-
sław Saroszewski, ale fakt pozostaje faktem,
że jak Polska długa i szeroka, wszędzie, nie
oglądając się na grozę śmierci i niebezpie-
czeństw, żołnierze Komendanta gotowi byli
oddać życie dla Niego.

— — — — —

Wróćmy jednak teraz do Jego przyjazdu
na Dworzec Główny w Warszawie, dnia 10 li-
stopada, niedzielnym rankiem, i idźmy Jego
śladem.

III. PENSJONAT NA VI PIĘTRZE

NA ULICY MONIUSZKI 2a, NA VI PIĘ-
trze, prowadziły pensjonat trzy siostry
Romanówny: Halina, Wanda i Marja. Dziwny
to był pensjonat. W pokojach mieszkały podej-

rzane zewszecmiar osobniki, światła dziennego się obawiające i omijające gorliwie wszelkie władze okupacyjne. Nosiły przytem przeważnie po kilka nazwisk i imion: Rydz-Śmigły-K r a j e w s k i, Adam Koc-O b y w a t e l Witold, Bogusław Miedziński-Ś w i s t e k i inni, również zakonspirowani, tajemniczy: Kasprzycki, Moraczewski, Jur, Hasner, młody Andrzej Korzeniowski i t. p.

Interesy trzech sióstr musiały iść nietęgo, zważywszy na raczej skromne dochody tego dziwnego pensjonatu i nikłe portfele ich lokatorów. „O b y w a t e l k a F a u s t y n a“, czyli Wanda Romanówna, znała wiele tajemnic. Często, na rozkaz któregoś z lokatorów, wyjeżdżała raptem, z pliką zaszytych papierów, i wracała tak samo nagle, cicho, niepostrzeżenie, żeby potem długie i tajne prowadzić rozmowy z tymiż lokatorami.

Obywatelka Faustyna wróciła z Belgji, z Thildonck, z klasztoru ss. urszulanek, gdzie miała zamiar przywdziać habit, odszupasowana przez Niemców z chwilą, gdy zajęli Belgję, no i — Warszawę. A kiedy wszystkie sprawy kraju zostały uporządkowane pod natchnioną ręką Naczelnika Państwa Piłsudskiego, obywatelka Faustyna dotrzymała ślubów, sobie samej i Bogu złożonych za odrodzenie Ojczyzny, i w rok później przywdziała habit ss. zmartwychwstanek, tym razem na dobre, no-

Obywatelka „Fau-
styna“ (Wanda Ro-
manówna). Gorliwy
członek P. O. W.
Dziś s. Emanuela,
zmartwychwstanka.



we nosząc imię, mniej już zakonspirowane, siostry Emanueli. Są zakonnice, jak s. Barbara Żulińska, jak Stankiewiczówna, felicjanka, odznaczone wysokimi orderami i stopniami oficerskimi, ale chyba s. Emanuela jest jedyną mniszką w Polsce. z marką byłej peowiaczki, krzyżem niepodległości z mieczami i t. d.!! Któżby odgadł w owej zakonnicy, dzwoniącej różańcami, tę młodą dziewczynę, którą się widziało 16 lat temu, siedzącą samotnie przy karabinie maszynowym, na placu Saskim, w gotowości bojowej?...

Tymczasem nie było jeszcze mowy o habicie, gdy w sobotę 9 listopada 1918 roku, tajemniczy lokatorzy obywatelki Faustyny zaczęli okazywać zatrwazający niepokój. Właściwie, gdy wieczorem niektórzy z nich przynieśli pewną wieść, rozgłoszoną jedynie w ścisłym kole — nikt już nie pomyślał o śnie na całym prawie VI piętrze. W mieście padały tu i ówdzie strzały pojedyncze, ale trzebaby chyba salwy armatniej, aby ją usłyszano na tem zatarasowaniem podniebiu, na którym coprawda i serca nazbyt głośno waliły w tej chwili...

Świtem, a późny jest świt w listopadzie, wybiegł ze swego pokoju lokator, zwany obywatelem Witoldem (płk. Adam Koc) i — za sekundę wrócił po parasol do obywatelki Faustyny (nawiasem mówiąc, nigdy go jej nie oddał, czego mu ta świętobliwa dusza zapewne

nie pamięta), a około 8-ej rozwarły się z trzaskiem drzwi wejściowe do pensjonatu i wszedł jakiś człowiek w siwawym mundurze, z krótkim oficerskim. bagnetem pruskim u pasa:

KOMENDANT!!!

A za nim tłum — tłum, którego ogon kończył się, zdaje się, na Frascati, bo od Frascati, od regenta ks. Lubomirskiego, jechał „Wieżień magdeburski“.

Buchnęło drzwiami jakieś wzruszenie tak potężne, że twardzi żołnierze zaczęli płakać jak dzieci. Pierwszy zapłakał Jur-Gorzechowski, mitygowany energicznie przez pułkownika Koca, ze słabym jednak skutkiem, jako, że sam dawał najfatalniejszy przykład. Czuł zresztą ostatni ciura, że nie ma tu miejsca z d a r z e n i e, takie czy owakie, ważne czy nieważne, ale, że przewraca się karta w dziejach Polski, że w tej chwili przechodzi Historia z przedpola legendy i marzeń na wielki, realny teren rzeczywistości.

Cała kamienica 6-piętrowa zaczęła się prosto trząść w posadach. Tłum zapchał schody, podwórze, ulicę Moniuszki, plac Napoleona, Nowy Świat i zdawało się, że gardła pękną tej tysięcznej ciżbie od okrzyków...

IV. WINDA NA GÓRĘ

W DZIEŃ ROCZNICOWY, 10 LISTOPADA 1934 r., poszłam w pielgrzymce do tego domu przy ul. Moniuszki 2a, do kamienicy, należącej obecnie do Banku Polskiego. Jest lśniąca, solidna, reprezentacyjnie marmurowa, wyniklowana, z biurami i reklamami i — rozmyślałam, jak mało ludzi wie, że pierwszy krok w oswobodzonej Polsce postawił oswobodzony Komendant tutaj (nie licząc parominutowego postoju w pałacu Lubomirskich na Frascati), że tu nastąpiły pierwsze manifestacje, stąd poszły pierwsze rozkazy, jeszcze zapewne ustne, że stąd, z balkonu II piętra, z mieszkania księstwa Stanisławostwa Lubomirskich, przemówił po raz pierwszy w wolnej Polsce Józef Piłsudski.

Księżna obdzierała nagwałt własny kapełusz z białych kwiatów, aby je domieszać do czerwieni przygodnej szarfy, którą balkon udekorowano napoczekaniu — a tłum patrzył, chłonał oczyma, bo z tego, co mówił Komendant, nie słyszał ani jednego słowa. Wszakże od wiwatów dygotała kolumna Zygmunta, a Komendant kłaniał się, uśmiechnięty... Wystarczał Jego widok bezcenny. W pewnej chwili jednak dał znak ręką, chciał, aby Go usłyszano, i wtedy tłum zamarł. I o tej chwili, o władztwie Piłsudskiego nad tłumami,

Balkon na II p.
w mieszkaniu księ-
stwa St. Lubomir-
skich przy ul. Mo-
nieszki 2a, z któ-
rego w wolnej Pol-
sce pierwszy raz
przemawiał Komen-
dant 10. 11. 1918 r.

opowiadał mi w 17 lat później pruski oficer, który Go przywiózł z Magdeburga, van Gölpen.

Jedziemy windą na VI piętro.

I windziarz jest ten sam, co w roku 1918, Stanisław Kusztal, dozorca. Poznaje dawną właścicielkę pensjonatu, która mi towarzyszy, wita się i zaczyna opowiadać, co się tu działo akurat 16 lat temu. Takich tłumów, powiada, nikt już nigdy oglądać nie będzie, ani takiej radości. Trzy czwarte mieszkańców Warszawy tłoczyło się wokół, wielokilometrowym pierścieniem. Motor windy, powiada, tak się rozgrzał od ciągłego jej latania w górę i w dół, że musiał go wciąż okładać mokremi płachtami.

— Nie znałem nikogo z tych dzisiejszych wielkich figur — dodaje Kusztal — ale pana Marszałka pamiętam doskonale. Zresztą wiozłem Go w marcu 1925, także tutaj, windą, kiedy przyjeżdżał do chrztu trzymać Andrzejkę i Baśkę Świrskich...

Dawnego pensjonatu pp. Romanówien już niema, są teraz same prywatne mieszkania. Dzwonimy do tego, w którym zatrzymał się 16 lat temu Marszałek. Mieszka w niem obecnie artystka p. Karlińska, bardzo uprzejmie pozwalająca nam buszować po pokojach i... wspomnieniach. Słucha też uważnie i ze zdziwieniem, co tu się działo apokaliptycznego w tych jej cichych, wesołych pokojach.

Biurko Komendanta z Jego pokoju przy ul. Moniuszki 2a, w pensjonacie panien Romanówien (dziś jest własnością gen. Góreckiej).



Tu, w środkowym, była przyjmowana przez szefa ob. Sosnkowskiego pierwsza delegacja *Soldatenratu* niemieckiego, wieczorem 10 listopada. Siostry Romanówny nie miały grosza w kieszeni, więc posłały po kolację na 10 osób „n a b o r g” do hotelu Angielskiego. Hotel przysłał kolację natychmiast, a dowiedziawszy się, że tu zajeżdżał Komendant Piłsudski, zapłaty przyjąć nie chciał. Niemcy też jeść nie chcieli. Tylko przy zamkniętych szczelnie drzwiach gadano długo, a kolacja stygła.

Obok stołowego, na prawo, sypialny Komendanta, a dalej sypialny szefa ob. Sosnkowskiego. Kiedy Komendant poszedł do łazienki, pozostawiwszy swój więzienny, magdeburski sweterek na tapczanie, panie stoczyły bój o zaszczyt obcierowania tego muzealnego obiektu, tak dziurawego, że ostatecznie pracy starczyłoby na nie wszystkie. Ale w danym wypadku każda była stuprocentową ekskluzywistką — solidarność wykazawszy dopiero w rozrzewnieniu, gdy wypadł z kieszeni tegoż sweterka więzienny grzebień i kawałek magdeburskiego mydła.

A tymczasem drzwi pensjonatu się nie zamykały. Nie zdążył się jeszcze Komendant przebrać i ogolić, gdy już zaczęły defilować wytuzurkowane delegacje, uniżone i wycylindrowane — dalej zastępy młodzieży, nie mogącej opanować wzruszenia — legjoniści i peowiacy, promienni, jak w transie składający raporty — zbite szeregi ludzi, z pytaniami, no i ze zwyczajną tylko, szaleńczą radością, która musiała owinać się dokoła nóg Komendanta.

Wreszcie w pokoju, gdzie zamieszkał ob. Sosnkowski, a dawniej Rydz-Śmigły i Koc, ustawiono fotel (przechowany, wraz z resztą umeblowania i biurkiem, u p. Haliny z Romanów generałowej Góreckiej). Na tym fotelu posadzono uroczyscie Komendanta, aby delegacja, z ob. Prystorem na czele, mogła Mu



Meble i obrazki z pokoju przy ul. Moniuszki 2a, do którego zajechał Komendant 11 listopada 1918 r. (Meble te są obecnie własnością gen. Haliny z Romanów Góreckiej). Fotel na prawo siedział Marszałek, gdy Mu tego dnia wręczano Jego pozostawioną w Polsce szablę.

wręczyć... szablę. Komendant zostawił ją w Polsce w przeddzień aresztowania. W Magdeburgu, nie zdejmując munduru legionowego, żadnej broni nie posiadał, dopiero w Berlinie, gdy nie chciał wyjść na miasto w mundurze a bez szabli, wręczył Mu szarmancko hr. Kessler, konwojent, krótki oficerski bagnet pruski. Niesposób było oczywiście, aby Komendant zaczął pędzić Niemców z Warszawy ich własnym bagnetem — poza tem miał tu, jak się rzekło, swoją własną, ukochaną, symbolicznie wypróbowaną szablę polską, którą Mu zwrócono, zawiniętą w amaranty.

I tak goniły wypadki, jak tabun koni. Komendant po trzech dniach przeniósł się na ul. Mokotowską, gdzie w apartamentach Dymczy, b. posła do Dumy, mieszkał Czesław Świrski — a 29 listopada tego roku, w rocznicę listopadowego powstania, aby Historji i jej odwetom stało się zadość na całej linji, otworzył podwoje pałacu Belwederskiego, aby w trzy miesiące później przyjmować tutaj pokłon jako Pierwszy Naczelnik Rzeczypospolitej Polskiej.

Bo nietylko „Historja wciąż dla nas pracowała“, jak mówi Józef Piłsudski, ale On sam był i jest Historją Polski.

DWIE KSIĄŻKI

I. IDEOWY FORT TWIERDZY
MAGDEBURSKIEJ

SŁUSZNIE KŁADZIE GEN. SKŁADKOWSKI na pierwszej karcie swego pamiętnika z obozów koncentracyjnych: „BENJAMINÓW I SZCZYPIÓRNO: IDEOWE FORTY TWIERDZY MAGDEBURSKIEJ“.

Nie do pomyślenia byłby Magdeburg Józefa Piłsudskiego bez Szczypiórna i Benjaminowa i — naodwrot. Wogóle wszystko, co się wiązało z czynem zbrojnym Komendanta, wiadomo, wiązało się twardo w spłot logiczny i przede wszystkim romantyczny. Jakiś pragmatyzm, wyższego, nieznanego gatunku. Bo — czy znały dzieje jakiegokolwiek równie romantyczną historję, jak dzieje tych wiernych żołnierzy, którzy na cichy rozkaz Wodza rozpoczynają wojnę o głódzie i chłodzie, którzy na drugi, równie cichy rozkaz, odmawiają uzurpatorowi przysięgi i idą wraz z tym Wodzem na poniewierkę obozów koncentracyjnych, bądź tworzą nową, tajną jednostkę bojową, zmuszając naród do broni i — do wolności?! Historia nie zna podobnych dziejów, jak Legjony, jak Magdeburg, Szczypiórno, Benjaminów i P.O.W. Wypadek w dziejach jedyny, nie mający odpowiednika, nie mający namiastki, nawet w najgłośniejszych i naj-



fantastyczniejszych epopejach wojennych czy rewolucyjnych.

Jakże znamienny jest ów rubaszny, pełen humoru i swoistej wyniosłości dopisek gen.

Składkowskiego na marginesie deklaracji, którą podawali Niemcy internowanym do podpisu, że nie będzie ich, b. legjonistów, wiązała już odtąd „ż a d n a p r z y s i ę g a, a n i p r z y r z e c z e n i e, z a b r a n i a j ą c e p o s ł u c h u w o b e c w ł a d z o b c y c h“.

„...Ta śpijcie, dziady spokojnie! — dopisuje gen. Składkowski. — My Komendantowi nigdy nie przysięgaliśmy, a pójdziemy za Nim wszędzie, bez przysięgi...”

Istotnie, nikt tu nie przysięgał, a każdy dotrzymał, nieraz nawet o wiele więcej, niż mógł dotrzymać. Gen. Składkowski zaczyna swój nieoceniony pamiętnik od lipca 1917 roku, od marszu 5 pułku Legjonów z Rożan do Zegrza:

„...Szliśmy marszem lekkim i wygodnym, ale nie było wesoło. Był to ostatni marsz walcznego Regimentu Zuchowatych przed jego rozwiązaniem i rozproszeniem...”

Na oczach nieświadomych — w mniemaniu ślepców — rozpadało się zresztą wszystko do gruntu, skończone, zmarnowane, niepotrzebnie stworzone, zaprzędane, aby utonąć w niebycie. Raporty niemieckie meldowały:

„...Włóczenie się legjonistów polskich po wsiach, dzięki wrogiemu ich nastawieniu wobec Niemców, grzebie z biegiem czasu szacunek i autorytet władz okupacyjnych i wojska...”.

W głowach nieświadomych nie mieściła się jaskrawa prawda, że właśnie o to chodziło, aby był pogrzebany autorytet władz okupacyjnych i wojska niepolskiego. Że „tak to już było, iż ledwie zwalczył Legionista Piłsudskiego ugodę wobec Moskali, przyszło mu zwalczać ugodę wobec nowych zaborców: Niemców, cementując ludzi czystą ideologią Niepodległej Polski. Ideologja Komendanta...”

Nic też dziwnego, że znalazł się w Szczypiornie, w Benjaminowie, a mundur legionowy „mieli odtąd prawo nosić tylko... werbunkowcy Sikorskiego”.

22-go lipca 1917 r. już siedzieli w Benjaminowie: Składkowski, Fabrycy, Jarnuszkiewicz, Rouppert, Piestrzyński, Ulrych, Kostek-Biernacki, Burhardt-Bukacki, Trojanowski, Adam Koc i t. d., i t. d. — sama elita najistotniejsza, ze stu kilkudziesięcioma kolegami i kilkunastu ordynansami. Zrazu — jak powiada gen. Składkowski „...był m i o d o w y m i e s i ą c. Zdawało się, że druty kolczaste okręcono dokoła słupów dla ozdoby, na chybcika, na krótko, bo przecież jakżeby trzymały Szwa-by tyle luda po obozach? Więc łatwo byłoby zwać poprzez krzaki, gdyby nie — honor koleżeński, gdyby nie to, że koledzy siedzą w Szczypiornie, w dodatku w gorszych warunkach, więc solidarność nie pozwalała się wyłamywać“...

Nie cierpiętnictwo, nie messjanistyczny jakiś autosadyzm! Honor. No i to poczucie, ustalone z miejsca, że w danym wypadku bierność jest też formą walki. Ale dnia pewnego stanął po drugiej stronie obozu por. Styka, blady, jak ściana, i wyszeptał, chwytając przez druty rękę gen. Składkowskiego: „Komendant i szef aresztowani i wywiezieni do Niemiec!“ Wtedy dopiero „poczuli ciężar niewoli“, bo „czyż myśleli, że jest siła, która może zabrać im, żywym, żywego Komendanta?!“ Niektórzy pochorowali się na tę wieść, a Sawę-Sawickiego nagła wiadomość o Komendancie strąciła poprostu z nóg, bo miał chore serce. „W uszach zaś brzmiały słowa Heinego o Napoleonie: *Besiegt und zerschlagen das grosse Heer und der Kaiser, der Kaiser gefangen*“...

Ale natychmiast z wyniosłą dobroduszością swoją dodaje gen. Składkowski: „...Trudno, posiedzimy trochę, albo i więcej — to głupstwo. Od siedzenia jeszcze nikt nie umarł. Komenda Legjonów milczy, a my siedzimy. Każdy robi swoje“... I tym tonem zbywa gen. Składkowski wszystkie zgryzoty, wszystkie starcia i desperacje, jakimi były naszpikowane gęsto miesiące niewoli. Opowiada o tych 13 miesiącach Benjaminowa nie retrospektywnie, ale z dnia na dzień, na żywo, na gorąco, ukrywając te kartki przed oczami warty i szpiclów

niemieckich. Ja myślę, że wogóle ten ton, ten styl gen. Składkowskiego był wymarzoną formą podania dziejów bohaterstwa ukrytego, odrutowanego, trawionego jedynie wewnątrznie.

Dobroduszny uśmiech kryje wyniosłą dumę — humor otacza gęstą mgłą zdławiony liryzm, rubaszość maskuje wzruszenie, a poprzez wszystką lekkość swady narracyjnej, poprzez blask dowcipu, wybucha raz po raz morał najcudniejszej wierności. To nie jest ulica szeroka, ludna i gwarna, z której miliona okien zwiesza się symetrycznie i aż nudno milion sztandarów, to jest, jakby ktoś w noc pustą i smutną, prawie, że bezksiężycową, nagle otworzył okno zabite deskami i wywalił przez nie z któregoś tam podniebnego piętra sztandar stumetrowy, oślepiający, o specjalnej bieli i specjalnym amarancie. Starcia, rozłamy, porywy, gniewy i wątpliwości, wszystko sumuje ręką, która nigdy nie drgnie, gen. Składkowski. Czyni to drobiazgowo, lekko, mimochodem, mając wciąż przed oczami jedynie sumę, tę ostateczną, ten nieobliczony nigdy kapitał depozytowy narodowego skarbcza.

Z wnikliwością bardzo wytrawnego psychologa charakteryzuje gen. Składkowski ludzi, którzy z nim wtedy siedzieli, zdawało się beczynn timer, w obozie. Charakterystyka ta okazała się tak słuszną i historycznie tak wierną,

że pozostanie biografją tych ludzi, tyle Polsce zasłużonych i na tak wysokich stanowiskach dziś będących. Przykład: Adam Koc.

„...Wielu kolegom w pułkach i obozach ćwiczeń imponowała jeszcze wiedza i karność wojskowa niemiecka—Adam Koc wraz z ppor. Dobrodzickim założyli w Benjaminowie „Towarzystwo Analfabetów“, mające na celu przeciwstawienie się uczonościom niemieckim, drogą nawrotu do czystej ideologii z 6 sierpnia 1914 roku, cementując ludzi czystą ideologją niepodległości Polski, bez zastrzeżeń i bez aktywistycznych, ugodowych ukłonów w stronę Niemców. Musimy głosić bezkompromisową Ideę Obywatela Komendanta, musimy się uważać, mimo rozbrojenia, za oficerów i żołnierzy Polski i walczyć do końca...

...Adam Koc chodzi całymi dniami z por. Anatolem Minkowskim i umacniają się w wierze. Por. Minkowski pali się w czasie tych rozmów, jak jasna pochodnia wśród Nocy Zwątpienia. Skąd taki samorodek idei Komendanta, jak on, znalazł się w II Brygadzie, wyznającej głównie ideologję karności żołnierskiej?!...“

Jak wspaniale wyłania się z kart pamiętnika, na tle szarej nudy obozowej, niezłomny charakter Ulrycha, Trojanowskiego, Burhardta etc.! Jak ci ludzie, drgający pragnieniem czynu, potrafili znaleźć ujście dla rozpierających ich w niewoli sił żywotnych!

Jeden zakłada szkołę fechtunku, drugi — buduje plac tenisowy i futbolowy, nie bez sprzeciwów, bo co tu gadać? biegać, owszem, machać nogami i rękami, piłką i rakieta, owszem — ale czym się naje człek po tych ćwiczeniach fizycznych, kiedy Szwaby pasą stęchłą rybą i kaszą o wybitnym zapachu drobnych rodzimych gryzoniów?! Jedni kopią grządki i werbują kolegów do warzywnictwa, drudzy, jak Kostek-Biernacki, redagują pisma. Gen. Składkowski organizuje doksztalcające wykłady medycyny. Cudem zdobywa jakieś podręczniki chirurgji, jakieś Patologje Taljancewa i wogóle źródła wiedzy medycznej i naprawdę studja się odbywają, naprawdę szkoli młodych medyków i siebie do przyszłych zadań lekarza wojskowego. Bo myśli tylko o wojsku i jego potrzebach.

W to życie jednostajne i unormowane, wpada od czasu do czasu zgrzyt, z zewnątrz, z wewnątrz, z chmur jesiennych i zimowych, z dalekiej łuny, która świeci nad Warszawą. Rozwija się pewna różnica poglądów — rozwija się, oczywiście omijając teren tak niepoдатny, jak ci „z czarnej listy“, z niezłomnej. Jedni zachwycają się, naprzykład, gdy zjawia się w obozie jakiś dobrowolny więzień, drudzy się wściekają. To nie solidarność! To bezsens, to lukrecjowe cierpiętnictwo, to śmieszny mesjanizm! Ale rygor wojskowy narazie trwa,

polski rygor, bo polskiej Komendy Obozowej, której przewodniczą majorowie: Trojanowski, Fabrycy i Bukacki, aż do chwili, kiedy jednak następuje rozłam definitywny, kiedy następuje ostrzejsza wymiana zdań, kiedy jedenastu więźniów-oficerów opuszcza Benjaminów, podpisawszy dokumenty, dawno im przez Niemców podsuwane.

— Nie szkodzi, powiada znowu spokojnie gen. Składkowski.

Odeszli ci, którzy od początku nie rozumieli znaczenia Benjaminowa, nie czuli się związani ze Szczypiórnem i Magdeburgiem. Obóz skrzepł od chwili ich wyjścia...

Instynkt najwierniejszego żołnierza Komendantowego strzegł go zawsze od błędów politycznej natury, a to, co się nazywało rzekomem rozpolitykowaniem I Brygady, było tylko jakąś cudowną iniekcją, chroniącą ich profilaktycznie przeciw spustoszeniom licznych epidemij, szalejących wokół. Dlatego obozy Benjaminowa i Szczypiórna mogły nabrać tych specyficznych cech, znanych teozofji jako nauka jedynie spoczynku między dwiema epokami kosmicznymi. I dlatego najlepsi z tych obozów mogli tak dokładnie zdawać sobie sprawę, że stoją między temi epokami i że jeden ich fałszywy krok może zawazać nieodwołalnie w kosmosie narodu. I dlatego mogli wytrwać, choć wspaniałego ich

ideowego referendum nie zrozumiał jeszcze naród w owej chwili. A może, po części, nie rozumiał do dziś.

Gromy nie spaliły ich namiotu.

Kpt. Krzaczyński wciąż zwalcza mesjani-
styczne traktowanie obozu, por. Majcher i Ma-
chalski zajmują coraz jaskrawiej stanowisko
anarchistyczne — jeden chorąży zostaje po-
stawiony poza nawias życia towarzyskiego
w obozie, jako, że własnowolnie traktował
z Niemcami — Ślęzak Dobek, żołnierz pruski,
dostaje pół roku więzienia za przewożenie li-
stów por. Polkowskiemu. Polkowski wywie-
ziony pod sąd, pod sąd również stawiony
Paszkowski, za należenie do P.O.W. Szpicle
węszą, rewidują, władze kokieteryjnie podsu-
wiają rozmaite niewinne z pozoru deklaracje,
buntują ordynansów — chmury nad dachami
Benjaminowa są nie tylko czarne nieraz, ale
ołowiane. A oni spokojnie rozpoczynają wyda-
wać nowe pismo („Benjaminów“) i swoje zno-
wuż własne deklaracje obwieszczają:

„...Z pułku 2 i 3-go niewierzący w Niepo-
dległość stworzyli sobie walor polityczny pod
nazwą Karpackiej Brygady, którym operują
w swoich poczynaniach osobistej kariery. Ce-
lem łatwiejszego opanowania serc żołnier-
skich, sący się polityka w kształcie formal-
nego militarizmu, oskarżają jednocześnie
I-szą Brygadę o politykomanję. I gdy żołnierz

dążył do pchnięcia nieuznanej przez Naród i obcych Rady Stanu do polityki aktywnej, do zamachu stanu, do wyrwania wojska z rąk obcych — (deklaracja ostrołęcka), inni wytwarzali formuły i niemi żyli...” (pisze Minkiewicz z II Brygady).

C. K. Komenda Legjonów Polskich osłania matactwa majora Zagórskiego w Legjonach, a skutki są znane: „Wódz i twórca ruchu zbrojnego wraz ze swoim szefem sztabu w więzieniu, w obcym państwie, większość bojowego materiału oficerskiego w obozie jeńców, w innym najlepszy żołnierz. Ideowy materiał z poddanych austro-węgierskich na obcych frontach, na mięso armatnie przeznaczony. Zostało trochę zdeprawowanego oficera i trochę głodnego, nieinteligentnego żołnierza, a na ich czele Komenda Legjonów i triumfujący major Zagórski! Dokonał wielkiego dzieła! Sanacja przeprowadzona. Legjony oczyszczone. Zwyciężył!...”

Pozbawiono więźniów rang i szlif. Składkowski notuje to z uśmiechem: „...więź nasza duchowa z żołnierzami pogłębiła się jeszcze, gdyż odpadła różnica rang, a została jedynie zasługa krwi...” Głód cierpią? nic to. Pułk w Zegrzu ofiarował swoje oszczędności na polepszenie bytu jeńców benjaminowskich, a zaciężni ziemianie z Pułtuskiego nadsyłają prowianty. Salutować trzeba pruskim władzom obozo-

wym? Głupstwo. Nie będzie się nosiło czapek, nie będzie się salutowało.

Do Niemców nie czują specjalnego wstrętu: „pójdą, jak przyszli!” — powiada gen. Składkowski — tylko do swoich, którzy się obcym wysługują, czują wrzającą nienawiść. Oddźwięk jej znaleźć można w niejednej piosnce obozu:

By wypełnić kadry przyszłej Polskiej Armji,
co się dziś Korpusem Posiłkowym zowie,
po całej Warszawie hulają żandarmi,
o mój rozmarynie, rozwijaj się...

Wysłannicy Komisji Opieki nad Jeńcami odwiedzają ich, starając się przy sposobności wsaczyć w niezłomne serca parę kropel śmiertelnej trucizny. Kusi ich Rada Regencyjna, w osobie prałata Chełmickiego, zjeżdżającego hucznie i szumnie do Benjaminowa nato, aby powiedzieć parę tłustawych żartów i bukiecik schlebnych frazesów. Zbywają go niczem, choć honory, jako reprezentantowi Rady Regencyjnej, oddają. Czytywać wolno im tylko gadzinowe pisma, wszystkie — nomen omen — na „g”: „Godzina Polski“, „Goniec“ i „Głos“. Więc czytają... swoje własne biuletyny miejscowe i swego „Sprzymierzeńca“, redagowanego przez Kostka-Biernackiego, i uczą się, uczą do upadłego. Składkowski pracuje nad słownictwem polskiej służby sanitarnej,

Piskor nad wojennem słownictwem polskiem wogóle. Rozpisują ankietę na temat: kto chce na stałe, a kto tylko do końca wojny zostać w wojsku:

„...Ja — mówi Składkowski — naturalnie podałem się na stałe do służby wojskowej, aż do końca żywota. Oby tylko było Wojsko Polskie... Choć my, którzy na stałe w wojsku zostać chcemy, wyglądamy trochę na zupaków...”

Lecz powoli podciąga młodych medyków zpowrotem pod sztandar „zupaków“, w kierunku szlachetnego fachu wojskowego lekarza. Czasem ściska im gardła rzewliwość. Oto 27. 8 zaczęli Niemcy wagonować 5 pułk piechoty legjonowej w Zegrzu. Miał odejść na zawsze. *Richtung* — Przemyśl.

„...Koło godz. 4 popoł. zaczęły nas docho-
dzić dźwięki tak dobrze nam znanej orkiestry
pułkowej, dźwięki zduszone odległością i la-
sem. Wdrapaliśmy się na najwyższe piętro ob-
servatorium i tam, nagle, z za szczytów drzew,
buchnęły na nas głosy trąb. Wszystkie znane
piosenki i marsze szły do nas po raz ostatni
doliną Narwi. Słuchaliśmy ich z zapartym od-
dechem, jak urzeczeni, czując, że nie usłyszy-
my ich już nigdy...”

Czasem monotonię obozu przerywała czy-
jaś niedomoga, traktowana przez gen. Skład-
kowskiego tkliwie, a jednak z humorem. Oto
rozboleł np. ząb porucznika kawalerji Hanka-

Kuleszę, siłacza nie było jakiego. W ambulatorjum Benjaminowa była tylko jodyna, nie działająca już na przewlekły ból porucznika, no i kleszcze, któremi gen. Składkowski naciągał zazwyczaj struny swojej gitary. Ponadto gen. Składkowski nie odznaczał się specjalnymi zdolnościami dentystycznymi. No, ale trudno. Kolega wył z bólu, trzeba rwać. Dwóch kawalerzystów trzyma więc za ramiona swego wielkoluda-kolegę, choć toby absolutnie nie uratowało życia przygodnemu dentyście, gdyby... no, gdyby wielkolud nie był z natury cierpliwy.

Siedział jak trusia, ząb został wychwierowany i „...wisiał potem długo przed oknem mojem, przedmiot podziwu wszystkich kolegów, idących na obiad i kolację, bowiem przypominał kość mamuta, zawieszoną w przedsionku katedry Wawelskiej...”

Czasem jednak przychodziły gorsze choroby. Gruźlica ppor. Stefańskiego, niczem nieleczona, wreszcie sam gen. Składkowski rozchorowuje się na tężca. Przywożą go do Warszawy, do szpitala Ujazdowskiego, gdzie gospodarują Niemcy. Kiedy niebezpieczeństwo minęło, zaproponował mu *Herr Generalarzt*, aby wyszedł sobie po południu na miasto, na spacer, zanim pojedzie zpowrotem do Benjaminowa.

— Dziękuję posłusznie panu profesoro-

wi — odpowiedział generał Składkowski — ale w Benjaminowie jest uwięzionych 130 moich kolegów-oficerów. Nie chciałbym korzystać z wolności pod pretekstem choroby. Proszę więc posłusznie o uważanie mnie za uwięzionego narówni z moimi kolegami.

Ale kiedy wrócił do Benjaminowa i opowiedział „z dumą, jak odwalił profesorowi“, wcale się tem koledzy nie zbudowali. Przeciwnie, wpadli w złość, bo myśleli, że przywiezie im z Warszawy nowiny polityczne z pierwszej ręki: Romantyk! widzicie go! „Tak to jest z tymi kolegami! — kończy melancholijnie generał Składkowski. — Jeszcze się ten nie urodził, ktoby Legjoniście dogodził...”

Notuje też pamiętnik sceny puste i dziecinne, tchnące nieprzebranymi zasobami wesołości. Dorwali się oto np. raz do jakiegoś francuskiego romansidła, traktującego o debiutach miłosnych 12-letniej panienki, imieniem Suzette. Stęsknieni za kobietami wogóle, rzucili się, jak głodne wilki na książczyne, niektórzy przepisywali ją sobie, inni nagwałt po francusku się uczyli, aby ją móc przeczytać. Nagle trach! książdz kapelan Ciepichał zwałchał, że coś niedobrego się dzieje, książkę dopadł i rzucił w piec, ku niesłychanemu oburzeniu całego obozu. Chcieli się na nim pomścić i gdy znaleźli w którymś z dzieł naukowych,

anatomicznych, portret rozebranej, oczywiście, donaga artystki Olgi Desmond, mającej służyć za wzór „kobiety normalnie zbudowanej“, wsadzili wdzięczny obrazek pod poduszkę księdzu kapelanowi.

Rano znaleźli Olę Desmond wyrzuconą na dwór przez otwarty lufcik.

Deszcz nocny przybił papier do bruku i powykrzywiał harmonijne kształty „normalnie zbudowanej kobiety“. Biedna Olga Desmond, żeby przy całej swojej normalnej budowie, nie znaleźć schronienia pod dachem, nawet na jedną noc, w Benjaminowie!!!

Ale czasem zdarzały się wypadki o podłożu głęboko dramatycznym — nerwy napięte drżały i ściszały się pięści. Oto pewnego dnia np. zapowiadają Niemcy, że przyjeżdżają do Benjaminowa regenci. Wszystko, co żyje, myje się, pucuje, goli, strzyże i ustawia w szeregi. A wtedy urządza komenda niemiecka... rewizję osobistą i baraków. Był to podstęp ohydny, bo wcale regenci przyjechać nie mieli zamiaru. W odpowiedzi jeńcy oświadczyli, że odtąd są tylko jeńcami, że nie będą okazywać żadnej pomocy przy apelach, a gen. Składkowski z impetem oddał klucz od swego ambulatorjum komendantowi obozu na znak, że więcej funkcyj swoich sprawować nie będzie. Wszystko poza tem pochowali, schował też swój pamiętnik, dopisawszy: „...idziemy w rozsypkę ze

wspomnieniami i schodzimy w podziemia konspiracji jeszcze raz w życiu...”

Na to nastąpiły oczywiście akty zemsty ze strony Niemców. Przedewszystkiem zastrzelili chor. Szolkowskiemu ukochanego wyżła, Bekasa, na którego trzymanie dotąd dawali zezwolenie.

Po aktach brutalnej zemsty, Niemcy powrócili znowu do metody obléśnego kusicielstwa. Przedewszystkiem lekarzom zaproponowali objęcie urzędów po całej Polsce. Oczy się jeńcom zaświeciły do wolności i pracy zawodowej, ale — solidarnie odmówili i — dalej patrzyli z tęsknotą w stronę Warszawy, w jej światła odbite na niebie, wabiące i ciągnące ku sobie. „...Gdyby tak wprost iść na tę lunę i zająć pod jej sklepienie — wzdycha gen. Składkowski — toby człowiek był już w Warszawie...”

Ale rzewliwość opanowuje się szybko. Cierpiętnictwo, powtarzam, jest wciąż traktowane ze wzgardą. Nie było zresztą cierpiętnictwa, było dumne tolerowanie chwilowej przemocy z tem, że „tolerancja” owa odnosi się li tylko do cielesnej strony człowieka. Duch pozostaje wolny, a nawet zasilony nowemi sokami.

„Duch” gen. Składkowskiego nie zamykał się w pysze ekskluzywności. Każdy najnawniejszy ordynans znalazł w jego pamięci dobre słowo i koleżeńskie pozdrowienie. Nawet zwierzęta podciągał pod hasło „nie p o d l e-

głości“ — wszystko co żyło i szlachetne było w Polsce, bez względu na to, czy na dwóch, czy na czterech nogach chodziło, pracowało wspólnie z żołnierzem dla ojczyzny.

Kiedy im Niemcy w obozie zabili ukochanego wyżyła, na którego trzymanie zezwolili, a potem przez zemstę zastrzelili — jak wzruszające karty poświęca tej sprawie Składkowski w swoim „BENJAMINOWIE“.

„...Ja nie słyszałem — pisze — ale wielu kolegów twierdzi, że przez kilka nocy po zastrzeleniu BEKASA, słyszeli wyraźnie jego tak znane nam szczekanie w okolicy kasyna. Dusza psia widocznie nie opuściła odrazu obozu. Może irytowało BEKASA, że po jego śmierci, wraz z mgłami porannymi, zające wracają bezkarnie nad jego mogiłę, z soczystych łąk nad Narwią, by zapaść na dzień w piaszczystych kotlinach zagajników, ciągnących się na okolicznych wzgórzach. Może w szczekaniu swem wyrażał nam wdzięczność za wykopanie mu mogiły. Dość, że szczekał jeszcze przez kilka nocy i nikt u nas w obozie temu się nie dziwi. W ciągu kilku lat wojny zanadto zżyliśmy się ze zwierzętami, pomagającymi nam w walce o Niepodległość...”

Kiedyś, kiedy Generalł patrzył w Benjaminskiego na zalany światłem księżycą wzgórek, zabiło mu serce. Wyraźnie pał się tam SIWU-

TEK, dawny jego koń bojowy, który przed dwoma laty padł od kul kozackich.

„...Porucznik Sawa śmiał się ze mnie, mówiąc, że to koń niemiecki z obozu tak błyszczący, pokryty rosą w świetle księżyca, że wydaje się siwy...”

Rano okazało się istotnie, że żadnego konia niemieckiego tej nocy w obozie nie było. Wszystkie woziły „fasunek”. Był to więc duch SIWUTKA bezsprzecznie.

„...Komuś, kto spędził wojnę przy biurku i nie stykał się codzień ze śmiercią — konkluduje gen. Składkowski — wyda się to wszystko może śmiesznym. Ja wierzę w to, że GDY ŻYWI, CZY MARTWI, WEJDZIEMY DO POLSKI NIEPODLEGŁEJ, TO ZNAJDĄ TAM POKÓJ RÓWNIEŻ SZLACHETNE DUCHY RÓŻNYCH BEKASÓW I SIWUTKÓW”.

W orbitę tej pracy dla wyzwolenia Polski wciąga gen. Składkowski, tak jak ongiś ja w mojem „Braterstwie Ludów”, wszystkie stworzenia — czyni to tylko z wyższego punktu widzenia, z większą miarodajnością, jako ten, który z temi najwyższymi i najniższymi stworzeniami przeszedł mękę frontu i beznadziejność obozów koncentracyjnych. I dlatego u niego brzmi ta nuta cieplej, bezpośredniej, serdeczniej, niżli mój bądź co bądź eklektyzm literacki...

Tymczasem powoli, powoli zbliżał się dzień wolności. Kogo mieli Niemcy skusić — tego skusili, kogo wywieźć chorego, tego wywieźli, pozostała sama esencja buntu t. zw. C z a r n a L i s t a, groźna liczba 27 oficerów! Ale i dla nich wybił ostatecznie dzień wypuszczenia z niewoli.

2. 8. 1918 roku pisze gen. Składkowski:

„...Wyszliśmy z Komendy Obozu, ściskając w rękę papiery „wolnościowe“. Najsympatyczniejsze z nich jest Prawo Jazdy, czyli *Militär Farschein* II klasy na wszelkie pociągi, nawet pośpieszne. Tymczasem wypuszczają nas stąd chyłkiem, po kilku, jako już oswojonych, i ostrzegają nawet przed chodzeniem z kolegami po Warszawie. Widocznie trzeba będzie jeszcze dużo pracować i walczyć, nim będziemy wolni, jako żołnierze wolnej Polski, z Komendantem na czele. Zwiedzamy po raz ostatni zabytki Benjaminowa. Oto miejsce naszego rozbrajania — oto Góra Oliwna z jej wieżą i miejscem na ołtarz polowy. Łąźnie — miejsce naszych jedynych rozkoszy fizycznych w ciągu całej zimy (myślę o kąpielach i natryskach!). Kasyno, gdzieśmy mniej jedli, ale zato spędzali długie wieczory zimowe, gdzie odbyła się rewizja i przedstawienie Szopki. Oto zarośnięta ostami, ogrodzona kamieniami mogiła Bekasa. Plac tenisowy i footballowy — poniechane zupełnie tego lata.

Wreszcie Lunapark i nasz ogród warzywny. Jest to widoczny ślad pozostający po naszym pobycie w Benjaminowie...”

Pamiętnik dobiega końca, przypieczętowany wizerunkiem pierścienia z napisem „Benjaminów“ i mocnymi słowy: „...W trzy miesiące później Peowiacy, Wehrmachtowcy, Dowborczycy, Szczypiórniacy, Benjaminowczycy, dezertjerzy z armij zaborczych i wszyscy, kto żył — rozbierali okupantów niemieckich. Haśleem był okrzyk: WRÓCIŁ KOMENDANT!!! Ten okrzyk zbudził Polskę z Wiekowego Snu Niewoli...”

Nie można mówić, że książka gen. Składkowskiego powinna uczyć innych, jak się piśsze wspomnienia z czasów, gdzie wzniosłość, gdzie bezprzykładny patos zdarzeń potęrał o szarą prostotę codziennego życia. Tego się nikt nie nauczy. To pozostanie może nawet tajemnicą gen. Składkowskiego, nie do naśladowania.

Byli tacy, którzy go przyrównali do Paska. Myślę, że dlatego, iż on jest jedynym narratorem z dziedziny burzliwych ostatnich naszych dni zamaszystym i zarazem rubasznie szczerym. Ale w generale Składkowskim, w jego stylu i w jego formie wypowiedzania się, nawet językowo, tkwi inny pierwiastek, niż w Pasku. P. Jan Chryzostom co przeżył, to

opowiedział, może koloryzował, może nie, ale przeżył, opowiedział i skończyło się. Jest w nim o swoistym uroku skarbnica obyczajowości i historycznego dokumentu i jest wartościowy dokument polszczyzny XVI w. W generale Składkowskim, w jego mównictwie żołnierskiem, jędrnem, drgającym życiem i dobroduszną wesołością, dźwięczy wciąż, w najtajniejszej głębi, jak w chropawej muszli ocean: powaga idei, moc niezłomnej a wiążącej na śmierć przysięgi, coś, co przyciąga, uczy, zawstydzą, karci, gromi i coś, co rozwiązuje, na oczach naszych i przyszłych pokoleń nietylko, jak autor pamiętnika nazwał: „problem Benjaminowa“, ale problem całego tego seraficznego okresu Legjonów, obozów, krat więziennych i organizacji bojowych, tajnych, zaszczytnych i zaszczipielowanych.

Jest tu jakieś huraganowe podzwonne polskiemu warcholstwu i wysublimowanie zarazem cnoty obywatelskiej. Nikt jeszcze, kładąc motto jakieś na początku swej książki, nie wytłumaczył jego znaczenia tak żywiolowo, każdą literą dzieła, każdym wierszem, choć bez wyraźnych odsyłaczy, jak to uczynił w swoim pogodnem *Silva Rerum* generał Składkowski, rozpoczynając od słów: „Benjaminów, ideowy fort twierdzy Magdeburga“. Dlatego musiałam niniejsze karty dodać do mojej o Magdeburgu książki.

Gdyby byli wówczas pojęli Niemcy, czem się stało dla dziejów Polski to skondensowanie rozpraszającej się siły legjonowej, wraz z jej Wodzem, w izolacji drutów kolczastych, byłiby napewno rozegnali wszystkich na cztery wiatry jak najśpieszniej i zburzyli Magdeburg, Szczypiórno i Benjaminów.

Wiadomo przecież, że nagromadzenie materjału palnego na drobnej, ściśle zwartej przestrzeni, musi wywołać długotrwały wybuch, o skutkach nieprzewidzianych nigdy.

Lecz całe szczęście, że okupanci tego nie zrozumieli i całe szczęście, że zrozumieli to wlot ci w fortach zamknięci.

To też prawil słusznie Boruta w Szopce w Benjaminowie:

Tu błotem rąk swoich nie zmażę,
tu wszyscy, jak psy wierne, leżą na sztandarze...

II. PACYFIZM A PIETYZM

(O CZEM SIĘ MYŚLI NAD KSIĄŻKĄ GEN. SKŁADKOWSKIEGO: „MOJA SŁUŻBA W BRYGADZIE“).

W KAŻDEJ TWÓRCZEJ DZIEDZINIE, myśl autora musi przechodzić anomalię trzykrotnej materjalizacji: raz dokonywa materjalizacji myśli własnej sam autor — następnie procesu tego dokonywają panowie

krytycy, a wreszcie podejmują się tego na własny rachunek czytelnicy.

Tylko Witkiewicz zbywa te procesy wzruszeniem ramion cynicznym i nieufnym i powiada że „gadania o materjalizacji myśli są tak samo bezsensowne, jak np. teoria o kalafioryzacji lokomotywy...“ Dobrze, że nie palnął... „lewatywy“, bo wtedy bylibyśmy pewni, że pije wprost do gen. Składkowskiego, który znaczący ów emblemat umieścił na okładce swego fenomenalnego pamiętnika, skrzyżowawszy go z mieczem.

Co do tego skrzyżowania — mój Boże! podobnemu konkubinatowi mogła tylko sroga wojna pobłogosławić, ale, że zawsze dzieci wojny, dzieci przypadku, dzieci miłości, są najurodziwsze, więc i książka gen. Składkowskiego jest urodziwa ponad miarę. Lecz — nie o niej miałam mówić. Miałam mówić o jej refleksach na wodach dalekobieżnych — ach! nawet „o d b i e ż n y c h“, jeśli porównamy jej temat z myślami, które nasuwa.

Wiele nocy nie przespałam z racji tej książki, tak się ją czytało łakomie i nie lubiło przerywać. A w dzień czasu na czytanie niema. Jest kierat. Zresztą ów fakt nocy nieprzespanych nic o pamiętniku gen. Składkowskiego nie mówi, bo już Edison zauważył, że sen, to pozostałość epok dyluwialnych, kiedy człowiek

spać, bo poprostu nic lepszego nie miał w beznadziejnych ciemnościach do roboty. A przeczytać takie dwa tomy, korpulentniejsze niżli ksiądz Wujek, to nielada robota! Musi być w nich jednak coś nieskończenie pociągającego, zniewalającego i zastanawiającego, skoro taki niefachowiec, nieżołnierz, niekrytyk, nie historyk, jak ja, przeczytał bitych stron 750. A teraz, przeczytawszy — w dodatku rozmyślał; funkcja wtórna, lecz niemniej fatygująca.

Tak jasne stały się po tej lekturze niektóre sprawy zawikłane, pozornie nie mające nic z tematem Służby w Brygadzie wspólnego! Bo, dziwna rzecz, z kart napełnionych najczystszyim ekstraktem wojennym, dzwoniącym ostrogami, surmą, szczękiem i śmiechem bojowym, wyłoniło się oblicze obce, wręcz „p r z e c i w n e”: zagadnienie pacyfizmu. A właściwie walny komentarz do tego zagadnienia. Jakże wygląda ów komentarz?

Oto — dla każdego z nas, którzyśmy na wielką wojnę patrzyli, zagadką było nierozwiązalną, że po owej wojnie zagadnienie pacyfizmu nie okazało się tak łatwe, jakby — z pozoru sądząc — być powinno. Zdawało się przecież, że właśnie nasza generacja, nasycona zbliska, doraźnie, okropnościami rzezi pięcioletniej, nabierze takiego do krwawych zatar-

gów wstrętu, że ona i tylko ona zdobędzie się na owe definitywne, upragnione, wieczyste już zażegnanie poczynąń orężnych. Zdawało się, że nikt inny, jak tylko matka, która straciła na wojnie najdroższego syna, wnuki swoje może wychować w głębokiej czci dla idei rozbrojeń. Że nikt inny, jak młody nauczyciel, którego ojciec poległ na froncie, a brat starszy okaleczał stuprocentowo — może wpoić w swych uczniów stuprocentowy pacyfizm.

I, zdawało się, że ten fizyczny pęd ku zaspokojeniu pacyfistycznego głodu i marzeń o absolutnej *security* nie spotka na swej drodze żadnych już przeszkód, ani tam. Cóż wstrzymać bo może kucie żelaza na gorąco, wyciosywanie prawa wieczystego pokoju i wieczystej abominacji do armat i gazów trujących, dopokąd się jeszcze nie zagoiły rany wielkiej wojny, dopokąd jeszcze nie zarosły groby zapomnieniem?

Bo jednak, wiadomo, zapomnienie przyjdzie — bo jednak, wiadomo, rany się zagoją i nowa fala gniewu i zaślepienia może uderzyć w ptasie mózgi narodów. Tak sądziłby należało.

Mauzolea Nieznanego Żołnierza miały być tym rzeżącym, bezustannym okrzykiem przeciw wojnie w każdej stolicy każdego kraju. Defilady wojsk pobitych i zwycięskich miały być stałym memento konieczności zbrojeń mię-

dzynarodowych. Opowiadania o okrucieństwach generalnej mordowni miały odstraszyć młodsze pokolenie. Sztandary, podziurawione kulami, huraganem bitew poszarpane i wyziewami cjankali spalone, miały spocząć w muzeum, jako dokument rzeczy minionej, na zawsze minionej. A pieczęcią poniekąd pewności, że to się nie odstanie już, miały się kłaść chyba same serca ludzkie, te osierocone, złamane, okrwawione, jeszcze nieuleczone z bólu i rozpacz.

Logicznie rozumując, tak być musiało. Teoria bowiem jest teorią, ale to, cośmy sami przeżyli naocznie, przecierpieli, obejrżeli twarzą w twarz, jest jedynym argumentem i nie tak łatwo dającym się zbyć zagadnieniem. To też nikt się nie zdziwił, kiedy naszemu pokoleniu, które przeżyło, przecierpiało i obejrzało zbliska krwawy karuzel wojny — narzucono impetycznie dylemat pacyfizmu. Zdziwiło tylko, że dylemat ten spotkał się z niespodziewaną zgola trójwymiarowością oddźwięku, zamiast spodziewanego uniwersalnego entuzjazmu.

Znaleźli się najpierw ci dynamiczni, zziarani entuzjaści i — dziwna rzecz — wśród nich właśnie uderzał najczęściej ton fałszywy, dyszkan, nie budzący zaufania. Poprosto czuje się, że jak fabrykant konserw czy protez traktował wojnę jako biznes, tak ów drugi, fabry-

kant ideałów, traktuje jako biznes pacyfizm. I ten i tamten mają moc wykrętnych odsyłaczy. Fabrykant protez chlubi się zaspakajaniem doraźnych potrzeb — ożywieniem przemysłu krajowego, hinterlandowego etc. — a fabrykant ideałów — koniecznością uodporniania ludzkości na dzikość instynktów, koniecznością poprostu profilaktyczną.

Pięknie. Nawet podejrzawsze formy tych rycerzy przemysłu, realnego i abstrakcyjnego, nie przynoszą ujmy samemu zagadnieniu, gdyż najbardziej rajski ptak ma swoje pasozyty. Nawet to nie psuło szlachetnej linii zagadnienia, że zasadniczo oba owe klany, realny i abstrakcyjny, rekrutowały swych wojowników z pośród tych, którzy... najmniej wojny zakosztowali, bezpiecznie zadekowani pod kątem zdrowia, chleractwa i... rasy.

Drugimi z szeregu są ci obojętni zjadacze chleba: gatunek ślimaczy, uodporniony, tak czy tak, na wszystkie bolączki świata. A w końcu przychodzi ta grupa, w reakcji na hasła trzecia, najdziwniejsza, niezrozumiała, o zarysowującej się dramatycznie rozterce duchowej, o pewnej nieśmiałości, powściągliwości gestu, o jakimś dojmującym akcencie rozpaczy i szyderstwa.

Zasadniczo, nie można pojąć, co za rozterka duchowa wkrada się w tę tak jasną dziedzinę, jak sprawa rozbrojenia ludów. Świado-

ma, czy bezświadoma troska o bezpieczeństwo własnego kraju — Polski naprzykład, mającej najfatalniejsze położenie geograficzne w Europie, ściśnionej prasą dwóch wrogich, doniedawna łączywie imperjalistycznych państw? Nawet i to nie, bo i na to są argumenty: hasło pacyfizmu musi wszakże paść jednogłośnie, uniwersalne, pańswiatowe, tak, że z chwilą rozbrajania się ludów, nie będzie już żaden naród indywidualnie zagrożony, a więc wysiłek ku przyspieszeniu tej chwili musi być zbożny i logiczny. Cóż więc rzuca cień na najszlachetniejsze rzesze społeczników, uczonych, literatów, ideowców?

Naprzeciw oto humanitarnej i niezaprzeczenie mądrej idei pacyfizmu wychodzi z dna duszy naszej stwór niezakłamany, choć nieuchwytny: PIETYZM i staje jej na drodze, z palcem na rozmodlonych wargach, milczący. Cóż z tego, że tych żyjących, tych przyszłych, chronić musimy przed losem tamtych, którzy śpią dawno pod wielokrotnie już poózkłą darnią, i tamtych, którzy się męczą, oślepli i okaleczali, i tamtych, którzy do końca życia pozostaną niepokieszeni, bezdomni, bezrobotni, bezpańscy?! Cóż z tego, kiedy właśnie nam, świadkom naocznym bohaterstw nadludzkich i najwspanialszego koleżeństwa broni, stoi przed oczyma wciąż widmo bezprzykładnej

ofiary, złożonej indywidualnie i zbiorowo marzeniu o wolności?

Cóż z tego, kiedy nas dławi za gardło myśl, iż nie można tak skoro złamać miecza, który dopiero co wypadł z ręki stygnącej — że nie można deptać świeżych mogił i kamieni rzucać w ideały bojowe tamtych, poległych, czy żyjących wśród nas, heroicznych mohikanów zbrojnego Czynu. Cóż z tego, kiedy nie możemy zapomnieć, że nosił ową maciejówkę szarą największy Wódz i Wskrzesiciel naszej Ojczyzny, choć wiemy, że nie na tej maciejówce skończyło się Jego przeznaczenie, że od niej się dopiero zaczęła istotna karta męża stanu. Kiedy nie możemy zapomnieć, że w mundur żołnierski były przyobleczone całe zastępy nieustrudzonych, zabitych, poranionych, zaginionych, straconych — jakże więc nieść to wszystko do gablotki muzealnej, w takt hymnów pacyfistycznych — gorzej!!!! Jakże tem straszyc dzieci, jako narzędziami zbrodni, sprzętem niehumanitarnych poczynañ hañbiących, znakiem „ohydnej, przebrzmiałej koncepcji“, iż wolności i całości Ojczyzny broni się krwią?

Inaczej nie da się przeprowadzić koncepcji drugiej, odmiennej, dopóki się nie wznieci wstrętu do koncepcji poprzedniej.

Otóż, naszego pokolenia wojennego na to zaparcie się nie stać. Może pokolenia przyszłe, kiedy się oddalą od wspomnień, kiedy z ol-

brzymiej perspektywy spojrzą na zatargi, na samo pojęcie „nie woli“? Może im się uda oparafować księgi, te, które dla nas są zbyt żywe jeszcze i dojmujące w treści.

Nam nie. Nam, pokoleniu wojennemu i przedwojnemu. Zasadniczo przyznamy rację pacyfistom, my, powiedzmy, Polacy, lecz serca nasze płakać będą w nieutulonej skrusze przed mglistym, przeczystym ołtarzem wojny o Niepodległość. I kto wie, czy jeszczeby nas nie pokonała szerokorżutna, olśniewająca teza pacyfizmu, spulweryzowana na najstraszniejsze postacie ukłonów w przeszłość i szybkiego odejścia w przyszłość bezpowrotną, gdybyśmy patrzyli tylko na nieco zbyt zawrotne i wysokopienne znamiona bohaterstwa, na nieosiągalnie górny ton zbrojnego czynu niepodległościowego — ale jest coś bardziej przystępnego i wiążącego nas, coś lunarnie krępującego naszą wolę, coś nie do obalenia i tego właśnie ewangelją jest pamiątnik gen. Składkowskiego.

Mam na myśli: POGODĘ OFIARY. Ową uśmiechniętą hojność, ważniejszą, niż same rany i sama śmierć. Nikt dotychczas nie wyraził tej pogody z podobną naturalnością i bezświadomością wyraźną, jak gen. Składkowski. I dlatego ta książka jego stała się dokumentem.

Któryś z krytyków, pochopnych do szabło-

nizowania powiedział, że gen. Składkowski najlepiej ujął duszę polską w słowach: „...szedłeś, bratku, na wojnę z tem, że masz się z miejsca położyć do grobu — dla historii, mówileś. Tymczasem, czekaj bracie! jak ci się wszystkie bebechy z głodu porozlatują, to zobaczysz, że dla Polski musisz jeść i żyć, a nie umierać...”

Nie! Nie tu dał wyraz nowej duszy polskiej gen. Składkowski, ani nie w tem znaczeniu, co krytyka chciała, objaśnił istotę sprawy bohaterstwa żołnierskiego. Przeciwnie! Autor udowodnia, że właśnie dlatego, iż polski legjonista szedł w głębokiem, nawskróś męskiem i dziecinnem zarazem przygotowaniu na śmierć za Ojczyznę, na romantyczną, patetyczną śmierć, mógł być takim, jakim był, mógł się dla tej Ojczyzny bić i — dla niej później żyć. Tylko dlatego.

Niema krzyżma ponad krzyżmo gotowości śmierci i tylko tacy pomazańcy mogli dokonać cudu, którzy byli pewni, że muszą obowiązkowo w pierwszej bitwie zginąć i którzy się na to zgodzili, tak spokojnie, rażno, pogodnie, tak naturalnie i bez patosu, jak to nam wykazały pamiątki gen. Składkowskiego.

Są one Księgą Objawienia do pewnego stopnia dla szukających sprawdzianu, czem był rozmiar polskiego czynu zbrojnego, indywidualnego i zbiorowego — są poprostu olśnie-

niem w tym swoim braku samopoczucia własnej wartości, wartości od strony, jako się rzekło, najcenniejszej (pogoda ofiary!) aż po sam brzeg wypitego kielicha, mianowicie aż do owego zdziwionego, naiwnego, chłopięcego okrzyku:

— Tyle aż, znaczy, potrzeba ofiar, aby iść naprzód do Polski Niepodległej?!?!

Książka gen. Składkowskiego — to akt generalnej absolucji dla nas wszystkich, którzy pojmujemy ważność idei pacyfizmu, a jednak wciąż wsłuchani jesteśmy w niemilknący dla nas szczeł wyzwoleniowego oręża.

REHABILITACJA NIEUŻYTKÓW

I. PIELGRZYMKA NA WSCHÓD

W GRUDNIU 1934, W PRZEDEDNIU imienin Marszałkowej Piłsudskiej, pojechałam do Jej kątów rodzinnych, na Suwalszczyznę.

Wyruszyłam z Warszawy w płaszczyku przewiewnym i z parasolem mokrym od deszczu, a zastałam w Suwałkach... 12° mrozu. Jednak to północ! Gdzieś tam od Ładogi wieje po dawnemu lodowaty wicher, choć Suwałki, zamknięte w zielono-szafirowym futerale swych jezior i lasów, uchodzą za jedną z najzdrowszych w Polsce miejscowości.

Ale — o ile mróz ściska przyrodę, o tyle uśmiech ludzki jest tam ciepły, o tyle dobroduszość i uprzejmość promieniują tam z nie-spotykaną w innych dzielnicach pogodą. Nie tylko autochtoni, lecz nawet obywatele z innych dzielnic tu przybywający — bo naprzykład w wagonie pomaga mi, informuje i kufferki dźwiga nieznajomy oficer wyższej rangi, nie byle jaki, bo z szeregiem najwspanialszych orderów, aż do najcenniejszego krzyża Niepodległości włącznie.

Zwraca mi najpierw uwagę, że jeździmy po całej Rzeczypospolitej wagonami fabrykatu polskiego, że ciągnie nas parowóz polski, że wszystko to jest tak piękne, tak miłe, tak świetne — koleje w dodatku punktualne, jak

nigdzie na świecie — że tyle w Polsce przybywa mostów, tam, budowli, szkół, choć nie ustają krakać malkontenci, jakoby się nic nie robiło, jakoby było źle i coraz gorzej. Bardzo się tem bawi i irytuje zarazem mój towarzysz.

Zbliżamy się do Łosośnej.

— Chyba tu niema łososi, panie pułkowniku — pytam — skąd więc Łosośna?

— Niema łososi, ale, proszę pani, „z a t o“, rzecz dziwna, w małej rzeczce miejscowej są pstrągi, mieszkańcy wyłącznie górskich potoków...

II. M N I S Z E D O M I N J A

WYSIADAM. LOKUJĘ SIĘ W POCIĄGU zdążającym do Suwałk, do dawnych kamedulskich latyfundjów. Cały ten olbrzymi teren, najbardziej malowniczy pod względem krajobrazu i najbogatszy ongiś w lasy, zwierzynę i ryby — 36 wsi i miast oraz 29 jezior — małe oceany poprostu!!!! trzymali od roku 1667 w krzepkiej garści biali ojczaszkwowie, reguły św. Benedykta i Romualda. Rządy sprawowali arcywesoło, bo wolni byli od wszelkich podatków, konsystencyj, hybern, podymnów, przechodów i lokacyj żołnierskich. Wszystek dochód, niekwestjonowany i niekontrolowany, szedł na ich własny użytek. Uporządkowali

wprawdzie kraj dziki, pobudowali miasta i warownie, wsie i klasztory, ale nieźle się to opłacało „ubogim“ kamedułow! Spławiali Niemnem przepastne bogactwa lasów i jezior — drzewo budulcowe, rybę suszoną — spławiali przez Kłajpedę do Anglii potaż i popiół, gdyż bez końca mieli bud potażowych po borach królewskich, zboże wozili do Królewca po tyśiąc podwód rocznie, piwnice ich (zachowane do dzisiaj) pękały od składów: słynne miody, wina i piwa!

Mimo zgrzebnej, białej szaty, surowej reguły, nakazującej ubóstwo, samotność i posty wieczyste, bez stykania się z ludźmi, bez żadnej pracy osobistej, oprócz modłów i kopania grządek — żyli jak magnaci. Parki okalały ich sadyby, przepyszne zwierzyńce pełne łosi, jeleni, niedźwiedzi, wilków, lisów, sarn i zajęcy — cudowne sady, do których nikt oczywiście nie miał przystępu, prócz owej w czepku urodzonej garstki mnichów.

A wogóle wszystkich razem, było ich... tylko dziesięciu.

Za czasów Stanisława Augusta dopiero zaczęto się lekko dobierać do ich kalety. Pojawiła się broszura CYGAN CNOTLIWY, atakująca ostro i szyderczo absolutną dla kraju bezużyteczność tych niezmierzonych bogactw wigierskich (*Eremus Insulae Vigrensis*):

„...Piękniż mi są to pustelnicy — pisze

Wigierski pokamedulski klasztor nad jeziorem.



autor — co po kilkanaście na głowę mają folwarków, a w każdym najmniej sto osady kmiecia i po całej Litwie jeziora! Licząc tedy, już nie intratę, ale poddanych, to na każdego wigierskiego kamedulę wypadnie więcej niż sto pracowników. Do Królewca corocznie trzy razy idzie z krescencją trzysta podwód, której tam zapewne nie oddają gratis... A gdzież podziwają te sumy, kiedy szeląga na nic nie wydadzą, mając nawet robotnika bez pańszczyzny, bo wszystkich zasądzonych winowajców poblizsi obywatele temuż klasztorowi oddają na karę do taczek...”

Podobne ulotki i opinia publiczna uczyniły swoje. Ludzie wierzyć nie chcieli, aby takie bogactwa leżały dla państwa odłogiem. Kazało się więc pewnego dnia „w y k u p i ć” eremom kamedulskim, co spełniły, jęcząc i dla rzekomego ubóstwa wyprzedając na ten cel zabytki sztuki i darowizny w cennych sprzętach liturgicznych, aby zebrać sumę... 700 dukatów węgierskich.

Nikt się nie zastanowił nad tem, że albo oszukiwali skarb państwa, twierdząc, że nie mają kapitałów i muszą niszczyć historyczne dzieła sztuki — albo, że gospodarowali fatalnie i bez pojęcia, skoro z dóbr podobnie książących nie potrafili wyciągnąć 700 dukatów. Sejm w r. 1775 nałożył na nich pobór podymnego, ale klęską definitywną dla eremu stał

się dopiero zabór pruski. Nowomianowany biskup wigierski Michał Karpowicz, w porozumieniu z władzami pruskimi, sownie zresztą przez nie dotowany, wyrzucił kamedułów z ich odwiecznych latyfundjów i objął w posiadanie wyspę Wigry wraz z klasztorem, kościołem oraz pensją 4000 talarów rocznie. A uczynił to tak radykalnie, że nie stało nawet podwód, aby kamedułów odwieźć do Bieleń pod Warszawę.

Lud przechowuje tradycję ich wyzysku i ich niepracowitych dziejów. Opowiadają, jak mnisi, wygnani z klasztoru i dóbr, odchodzili z zapalonemi gromnicami, aby biskup Karpowicz „skapiał jak te świeczki” i jak go przeklinali, całą drogę Boga na klęczkach prosząc o karę tak, że „aż kolanami rów wyżłobili od Magdalenowa ku Tartakowi”. A tyle miało się tam nasypać przekleństw mnisznych, że „ani las, ani wrzos tam nie porasta”, kędy oni szli, szaty rozdzierając. Kolumna, która do dziś stoi u wjazdu na półwysep koło Magdalenowa, jest w podaniach ludu opiewana jako więzienie, w którym zamurowano krnąbrnego jednego kamedułę. A ponieważ w jeziorze wigierskiem żyje ryba, niespotykana w tych kątach, mianowicie sieja, więc taką uklecono dokoła tego zjawiska legendę.

Pewien kameduła, marząc o tłustej i sma-

kowitej rybce, którą jadał ongiś we Włoszech, a której tu dostać nie mógł, wezwał do pomocy djabła. Sprzedał mu duszę o świcie umową, w której djabeł się zobowiązał do północy tego samego dnia dostarczyć sieję do jezior klasztornych. Gdyby się spóźnił o minutę, traci duszę kamedulską, kąsek równie smakowity dla djabła, jak sieja dla kameduły.

Djabeł pognał do Włoch, złowił rybę i leciał na złamanie karku zpowrotem, aby zdążyć przed północą do klasztoru w Wigrach — lecz przeliczył się z chytrą mnichą! Kameduła bowiem posunął wskazówki zegara, gdy się zbliżała północ i — djabeł dostał guzik, a ponadto upuścił z irytacji drogocenną rybę do jeziora kamedulskiego. I tak duszy mniszej nie dostał, klasztor miał odtąd siei w bród, a pamiątkowy zegar wieżowy znajduje się dzisiaj w Suwałkach.

III. N A U K A S T U L E C I

PRZEJRZAWSZY KRONIKI, PISZĄCE o tych niezmiernych obszarach i do-
brach, nie przynoszących ani złamanego szelą-
ga zysku skarbowi Rzeczypospolitej przez ciąg
dwóch wieków, a bogacących tylko dla nikogo
nieosiągalne skarbcie klasztorne, czytamy
z uśmiechem O d ę d o K a m e d u ł ó w, przez

ks. Kurdwanowskiego, sufragana warmińskiego, ułożoną:

Nie chodzą w szubie, chronią się godności,
mają za błoto światowe marności,
mięso, pleć biała, gdzie oni mieszkają,
miejsca nie mają...

Jak z płcią białą bywało, niewiadomo, ale, że światowemi marnościami nie gardzili, ze szkołą własnego państwa, to pewne! Oprócz Wigrów, mieli eremy pod Krakowem (*Eremus Montis Argentini*), w Rytwianach, pod Warszawą (*Eremus Montis Regii*, gdzie — nawiasem dodając — spoczywa w jednym z bocznych filarów serce księżnej Gryzeldy Wiśniowieckiej, żony wielkiego Jeremiego, a matki mniej wielkiego króla Michała). Dalej mieli klasztory w Bieniszewie, w Szańcu (*Eremus Marchionalis*) i w Pożajściu, nazwanem *Eremus Montis Pacis*, dla Krzysztofa Zygmunta Paca, który klasztor tu ufundował.

Wszystkie te eremy były tak niewiarygodnie bogate, że kiedy papież Innocenty XI planował wyprawę przeciw Turkom i potrzebował na nią dużych sum, przekraczających ówczesną możność... możnowładców, zdecydował się skasować polskie eremy kamedulskie i obrócić ich fortuny na cele krzyżowe. Byli wszakże kameduli najbogatszymi nie tylko w Polsce, ale na całym świecie zakonnikami.

Lecz dzięki krezusowym darom, w postaci obiecanych modłów i ofiarowanych futer, zwierzyny, win, miodów i innych trunków, znaleźli dość protektorów wśród panków Korony i Litwy i — zostali przy swojej własności nietknięci.

Pierwszy padł Szaniec, jako najmniej uposażony przez margrabiego Gonzagę Myszkowskiego, ostatniego z tego rodu. W roku 1819 przeszły szanieckie dobra klasztorne do rąk hr. Wielopolskich, spadkobierców fundatora. Milczą kroniki o tem, jaką rekompensatę dali Wielopolscy ustępującym mnichom.

W Małopolsce posiadają kameduli do dziś przeszło 450 hektarów ziemi i lasów, choć jest ich tylko kilkunastu, nie zajmujących się niczem, prócz pacierzy. Pomni na czarowną przeszłość, nie zadowolają się tem bynajmniej i starają się wciąż o zdobycie nowych terenów w innych dzielnicach, zapomocą czy to rewindykacji, czy to nowych legatów. Z całą energją powinny się władze państwowe temu sprzeciwić, jako, że mieliśmy już dosyć dowodów w historii, jakim niewypłacalnym, bezużytecznym ciężarem dla kraju są dobra klasztorne. A jak pojmuje swoje obowiązki obywatelskie sam kler katolicki, mieliśmy dowód na Pożyczce Narodowej, na którą kler z całej Polski ofiarował w sumie mniej, niż... warszawscy lekarze!!!! Mimo tego, pozwalamy

na wywożenie z ubogiego naszego kraju milionów na zagospodarowywanie kolonij angielskich, francuskich, belgijskich, holenderskich, na „świętopietrze“ i t. p.!!

Jeśli chodzi o Suwalszczyznę, dopiero wielki podmuch wolnościowy oczyścił i zrehabilitował wobec ojczyzny szmat ziemi, dotychczas jakby obcej i niczem z krajem niezwiązanej.

IV. ŚLADAMI PIERWSZYCH KROKÓW ALEKSANDRY PIŁSUDSKIEJ

SUWAŁKI CIĄGNĄ SIĘ OD DWORCA nie kończącą się linją pryncypalnej ulicy. Właściwie nie jest to miasto, tylko zabudowany domami trakt. Do rzędu miast, zresztą, został ten dawny folwark kamedulski wyniesiony dopiero 3 grudnia 1715 r. W Magistracie miejscowym znajduje się ciekawy dokument erekcyjny:

„Ja, Xdz. Ildephons Przeor Swoim y Wszystkich Wielebnych Oyców Kamedułów, Pustelników Romualda św. Konwentu Wygierskiego, Imieniem, Czynić Wiadomo tym Scriptem Moim Dobrowolnym Wieczystym Zapisem, komu o tym terażnieyszego y Napotym będącego Wieku, Ludziom Wiedzieć będzie Należało — zważywszy rzecz potrzebną y ku Intra-

cie pożyteczną, zgodziwszy się iednostaynie
 Wszyscy ze wsi Suwałk ludzi, za sławetnych
 panów Mieszczan, przy wolnościach y Usta-
 wach Niżey Specyfikowanych, kapituł Czyni-
 my y Stanowimy, naprzód od Wszelkiej służ-
 by robocizny y Straży, jako dotąd Dworowi
 Żywozdzkiemu pełniona była uwolniwszy, Ho-
 nor Tytulacji Mieyskiej nadajemy. Oraz po-
 mienione Miasto aby Swoy Porządek Miało,
 tak w Sądach, iako y Urzędach, dla Zwierzch-
 ności tedy Sławetnych Panów Symeona Po-
 bielskiego za Subdelegata, Antoniego Rowiń-
 skiego za Pisarza Postanawiamy...”

Poza tem zastrzega sobie Xdz. Ildephons
 Przeor władzę przepędzania rajców, subdele-
 gatów i ławników gdzie pieprz rośnie, jeśliby
 „k l a s z t o r o w i w c z y m P r z e s t ą p i -
 l i”. Żydzi mają mieszkać tylko w swojej dziel-
 nicy, ale „*standty*” mieć mogą podczas targów
 i jarmarków na Rynku. Domy mają być
 „...z G a n k a m i n a U l i c ę w y w i e d z i o -
 n e m i, z k o m i n a m i y P o k r y c i e m
 G o n t o w y m l u b d r a n i c z n y m, a n i e
 s ł o m ą...” Król August Saski 2. 3. 1720 nadał
 miastu prawo magdeburskie i herb w postaci
 św. Romualda i Rocha.

Nazwa miasta pochodzi od kilku Litwinów,
 którzy osiedli tu w puszczy Uhoł przed wie-
 kami, a których autochtoni nazywali *Suwił-*
ka'i'ami, czyli pielgrzymami, ptakami wędrow-



nemi; dopiero kiedy kameduli sprowadzili do karczowania lasów osadników z Mazowsza i Podlasia, ci przewali miejscowość z polska SUWAŁKI. I tak odtąd się nazywają, przeszedłszy przez gradację miasta wojewódzkiego, później gubernjalnego, aż stało się dzisiaj znowu miastem nieznacznym, z siedzibą starościńską.

Po wielu, wielu latach, zaczął się, jak wspomniałam, okres dla miasta, i wogóle Suwalszczyzny, rehabilitacyjny. Za cały bezsens swojej egzystencji dotychczasowej, służącej interesom garstki ludzi — zaczęły nareszcie płacić Suwałki daninę Ojczyźnie. Daninę krwi, uniesień i pracy tajnej, trudnej, konspiracyj-

nej. Były dotychczas literą martwą w Rzeczypospolitej — teraz przegnał najpierw przez nie wicher powstań polskich, pozostawiając mogiły, ślady szubienic i — konfiskaty.

Urodziła się w jego murach wieszczka, wyklęta swego czasu za umysł zbyt śmiały i za serce zbyt patryjotyczne — Konopnicka. W wojnie polskiej ostatniej poległo wielu obywateli, o czym świadczy marmurowa tablica we wnętrzu parafjalnego kościoła wmurowana, o następującym tekście:

*Ku czci i chwale Synów tej ziemi,
poległych za wolność i niepodległość Ojczyzny
1918—1919—1920*

Suwałszczenie.

Marszałek Piłsudski odwiedził to dalekie, na krańcach Rzeczypospolitej rzucone miasto w roku 1919 i przebywał tam od 12 do 14 września, w domu przy ul. Kościuszki 77, w którym obecnie mieszka dowódca garnizonu płk. Dreszer. Tablica, wmurowana w zewnętrzną ścianę I piętra, upamiętnia gościnę Wodza. W Suwałkach urodził się też jeden z Jego najdzielniejszych żołnierzy, szczerzy bojownik o Niepodległość, stary peowiak, płk. Adam Koc.

Tu także urodziła się i wychowała Marszałkowa Aleksandra Piłsudska, obywatelka honorowa tego grodu.



W słoneczny, lecz mroźny dzień, idę poszukiwać Jej śladów. Mam przed sobą 5 km liczącą ulicę główną, szerszą, niż nasze aleje Ujazdowskie, i zaraz tuż obok plac Marszałka Piłsudskiego. Na tym placu obszernym, na którym poczyną się park suwalski, założony na grobach cmentarnych, wznosi się brzydki wydłużony kadłub kościoła św. Aleksandra, któremu straż trzymają dwie piękne figury: św. Benedykta i Romualda, przeniesione z dawnego eremu kamedulskiego w Wigrach.

V. KRÓLEWSKA KORONA Z NIEZAPOMINAJEK

WCHODZĘ. ZIMNA I ZESZPECONA
straszliwemi malunkami nawa, z ko-
lumnami pociągniętymi na „marmurkowo“,

nie nęci absolutnie. Jest zresztą prawie naga i pusta. Ołtarze, bardzo szpetne i niewielkie, gubią się w przekroju świątyni, jak płotki w jeziorze. Gdzieś zboku głównego ołtarza zachwycił stary obraz, zdaje się szerniał *Ecce Homo* — poza tem nic.

Po lewej, jest ołtarz Matki Boskiej Szkaplerznej, przed którym chrzczono ongiś małą Olę Szczerbińską, późniejszą Małżonkę Marszałka Piłsudskiego. Chrztu udzielił ks. prałat Dauksza, nieświadomy przeznaczenia tego dziecka. Obojętnie patrzyła na ceremonję Matka Boska Szkaplerzna, wyobrażona twarzą i nieartystycznie i przygwożdżona do płótna zbyt złotymi koronami, aby były... złote.

Wysoko nad ramami — jeszcze jedna korona. Jest baniasta, ale lekka, bo z samych drobnych, blaszanych, niebieskich, wzruszających niezapominajek. Może one jedne nie zapomniały, że tu wyrzeczono się djabła imieniem małej dziewczynki, która w 16 lat później już służyła partji, nazywanej przez ludzi statecznych „djabelską“, albowiem miała w programie rzecz tak niesłychaną, jak Wolność i Niepodległość. Ktoś tedy źle się wyrzekł djabła imieniem małej dziewczynki...

Młodych rodziców nowoochrzczonej śmierć skosiła szybko, bo do ośmiu lat od daty chrztu była już Ola Szczerbińska sierotą. Wychowywała ją babka zrazu, pani Karolina z Trusko-



Suwałki. Gimnazjum żeńskie (dziś im. M. Konopnickiej), w którym się kształciła Aleksandra Piłsudska.

laskich Zahorska, a wkońcu najukochańsza ciotka, gorąca patryotka, Marja Zahorska, „ciocia Marynia“. Pani Marynia spoczywa już od 17 lat w grobie, na obcej ziemi, w Orle.

Idę szukać teraz tego domu, do którego dziewczynkę w pieluszkach odnieśli — wtedy — z zimnego pustego kościoła, z pod baniastej korony z blaszanych niebieskich niezabudek. Tędy Ją nieśli, uliczką przecinającą ulicę 11 Listopada, długą znowu jak wieczność. Dochodzę wreszcie pod nr. 80 i patrzę z wzruszeniem na dom z facjatką i ganeczkiem, z mnóstwem okiennic, ze staremi, połamanymi schodkami...

Przed domem stoi chłopski wóz, zaprzężony w typowe dwa koniki włochate. Budynek należy obecnie do p. Krotkiewiczowej. Już

snuje się dokoła niego legenda. Już opowiadają o jakiejś szewcowej na facjatce, która przechowywała Olę Szczerbińską, gdy Ją ściągali najpierw Moskal, a później Niemiec. Nie znalazłam szewcowej, zresztą nigdy jej nie było. Mieszkała tam pani Grotka, zacna osoba, która codziennie z facjatki spuszczała koszyczek na sznurku na podwórkę, a Ola Szczerbińska wraz z rodzeństwem swoim wkładała jej do tego koszyczka kwiaty, poczem koszyk jechał na sznurku w górę...

Stąd wyjechał stary, ukochany fortepian Marszałkowej do Pikiliszek, 2 lata temu...

Mój fotograf tymczasem ustawia aparat i mocuje się z kmiotkiem, aby cofnął wóz. Błagam długowłosego mistrza, aby zrobił zdjęcie razem z charakterystycznym pojazdem. Obrzuca mnie wzgardliwym spojrzeniem:

— Przed domem Pani Marszałkowej?! Żeby to powóz i konie cugowe, to nie mówię, ale te szkapka?!

Lecz naglony przeze mnie bezlitośnie, robi zdjęcie, wyraźnie zaznaczając jednak, że od podobnego nietaktu umywa ręce.

Teraz idę szukać szkoły, do której uczęszczała mała Ola Szczerbińska. Wiem, że najpierw uczyła się na tajnych kompletach p. Dworakowskiej, a potem dopiero przeszła do rosyjskiego gimnazjum, skąd wyniosła jeszcze głębsze zrozumienie, czym jest niewola.



Suwałki. Dom
w którym się urodziła i wychowała
Aleksandra Piłsudska.

Gmach stoi dotychczas niezmieniony — zmienił tylko nazwę na *Gimnazjum żeńskie im. Marii Konopnickiej*.

Przypominam sobie, że w roku 1926 czy 27, otrzymała Marszałkowa list z Chin, w którym zapytuje Ją żona jakiegoś dygnitarza tamtejszego. bankowego, czy to jest możliwe, aby ta Ola Szczerbińska, jej koleżanka z gimnazjum w Suwałkach, którą zobaczyła niespodzianie na jednym z ekranów w Pekinie, była istotnie Małżonką Józefa Piłsudskiego?! Nic dziwnego, że się dziwiła ta żona mandaryna chińskiego, pochodząca ze Suwałk — nie знаła przecież dalszych dziejów koleżanki gimnazjalnej, Oli Szczerbińskiej, Jej zasług, Jej ofiar i Jej prawa do najwyższych dostojeństw w odrodzonej Ojczyźnie.

Mimo mrozu, czuję się przedziwnie dobrze i swojsko w tej małej, a tak rozległej mieścinie kresowej, słusznie zwaną *Suwałki* — „gniazdem pielgrzymów, ptaków wędrownych, przelotnych“. Przelecieli tylko, istotnie, ci najwartościowsi przez jego mury, aby utonąć w odległych zadaniach, spełnianych w trudzie niemalym i z niemalą chwałą. Tym razem nie dla sienkiewiczowskiego *p o k r z e p i e n i a s e r c*, lecz dla wskrzeszenia własnej, realnej, niepapierowej Ojczyzny.

— — — — —

Ale teraz nic już nie zdoła wymazać z przed moich oczu obrazu tej korony z niezapominajek w kościele suwalskim, ani jej oddzielić od osoby Marszałkowej Piłsudskiej. Skojarzyła się z Nią jakoś dziwnie.

Myślę, że nie bez ukrytych jakichś, metafizycznych celów rozblękitniła się ona nad Nią, dzieckiem będącą w powijakach...

Rok 1934—1935.

K O N I E C

WSTĘP	7
GDAŃSK	15
I. Wyjazdy	16
II. W gmatwaniu wersyj	20
III. Ojciec Domu Więziennego	22
IV. Podobłoczna iluzoryczność spraw ziemskich	32
SZPANDAWA	34
V. Wielotwarzowość rocznie historycznych	35
VI. Szlakiem naszych Jagiellonek	36
VII. Perypetje z cytadelami	43
VIII. Nareszcie ślad!	47
IX. Telefon nie wporę	51
W PRZELOCIE PRZEZ NIEMCY	54
X. Zdrada Państwa a Państwo	55
XI. Rewja Komendanta	61
WESEL	72
XII. Punkt zborny sław i wielkości	73
XIII. Papieros Komendanta	80
BERLIN	82
XIV. O Führerze wrażeń kilka	83
XV. Mniejszość istniejąca	95
XVI. Gaujägermeister für Gross-Berlin	99
XVII. Tylko gruzy!	114
MAGDEBURG	119
XVIII. Hiszpańska grypa i angielskie monarchinie	120
XIX. Logika Historji	124
XX. Ci co szli z motyką na słońce i przeciw wiatru dmuchali...	132
XXI. Cytadela w uścisku Legendy	136
XXII. Droga powrotna	139
XXIII. Pokojówka i sztandary Liebknechta	146
XXIV. Uczta zadżumionych	150
XXV. Skrzydło Historji	160
DOPEŁNIACZE I PRZYCZYNKI	162
NA PODNIEBIU WARSZAWSKIM 10 LISTOPADA 1918	171
I. Za dni „magdeburgskich“ w Warszawie	172

	Str.
II. Próby gwałtu	176
III. Pensjonat na VI piętrze	193
IV. Windą na górę	198
DWIE KSIĄŻKI	205
I. Ideowy fort twierdzy magdeburskiej	206
II. Pacyfizm a pietyzm	228
REHABILITACJA NIEUŻYTEKÓW	239
I. Pielgrzymka na wschód	240
II. Mnisze dominja	241
III. Nauka stuleci	246
IV. Śladami pierwszych kroków Aleksandry Piłsudskiej	249
V. Królewska korona z niezapominajek	253

TEJŻE AUTORKI:

- PANI EL. Nowele. Kraków 1911. Ilustracje Młodzianowskiego i Wateleta. Przedmowa A. Niemojewskiego. Nakład Sp. Wyd. Książka (wyczerpane).
- KRYJAKI. O 63-im roku opowieść. Przedmowa Stefana Żeromskiego. Nakładem Sp. Wyd. Książka. Kraków 1913 (I, II, III wydanie wyczerpane).
- KRYJAKI. (Toż samo wydanie). Nakładem Dziennika Ludowego 1914. Chicago (wyczerpane).
- FAUNESSY. Powieść. Nakładem Księgarni Literackiej. Kraków 1913. Ilustracje Wateleta i Krenesa (wyczerpane).
- SYNOGARLICE. Nowele. Nakładem Mortkowicza. 1915.
- KONTRYFAŁOWE LICHTARZE U ŚW. AGNIESZKI. Nowele. Ignis. Warszawa 1922 (wyczerpane).
- FEMINA. Opowieść melodramatyczna. Nakładem Drukarni Poznańskiej. Poznań 1924 (wyczerpane).
- GONTOWSZCZYŻNA. Wspomnienia z rebelji ukraińskiej. Poznań 1924 (wyczerpane).
- KSIĘGA O PRZYJACIOŁACH. W kollaboracji z Zofją Rygier-Nałkowską. Nakład Gebethner i Wolff. Warszawa 1925.
- BRATERSTWO LUDÓW. Rzecz o dziele nieświadomości. Nakład Książnicy Naukowej w Przemyślu. 1926.

W p r z y g o t o w a n i u :

- WOJNA W KIESZONKOWYM FORMACIE. Pamiętnik z lat 1914—1920.
- SYMULANCI. Powieść.

